

BIBLIOTEKA  
GAZETY  
NIEDZIELNEJ

---

VERITAS

WENUS W OPAŁACH

---

ANDRZEJ JANICKI

W E N U S  
W  
O P A Ł A C H

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



V E R I T A S, LONDYN, 4-8, PRAED MEWS, W.2.  
NAKLADEM KATOLICKIEGO  
OSRODKA WYDAWNICZEGO

T e g o ż a u t o r a :

PORWANY W PRZESTRZEŃ  
Powieść fantastyczna (3 tomy)

PRECZ Z KSIĘŻYCEM  
Powieść fantastyczna

Veritas. Londyn.  
Biblioteka Gazety Niedzielnej.

BIBLIOTEKA  
"GAZETY NIEDZIELNEJ"

TOM XXII

Ilustracje: Janina Chrzanowska

## SPIS ROZDZIAŁÓW

### CZĘŚĆ PIERWSZA — MARS

Wstęp

- Rozdział I — Złodzieje ciał  
Rozdział II — Depesza  
Rozdział III — OMX decyduje

### CZĘŚĆ DRUGA — WENUS

- Rozdział I — Raj w płomieniach  
Rozdział II — Wędrowcy czasu  
Rozdział III — Zjawia się Tetit  
Rozdział IV — Dziwna bitwa  
Rozdział V — Wenuncjańska „Corrida”  
Rozdział VI — Przygoda w świątyni  
Rozdział VII — Kolejka powietrzna  
Rozdział VIII — W cudzych piórach  
Rozdział IX — Na morzu i w błocie  
Rozdział X — Czeka na nas Takila  
Rozdział XI — Wyznanie Tetit  
Rozdział XII — Joasia uratowana  
Rozdział XIII — Marsjanie boją się burzy  
Rozdział XIV — Unga i jej skutki  
Rozdział XV — Operacja „Solax”  
Rozdział XVI — Wenus wyzwolona  
Rozdział XVII — Pilot

### CZĘŚĆ TRZECIA — ZIEMIA

- Rozdział I — Robot idzie do kufra  
Rozdział II — Dysk w stodole

# CZEŚĆ PIERWSZA

*MARS*

## **WSTĘP**

Tomik niniejszy, zatytułowany „Wenus w Opałach”, jest dalszym ciągiem książki „Precz z Księżycem” i stanowi z nią całość. Dla czytelników, którzy nie znają książki „Precz z Księżycem”, podajemy jej krótkie streszczenie.

Główną postacią opowiadania jest młody Polak, Andrzej, który po różnych perypetiach życiowych znalazł się na studiach uniwersyteckich w Waszyngtonie. Biorąc w czasie wakacji udział w wycieczce po Morzu Karaibskim, zaginął. Odnalazł się dopiero po dwóch latach na jednej z wysp, cały i zdrowy, lecz bez pamięci tego, co się z nim działo.\* Mimo usiłowań lekarzy nie udało się go wyleczyć z tej amnezji.

Andrzej kontynuuje dalsze studia na uniwersytecie, lecz po roku dostaje się niespodziewanie w nowy wir przygód. Najpierw banda gangstersko-szpiegowska sądząc, że tylko udaje amnezję, usiłuje wymusić na nim wyznanie tajemnicy jego zniknięcia. Potem Andrzej, uciekając od bandytów, styka się z milionerem amerykańskim, który pod pseudonimem „Doktora Nemo” założył organizację mającą na celu m.in. nawiązanie kontaktu z „latającymi talerzykami”. Kontakt z przybyszami z przestrzeni wreszcie nastąpił, lecz wskutek niego Andrzej, Nemo i garstka ich przyjaciół zostaje porwana na księżyc.

*\*) Co się z nim działo, opisane jest w książce „Porwany w Przestrzeń”.*

Tam dowiadujemy się, że załogę latających dysków stanowią Wenuzjanie, potomkowie ludzi, którzy opuścili rodzinną ziemię jeszcze przed zatonięciem Atlantydy, a teraz zaczęli się nią znowu żywiej interesować, zaniepokojeni technicznym postępem i dążeniem do podboju przestrzeni. W swej bazie na księżycu przygotowali szereg robotów — sobowtórów, których zamierzają podstawić w miejsce szefów państw i innych mężów stanu i w ten sposób opanować władze nad ziemią.

Wenuzjanie informują Andrzeja, że był już przez nich porwany poprzednio i spędził owe dwa lata na Wenus, nie zwracając mu jednak pamięci.

Andrzej wraz z gromadką przyjaciół obezwładniają pilota, który miał ich zabrać na Wenus i opanowują latający dysk z zamiarem wylądowania na ziemi i ostrzeżenia jej mieszkańców przed spiskiem. Tymczasem przez pomyłkę wchodzą w orbitę wokół Marsa. Groźba zniszczenia statku przestrzennego zmusza ich do zwolnienia pilota i poddania się Wenuzjanom. Otrzymują jednak pozwolenie na zwiedzenie „Czerwonej Planety”, gdzie pod powierzchnią żyją niedobitki wojowniczej rasy dawnych Atlantów, którym Wenuzjanie nie ufają i pilnują ze swych baz na Fobosie i Dejmosie, satelitach Marsa.

Powieść „Wenus w Opałach” zaczyna się od lądowania na Marsie. Obok Andrzeja i Doktora Nemo występują tu niżej wymienione postaci.



JENI — pilot wenuzjański.

JOE — przyjaciel Andrzeja, obdarzony na ziemi własnościami poruszania przedmiotów siłą myśli.

IZA albo LENA (jej wenuzjańskie imię) — śliczna złoto-włosa Wenuzjanka, którą, podobnie jak Andrzeja, zesłano na ziemię odbierając pamięć jej przestrzennej przeszłości.

BARBARA — pani po 40-tce, spirytystka, która używała Izę jako medium w czasie seansów z „duchami”.

NANCY — czarnowłosa koleżanka Andrzeja z uniwersytetu, porwana z ziemi na księżyc i zastąpiona robotem, główna inicjatorka ucieczki z księżyca.

## Rozdział I

### ZŁODZIEJE CIAŁ

Nasz latający dysk minął pasmo olbrzymich kraterów i wylądował na obszernej płaszczyźnie pośród szklanych zabudowań. Czekaliśmy przez chwilę, aż otworzyła się przed nami wielka kłapa. Dysk opuścił się pod powierzchnię. Czekaliśmy, póki pompy nie wypełniły komory odpowiednią ilością powietrza, sama bowiem atmosfera Marsa nie wystarcza do oddychania i nie wytwarza dostatecznego ciśnienia. Dano nam znak światłami. Opuściliśmy dysk i przeszliśmy z komory do olbrzymiej sali jasno oświetlonej.

Oczekiwał nas tutaj „komitet recepcyjny”. Patrzyły na nas czarne oczy z kontrastowo białych twarzy. Krucze włosy, najczęściej kędzierzawe, rysy grube, u wielu nawet negroidalne. Wzrost na ogół nieduży, postać krępa.

— Białe murzyny — mruknął Joe.

Co jednak uderzyło nas przede wszystkim swoją niezwykłością to ich szaty, jeśli im można nadać taką nazwę. Od szerokich, złocistych pasów szły w dół i w górę różnobarw-

ne, świecące a nieprzejrzyste promienie. U niektórych ten promienisty ubiór sięgał aż do podłogi, u innych tylko do kolan. Podobnie w górę: u jednych promienie wystawały ponad ramiona, tworząc coś podobnego do skrzydeł, drudzy mieli tors obnażony lub tylko częściowo zakryty.

Przed grupę Marsjan wysunął się naprzód postawny mężczyzna. Jego promienista szata, żółto-pomarańczowo-czerwona, aż raziła oczy.

— Broxan — przedstawił się i dał nam znak, byśmy szli za nim.

Ruszyliśmy. Reszta Marsjan otaczała nas zwartym kołem. Przed nami otworzyły się samoczynnie stalowe drzwi. Broxan odwołał na stronę naszego pilota Jeniego, nas natomiast fala Marsjan pchnęła naprzód. Znaleźliśmy się w mniejszej sali. Pośrodku stała duża, metalowa klatka. Ku niej nas skierowano. Zawahaliśmy się, wyglądało to na pułapkę, lecz uspokoił nasze obawy jeden z Marsjan krótkim: „To jest winda”, wymówionym po wenuzjańsku.

Zatrzaśnięto drzwi za nami. Marsjanie pozostali na zewnątrz. Klatka zapadła się w głąb jasnooświetlonego szybu. Zjechaliśmy ze sto metrów w dół i winda zmieniła się raptownie w rodzaj „podziemnej kolejki” i wiozła nas teraz poziomo tunelem o gładkich, świecących ścianach. W kilkanaście minut później klatka zatrzymała się w sali o potężnych kolumnach. Czekala tu na nas druga grupa Marsjan.

Wyprowadzono nas po kolei. Pierwszy wyszedł Doktor Nemo. Jeden z Marsjan dał znak, by się rozbierał, a gdy Nemo nie wykazał ku temu żadnej ochoty, dwóch silnych drabów schwyciło go, ściągnęło barwną, wenuzjańską „zanę”, a za-

miast niej nałożyło mu na biodra złoty pas. Natychmiast od stóp do szyi rozbłysł tęcowymi promieniami. Wyglądał jak zaziemskie zjawisko.

Mnie następnego spotkała taka sama operacja. Było mi w tym oryginalnym stroju dość nieswojo, bo choć osłaniał optycznie, nie czuło się go wcale na sobie. Jego promienie były ciepłe. Ich temperaturę, gęstość, kolor i kierunek regulowało się za pomocą specjalnych guzów na pasie.

Po przebraniu, zaprowadzono nas do obszernego pokoju. Stały tu krzesła i stoły, sporządzone z jakiegoś syntetycznego materiału. W ścianach, w podłużnych niszach znajdowały się wygodne łóżka. W czterech rogach pokoju stały wysokie kandelabry, a w nich zamiast świec samo-świecące drążki.

Gdy jedyne drzwi zamknęły się za nami bezszelestnie i zostaliśmy sami, Nemo przemówił:

— Nie podoba mi się to wszystko ...

— A mnie szalenie! — wyraziła swą opinię Barbara, przyglądając się z zachwytem swemu odbiciu w lustrze — To jak najwspanialsza suknia balowa!

— Nie te idiotyczne stroje miałem na myśli... Nie podoba mi się, że nas rozdzielono z pilotem i wsadzono tutaj, zamiast pokazywać dziwy Marsa.

— Jesteśmy uwięzieni — dodała Nancy — bo tych drzwi nie można otworzyć.

Ledwo skończyła, drzwi się otworzyły. Wszedł Broxan.

— Od tysięcy lat — zaczął z powagą — jesteście chyba pierwszymi mieszkańcami ziemi, którzy przybyli na Marsa. Jest to dla nas okazja, by się jak najwięcej dowiedzieć o obecnych warunkach na waszej planecie. Nie wypuścimy was

stąd, aż wyciągniemy z was wszystko, co może się nam przydać.

— Ale Wenuzianie ...

— Wenuzianie będą żądać natychmiastowego wypuszczenia was, zagrożą różnymi represjami . . . Sprawa będzie się wlekła, a my tymczasem dokonamy swego ... A wy sami, jeśli chcecie się stąd szybko wydostać, współpracujcie jak najściślej!

Doktor rozejrzał się pytająco po naszych twarzach. Ponieważ nikt się nie odezwał, sam podjął decyzję:

— Nie widzę powodów do oporu — wzruszył ramionami — Ja osobiście z przyjemnością opowiem wam wszystko o mej rodzinnej planecie ... Ale zanim weźmiesz nas na przesłuchanie, wytłumacz nam jedno: dlaczego nosicie takie dziwne, promieniste stroje?

Broxan spojrzał nań pogardliwie, jakby samo pytanie dyskredytowało poziom umysłowy Doktora.

— Wasze ubrania — powiedział — są wybitnie szkodliwe dla zdrowia. Nie tylko, że tamują swobodny dostęp powietrza do skóry, drażnią jej powierzchnię, lecz różne wasze materiały wytwarzają swoiste pola, które wpływają ujemnie na organizm ludzki, interferując z jego własnym polem. Nasze promieniste odzienie nie tamuje dostępu powietrza i oddziałuje dobroczynnie na ciało. Czy słyszeliście kiedyś o specjalnej „medycynie barw”?

— Skąd mieliśmy słyszeć?

— Różne kolory wpływają odmiennie na poszczególne organa cielesne, pobudzając lub zmniejszając ich aktywność, lecząc je w razie potrzeby. Dlatego barwy naszych stro-

jów nie są wynikiem osobistego smaku czy piastowanej godności, lecz wiedzy medycznej, zastosowanej do potrzeb indywidualnych. Nauczymy was tego, ale teraz chodźcie!

Rozprowadził nas po małych pokoikach.

Mnie przesłuchuje młody Marsjanin. Czarne oczy patrzą inteligentnie. Ma prosty, wąski nos, wysokie czoło, krucz, kędzierzawe włosy. Podobałby mi się bardzo, gdyby się choć raz uśmiechnął. Niestety zachowuje śmiertelną powagę, jakby był właścicielem zakładu pogrzebowego. Zna język polski, angielski, wenuzjański — to wszystko podobno z nasłuchu radiowego. Żąda, by go poprawiać, szlifować jego akcent. Pyta o tysiączne szczegóły mego życia. Wszystko go interesuje. Leży przede mną tabliczka — wiele rzeczy muszę mu rysować. Każe mi wstawać, siadać, chodzić, jeść w swojej obecności, nawet śpiewać wszystkie znajome mi piosenki.

Moich towarzyszy pytają w identyczny sposób. Co nas dziwiło, to że te przesłuchy koncentrują się przede wszystkim na naszym osobistym życiu. Po co im wiedzieć, jak się nazywają nasi rodzice, rodzeństwo, przyjaciele? Spodziewaliśmy się raczej pytań dotyczących nauki, życia społecznego, politycznego, religii, ale to wszystko zdawali się znać dobrze.

Ponadto Marsjanie śpieszyli się. Widocznie Wenuzjanie domagali się naszego natychmiastowego wydania. Wpychano w nas jakieś płyny, po których odechciało nam się zupełnie spać, a pamięć zaostrzyła się niezwykle. Niemniej bezustanne badania zaczynały nas coraz bardziej wyczerpywać.

Wreszcie nastąpił koniec. Dano nam środki nasenne.

Jak długo spałem, nie mogłem stwierdzić. Po przebudzeniu czułem się doskonale. Moi przyjaciele także. Do dobre-

go nastroju przyczyniała się nadzieja szybkiego uwolnienia. Ani nam przez głowę nie przeszło, co nas czeka ...

Wprowadzono mnie do sali w kształcie kopuły, wyłożonej blachą z czystej miedzi. Po obu stronach długiego stołu siedziało kilkunastu starszych mężczyzn. Na stole, po prawej stronie leżał Malduk, Marsjanin, który mnie przesłuchiwał. Był zupełnie nagi. Ze mnie też zdjęto pas i kazano się położyć po lewej stronie tak, aby nasze stopy się zetknęły. Jeden z obecnych związał je miedzianym łańcuszkiem.

Co to ma znaczyć? — pomyślałem. Nie czułem niepokoju, raczej ciekawość.

Leżałem bez ruchu. Panowała absolutna cisza. Przejrzyste dotąd myśli poczęły mi się mącić. Jasne światło, spływające ze środka kopuły, przyćmiło się, czy też zaczynałem gorzej widzieć. Wreszcie ogarnęła mnie zupełna ciemność, straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem ponownie oczy, pozornie nic się nie zmieniło. Z sufitu nadal padało światło ; mężczyźni, jak przedtem, siedzieli nieruchomo w posągowym skupieniu. A jednak coś było inaczej, lecz co?

Ach, wiem — przyszło zrozumienie — leżę teraz po przeciwnej stronie stołu. Musieli mnie przenieść, lecz po co?

Poczułem, że mój towarzysz drgnął, powiedział coś po marsyjsku. Mężowie zerwali się ze swoich miejsc. Pochylili się nad nami. Rozmawiali z ożywieniem. Poklepywali się po ramionach, jakby sobie czegoś gratulując. Rozwiązano nam stopy. Malduk usiadł ...

Powinienem był się już przyzwyczać do widoku moich sobowtórów, niemniej nagle zobaczenie wiernej kopii własnego ciała w miejsce dawnego Marsjanina było wstrząsem ...

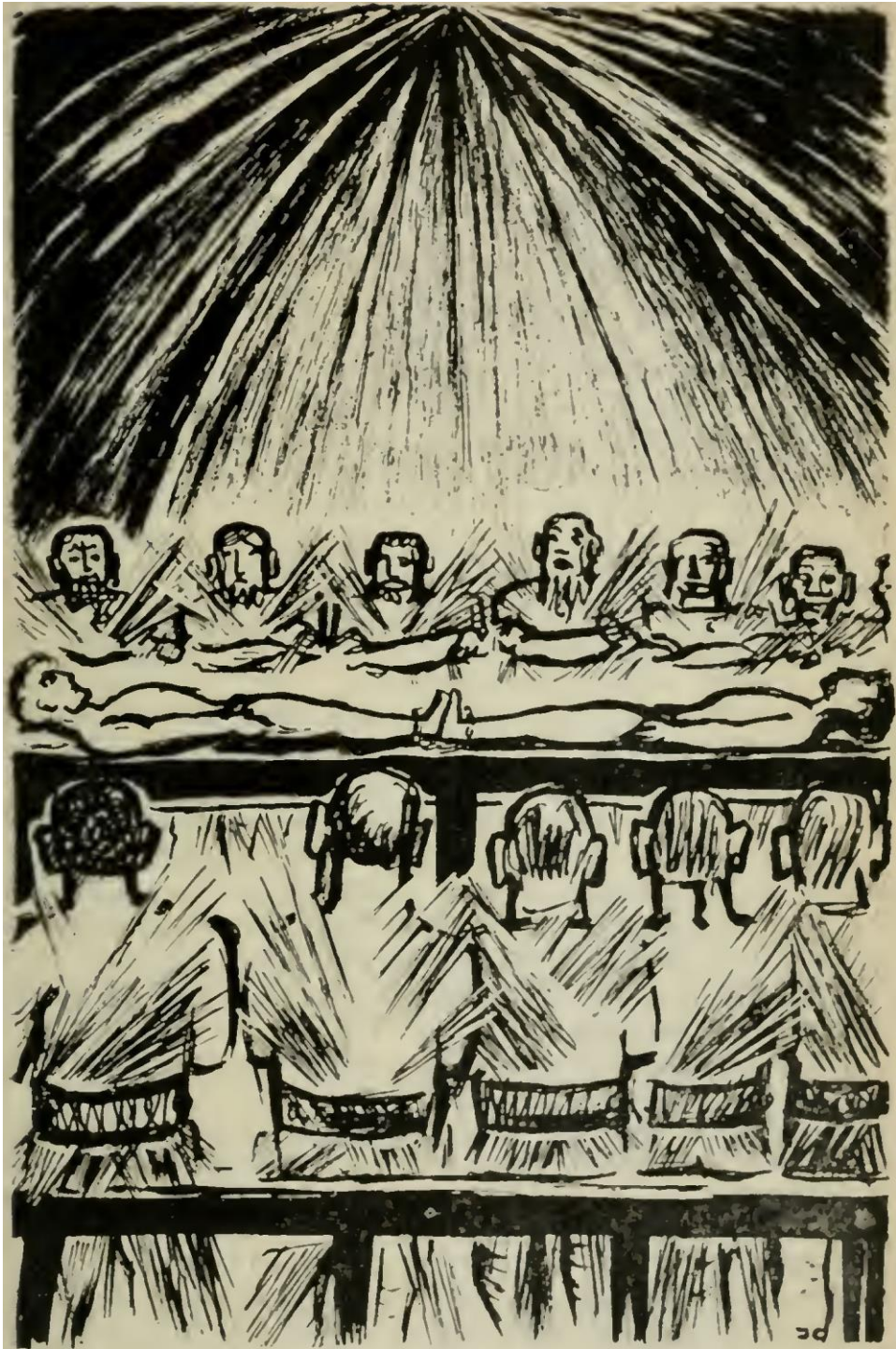
Zerwałem się. Mój wzrok padł teraz na moje ręce... nie moje, obce, białe, bez znaku słonecznej opalenizny... Nogi? też nie-moje ... Chwyciłem się za głowę, ściągnąłem kosmyk włosów przed oczy: był czarny, kędzierzawy ...

Dopiero teraz straszne, nieprawdopodobne podejrzenie przeszło umysł ...

Ktoś podał mi lustro i podejrzenie zmieniło się w pewność — zamienili nam ciała!

Ten drugi to nie mój sobowtór, to złodziej mojego ciała. Przeszczepienie dusz? Ależ to niemożliwe! Każda dusza jest formą jednego tylko, indywidualnego ciała ... tak zwana „wędrówka dusz” nie ma sensu z filozoficznego punktu widzenia ... Ale obojętne co mówi filozofia i zdrowy rozsądek — stałem w tej chwili wobec niezaprzeczalnego faktu.





*Leżałem nieruchomo, panowała absolutna cisza.*

Postąpiłem z trudem kilka kroków, zachwiałem się i omal nie upadłem. Najwidoczniej nie panowałem jeszcze dostatecznie nad nową cielesną powłoką. Każdy następny krok był coraz łatwiejszy, ruchy coraz zgrabniejsze. Zaprowadzono mnie z powrotem do komnaty, w której mieszkaliśmy.

Zastałem tam marsyjską dziewczynę zalewającą się łzami.

— Iza? — spytałem.

Izę zabrano pierwszą, toteż domyśliłem się, że to ona teraz płacze w obcym ciele.

Dziewczyna przestała płakać, przyglądała mi się uważnie przez chwilę, wreszcie odezwała się po wenuzjańsku obcym głosem:

— A ty kto? Andra? Joe? Ciebie też przemienili?

— Andra.

Wybuchła ponownie płaczem i rzuciła mi się w ramiona.

— Co z nami zrobili? — łkała — Po co? Ja chcę swoje ciało z powrotem ... moje złote włosy ... moje niebieskie oczy ...!

— Dlaczego to zrobili, nie wiem, ale i tak jesteś ładna w swoim rodzaju — starałem się ją pocieszyć.

Iza odsunęła się gwałtownie ode mnie. W jej nowych oczach, koloru węgla, zapalił się błysk zdziwienia i radości.

— Andra! — szepnęła. — Czy ty też pamiętasz?

Przygarnęła się znowu do mnie, a ja objąłem ją ramionami i przytuliłem do siebie, serdecznie i mocno ...

Przeszczepienie świadomości w obce ciała w jakiś sposób zwróciło nam pamięć. Oto mam przed sobą moją ukochaną Lenę. To dlatego, że chcieliśmy się pobrać wbrew wenu-

zjańskiemu prawu, Nara — gubernator wysłał nas oboje na ziemię. Pamiętam wszystko ... wszystko. I ona też pamięta.

— Jak się cieszę — szeptała Lena — że odnalazłam ciebie i swoją przeszłość. A te ciała ... może nam zwrócą nasze. Zresztą i w tym nie jesteś wcale brzydki.

Mogłem to samo powiedzieć o Lenie. Trzymałem w ramionach kształtną i bardzo ładną Marsjaneczkę o ślicznych kruczonych włosach spadających bogatą falą na ramiona. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę i nagle zaczęliśmy się głośno, serdecznie śmiać ...

— Ciekawa jestem, jak inni będą wyglądać — rzekła Lena, która pierwsza opanowała paroksyzm tej dziwnej wesołości.

Wtem odsunęła się ode mnie i usiadła na krześle, jakby jej nogi odmówiły nagle posłuszeństwa.

— Co ci się stało?

— Joe — odpowiedziała głucho.

Prawda. Joe. Już od dawna wszyscy wiedzieliśmy, że Iza i Joe zakochani są w sobie po uszy. Temu uczuciu przypisywaliśmy, że mój przyjaciel uwolnił się od upiorów przeszłości i nabrał chęci do życia. Gdy się dowie, że Iza jest moją narzeczoną, będzie to dla niego straszną tragedią.

Usiadłem i ja. Obserwowałem dziewczynę spod oka. Czy wrócona pamięć naszych wzajemnych uczuć zabiła tę nowszą miłość? Ku komu zwróci się teraz jej serce?

— Co zrobimy? — spytała bezradnie.

— To zależy od ciebie, bo ja cię kocham tak samo, - jak przedtem.

— A jednak — pokręciła czarnowłosą główką patrz, kiedy spotkaliśmy się po zabraniu nam pamięci ... nie zakochałeś się we mnie ponownie, ani ja w tobie ... lubiliśmy się tylko bardzo ...

— Powiedz więc od razu, że Joe przesłonił ci moją postać, a tamto jest już tylko niewygodnym wspomnieniem ...

— O, nie, Andra! nie ... jesteś niedobry tak mówiąc ... ja — odpowiedziała żywo, zrywając się z miejsca. Chciała jeszcze coś dodać, ale w tej chwili do komnaty wszedł Marsjanin w sile wieku.

— Witamy Doktora Nemo w nowej skórze! — zaryzykowałem.

Rzeczywiście był to on. Po pewnym czasie byliśmy już w komplecie i wszyscy przemienieni. Największy dramat przeżywała Barbara, którą wepchnięto w bardzo obfite kształty. Klęła Marsjan po dorożkarsku.

Cel przemiany wyjaśnił wkrótce Broxan. Mówił długo, co streszczam poniżej.

Po katastrofie na ziemi, spowodowanej ponownym wejściem księżyca w orbitę wokół niej, ostoją Atlantów stał się Mars. Znalazło się tam wielu, którzy uciekli z tonącej ojczyzny na latających dyskach. Rozmnożyli się i po paru tysiącletniach stworzyli potężne mocarstwo przestrzenne. Doszło wtedy do walnej rozprawy z drugą potęgą: Wenuzjanami. W straszliwych zmaganiach Mars poniósł klęskę. W jego orbicie zwycięzcy umieścili dwa sztuczne satelity: Fobosa i Dejmosa, które odtąd pełnią nieustanną straż nad niebezpieczną rasą. Za pomocą tych satelitów Wenuzjanie stworzyli sztuczne pole wokół planety, które pozbawiło Marsjan władz parapsychicz-

nych. Ponadto zniszczyli wszystkie statki przestrzenne i dotąd nie pozwalają ich budować.

— Jednym słowem — mówił Broxan — od tysiącleci jesteście ciemiężeni.

— Nie próbowaliście się buntować?

— I nieraz, lecz bezskutecznie. Obecnie wszystko gotowe do nowej walki. Parę tysięcy bojowych dysków czeka w ukryciu. Posiadamy ponadto nowe bronie, nieznane Wenuzjanom. Jedno nas tylko wstrzymuje. Wiemy, że Wenus otacza pole ochronne, którego nie będziemy w stanie przeniknąć ... Lecz dzięki wam otworzyła się dla nas niezwykła okazja. Przed chwilą wydaliśmy Wenuzjanom wasz dysk z naszymi ludźmi w waszych ciałach na pokładzie. Ich zadaniem jest zniszczyć na Wenus urządzenia wytwarzające pole ochronne.

— Czy i pilota, Jeniego, przemieniliście?

— Nie.

— Czy w razie udania się waszych planów zwrócicie nam ciała?

— Jeśli tamci zechcą, tak.

— A jeśli zginą, co się stanie z nami?

— O tym zadecyduje Omx,

— Kto to jest Omx?

— Nasz władca.

— A jak dacie sobie radę z bazami na Dejmosie i Fobosie?

— Zniszczymy je w parę sekund. Już teraz udaje nam się często zmylić ich czujność i wysłać niewielkie patrole w przestrzeń i na waszą ziemię. Dlatego tak dobrze orientujemy się w waszych warunkach. Gdy pole ochronne na We-

nus zniknie, wojna jest wygrana — rzekł z absolutną pewnością w głosie — Po zajęciu Wenus ziemia sama wpadnie w nasze ręce. Nie posiadacie broni, które mogłyby się nam oprzeć.

Wyszedł.

To, co powiedział, zamroziło nas. Siedzieliśmy w milczeniu, póki wszyscy nagle nie zaczęli mówić. Uciszył nas Nemo stanowczym ruchem ręki.

— Sytuacja jest groźna — rzekł — Mniejsza o nas samych, ale tu chodzi o przyszłość całego systemu słonecznego. Za wszelką cenę musimy ostrzec Wenuzjan.

— Nie jestem tego pewien — sprzeciwił się Joe. — Nie znamy właściwie bliżej ani Marsjan, ani Wenuzjan. Po czyjej stronie słuszość?

— Czy ci nie wystarczy, że ja jestem Wenuzjanką? — z goryczą w głosie odezwała się Iza.

— A mnie do decyzji wystarczy — powiedziałem — że Marsjanie nigdy się nie śmieją. Czy może mieć rację taki ponury naród?

Toczyła się dalej żywa dyskusja. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że trzeba Wenuzjan ostrzec. Rozpoczęły się próby.

Iza usiłowała zapaść w trans i śledzić losy naszych skradzionych ciał. Doktor starał się „wyjść z siebie” i ukazać się w bazie na jednym z satelitów Marsa. Joe’mu pod hipnozą kazałem poruszać przedmioty na odległość. Wszystko to się nie udało. Siły parapsychiczne nie chciały działać ... odeszły wraz z naszymi ciałami, czy też tłumilo je sztuczne pole.

— Trzeba więc uciec — zakonkludowała Nancy — gdyby tak udało się ukraść jeden z tych bojowych dysków, o których wspomniał Broxan ...

— No jak ty znowu zaczniesz organizować ucieczkę ... — zaczął z przekąsem Joe, ale przerwał mu Doktor:

— Sza! nie kłóćcie się. Nancy ma rację. Gdy tylko nadarzy się okazja do ucieczki, wykorzystamy ją.

Rozmowa przeszła na inne tory, gdyż zaatakowała mnie Barbara:

— Kiedy mówiłam o wędrówce dusz, o reinkarnacji, śmiałeś się, że to bzdura. A teraz jeszcze za życia weszliśmy w nowe ciała. Jak więc wyglądasz?

— Głupio — przyznałem. — Contra factum non valet argumentum\*) ... ale czy dobrze interpretujemy fakt? Może to nie cała dusza zmieniła mieszkanie, a tylko centrum świadomości?

— To, co mówisz, to tylko gra słów ... Wiem, że jesteś taki mędrak, który zawsze potrafi wykręcić kota do góry nogami. Tymczasem miałam rację i mam rację!

*\*) Przeciw faktowi nic nie znaczy argument.*

## **Rozdział II**

### **DEPESZA**

Na jawie przemieszczenie psychiki wydawało się kompletne. Znajdowaliśmy się w nowych ciałach, lecz ze swą dawną pamięcią, charakterem, odruchami. Nic obcego nie dołączyło się do naszych osobowości. Natomiast w czasie snu, a nawet pół-snu, nawiązywaliśmy pewien kontakt z własnym ciałem.

I tak śniło mi się, że wróciliśmy na księżyc. Otrzymaliśmy surową reprimendę od Kobry. Potem przewieziono nas na Wenus. Spotkałem się tam z Narą, gubernatorem planety. Zatrzymał nas w stolicy.

O tym, że te sny przedstawiały autentyczne wydarzenia, świadczyło to, że śniliśmy je wszyscy podobnie. Po przebudzeniu każdy z nas uzupełniał szczegóły podawane przez innych i tak odtwarzaliśmy pełen obraz wypadków. We



śnie przeżywaliśmy też emocje, których musieli doznawać złodzieje naszych ciał. Którejś nocy obudziłem się cały drżący. Śniło mi się, że zakradłem się do wnętrza jakichś urządzeń, zostałem odkryty, uciekałem... na szczęście udało mi się ujść.

Napisałem „na szczęście”, bałem się bowiem o losy mego biednego ciała. Gdyby zabito Malduka, musiałbym już na zawsze pozostać w jego doczesnej powłoce. Co prawda, to patrząc na to ze strony mniej osobistej, jego jak najszybsza śmierć mogłaby okazać się zbawieniem dla przyszłości systemu słonecznego.

Pędzilibyśmy obecnie żywot monotony i nudny, gdyby nie Broxan. Nie tyle dla naszej rozrywki, co raczej dla pochwalenia się osiągnięciami marsyjskimi, zabierał nas na różne wycieczki.

Pierwszy raz wziął nas na powierzchnię, do cieplarni, szerokich na kilkadziesiąt metrów, ułożonych w gwiazdy, których ramiona sięgały kilometra lub więcej. Rosło tu w równych rzędkach coś podobnego do kukurydzy, przeplatanego, co kilkadziesiąt kroków pasmami innej, nieznannej rośliny, produkującej czerwone jagody.

Za przezroczystymi ścianami cieplarni szerszy widok zakrywały, rosnące na zewnątrz rośliny, podobne do kaktusów. Pokrywały je jednak nie kolce, lecz gęste, długie włoski. Gdy promienie słońca padały na roślinę, włoski te sterczały sztywno w kierunku, który nie dawał żadnego cienia. Gdy słońce zachodziło, owe włoski przywierały do powierzchni, chroniąc roślinę od zimna. A temperatura na zewnątrz spadała przecież w nocy aż do  $-50^{\circ}\text{C}$  i to w nadzwyczaj rozrzedzonej atmosferze.

Z cieplarni udaliśmy się do niezbyt stamtąd odległych kopalń świecącego kruszcu, który używano do oświetlenia. Robiono z niego lampy różnego kształtu lub rozprowadzano jego cienką warstwę, zmieloną na proszek, wprost na suficie lub na ścianie. Zgasić takiej lampy nie było można, zasłaniało się ją tylko w miarę konieczności.

— Przyszedł mi świetny pomysł do głowy — szepnęła mi Nancy w ucho, gdyśmy opuszczali kopalnię.

— A gdzie ci miał przyjść? — odszepnąłem.

— Nie sil się na dowcip... — odpaliła — sprawa jest poważna, może uda nam się skomunikować z Wenuzjanami.

— Jak?

— Cicho, sza! Powiem ci potem, bo Broxan się zbliża.

Z kopalni udaliśmy się do „ruchomego” miasta i zapomniałem o słowach Nancy.

Nazwałem je „ruchomym”, bo składało się z olbrzymich wież o przezroczystych ścianach. Wieże te za dnia wysuwały się ponad powierzchnię Marsa, na noc opuszczano je z powrotem. Czyniono to też w czasie burz piaskowych, które są tu niezwykle silne. Dziś jednak dzień był śliczny. Z lubością wpatrywaliśmy się w otwartą przestrzeń z tarasu pokrył go przezroczystą kopułą. Stałe przebywanie w wykutych w skale komnatach i chodnikach bardzo nam już dokuczyło. Widok wszakże sam w sobie był mało ciekawy: czarne niemal niebo jak na księżycu, monotonna rdzawa pustynia, przerywana tu i tam kraterami, inne wieże identyczne z naszą. Po jedynej drodze, która ginęła gdzieś w pustyni, posuwał się wolno rząd wozów obciążonych wyciętymi „kaktusami”. Te rośliny wraz ze specjalnym gatunkiem mchu były dla Mar-

sjan najważniejszym źródłem, tak koniecznej dla organizmu ludzkiego, „zielenizny”.

Spoczywaliśmy w wygodnych fotelach popijając mdły napój, który Broxan polecił nam podać. Niedaleko nas rozsiadła się niewielka grupa Marsjan ; rozmawiali nie zwracając na nas uwagi.

— Joe, tam siedzi ktoś bardzo do ciebie podobny — Barbara wskazała dyskretnym ruchem głowy młodego człowieka z sąsiedniej grupy — może to „twój” brat?...W ogóle powinniśmy przecież mieć wśród Marsjan mnóstwo krewnych, kuzynów, nie mówiąc już o najbliższej rodzinie...

— To może masz tu gdzieś swego męża — odparł jej Joe z uśmiechem — upomnij się o niego u Broxana... o, na przykład, tamto straszycło z papuaską strzechą na głowie...

Broxan posłyszał wymianę zdań.

— Nie, nie! — zaprzeczył żywo — Życie rodzinne, miłość, te rzeczy nie są znane u nas. Gdy tylko dziecko się urodzi, zaraz się je oddziela od matki, wychowuje w specjalnych ochronkach, potem zależnie od zdolności przydziela do odpowiednich szkół. Męża czy żony nikt sobie sam nie wybiera. To się wyznacza, zależnie od przeprowadzonych badań eugenitycznych. My nie możemy sobie pozwolić na sentymenty, na tworzenie więzów krwi. Naszym jedynym celem jest służba rasie Atlantów. Szykujemy się do odwetu na Wenuzjanach, do skruszenia pęt niewoli, do opanowania systemu słonecznego, a potem wszechświata. To zadanie może wypełnić tylko armia absolutnie zdyscyplinowana, monolit...

— ... wielkie stado dwunożnych zwierząt — dokończył za niego Nemo.

Rozpoczęliśmy z zapałem obronę idei życia rodzinnego. Broxan słuchał spokojnie, póki nie wyczerpaliśmy najważniejszych argumentów. Wtedy rzekł:

— Może to i przyjemniejszy sposób życia, lecz nie możemy sobie nań pozwolić. Tak zresztą ułożył wszystkie sprawy Omx, a on wie najlepiej.

— Czy to wasz monarcha, czy bożek?

— Kiedyś mieliśmy bogów, teraz ich nie potrzebujemy — odparł i dał znak do opuszczenia sali.

Zabrał nas z kolei do wspinających podziemnych ogrodów, gdzie w sztucznym świetle lamp hodowano tysiące roślin. Doglądały ich istoty o zielonkawej skórze, karzełki, podobne do człowieka, o wielkich, nieruchomych oczach i dużych uszach. Nosa nie widziałem, natomiast usta mieli rybnie, które nieustannie zamykały się i otwierały.

— Czy to są oryginalni mieszkańcy Marsa — objaśnił Broxan — czy też roboty biologiczne, stworzone przez Anagu aszych, naszych poprzedników na tej planecie, nie wiemy. Są bardzo użyteczni, absolutnie posłuszni, lękliwi. Mowę naszą rozumieją, ale sami wydają tylko gardłowe dźwięki, które jednak mają sens dla naszych ekspertów. Mogą przebywać tak samo dobrze w rozrzedzonej atmosferze Marsa, jak i w sztucznych warunkach stworzonych tu dla człowieka.

Korzystając z tego, że rozbiliśmy się na małe grupki, odciągnąłem Lenę w ustronne miejsce. Udało się to tym łatwiej, że, od czasu naszej przemiany nie stanowili z Joe'em już takiej nierozłączonej pary, jak dawniej.

— Och, Andra, — szepnęła dziewczyna — jak mi ciężko... jak walczę ze sobą i nie wiem, co postanowić... Jeśli

chcesz, wszystko powiem Joe'mu i zerwę z nim narzeczeństwo, ale. .. czy nie jestem jemu bardziej potrzebna niż tobie? Ty jesteś silny duchowo, on słaby... To miłość do mnie wyrwała go z apatii, nabrał chęci do życia... o Andra, czy nie powinniśmy złożyć ofiary z naszych uczuć?

— A kochasz mnie, jak przedtem?

— O Andra, nie pytaj... Kocham cię, ale czy tak samo? Tyle się zmieniło w moim życiu... w twoim. . . my już nie jesteśmy ci sami...

Rozpłakała się.

— Ja też jestem słaby — odparłem — bo niełatwo mi się ciębie wyrzec... Dawne uczucia wróciły z nową siłą...

Czy mówiłem prawdę? To, co kochałem, to obraz dawnej Leny już jednak trochę zatarty w mej odzyskanej pamięci. Nie kochałem Izy ; nie kochałem tej, stojącej przede mną ze łzami w oczach, Marsjanki o kruczonych włosach. Czy „ofiara”, o której mówiła, byłaby rzeczywiście bardzo wielką? A te uczucia, co „wróciły z nową siłą”, czy to nie raczej zazdrość, że gotowa wybrać kogoś innego?

Mówiło mi coś w duszy: „Okaz szlachetność, ustąp!” A tymczasem powtórzyłem:

— Jestem słaby, nie stać mnie na ofiarę... Może tracę przez to w twoich oczach, bo miałaś mnie trochę za bohatera...

— Nie bohatera kochałam w tobie, ale jak mi się wydawało, człowieka o wielkim sercu...

— Przekonałaś się, że mam je małe — rzekłem cierpko — możesz teraz ze spokojnym sumieniem kochać swojego Joe'go... Nie będę ci przeszkadzał.

Odwróciłem się na pięcie i zacząłem się oddalać. Może pogoni za mną? zawoła? Nie. Było mi bardzo ciężko w tym moim „małym” sercu.

Wpadłem niespodzianie na Joe’go. Stał samotnie, wpatrując się niewidzącymi oczami w jakieś żółte owoce.

Pomyślałem: „Odczuwa oddalenie się Izy od niego i cierpi. Może już przestać”. Nie powinienem był odczuwać żalu wobec niego, a przecież na jego widok zalała mnie fala niechęci. Po co wlaż w moje życie? Opanowałem się. Położyłem mu rękę na ramieniu ze słowami:

— Co tu sam robisz? Iza cię szuka.

— Tak? — ucieszył się. — Gdzie ona?

Wskazałem.

Idąc dalej i przeżuując swoje gorzkie myśli, natknąłem się na Nemo i Nancy. Doktor skinął na mnie.

— Dziewczyna ma dobry pomysł — rzekł — Prześlemy Wenuzjanom na Dejmosa lub Fobosa sygnały Morse’a za pomocą świecącego kruszcu. Przeprowadzają na pewno stałą obserwację powierzchni planety, powinni je dostrzec w nocy.

— Z odległości 3700 mil? — odparłem z powątpiewaniem.

— Muszą mieć specjalne przyrządy obserwacyjne. Weź też pod uwagę, że Mars to nie ziemia. Na naszym globie świecą w nocy miliony światel po miastach, wsiach i drogach. Tu życie nocne skupia się pod powierzchnią i sygnały mogą zwrócić uwagę.

Kilka dni zajęło nam rozpoznanie terenu. Ułatwił nam zadanie Broxan. Był czymś zbyt zajęty, by się nam udzie-

lać. Pozwolił nam samym chodzić na spacerów w obszarze obejmującym i kopalnię i tę cieplarnię, z której chcieliśmy wysłać sygnały. Żeby nie zabłądzić w labiryncie korytarzy i grot, każdy z nas otrzymał mały aparacik zawieszony na szyi. Wskazywał kierunek komnaty, gdzie mieszkaliśmy, ostrzegał przed przekroczeniem granic dozwolonego terenu, określał własne położenie.

Kopalnia i przetwórnia świecącego kruszcu nie były pilnowane, pracowały w niej owe zielone roboty, które nie zwracały na nas żadnej uwagi. Niemniej baliśmy się brać kruszec bezpośrednio stamtąd. Postanowiliśmy zaopatrzyć się weń z wagoników, które go rozwoziły.

Akcja przebiegła następująco. Nancy i Barbara ukradły z kopalni ciemne okulary, chroniące przed blaskiem kruszcu. Inna ekipa nagromadziła w cieplarni moc najrozmaitszych płacht.

Oznaczonej nocy do małego pociągu, złożonego z szeregu wagoników, wsiadł Nemo i Joe. W odpowiedniej chwili Joe obezwładnił kierowcę, biologicznego robota, związał go i zakneblował. Nemo skierował pociąg prosto do cieplarni.

Depesza, ostrzegająca przed grożącym zamachem na Wenus i donosząca o naszym położeniu, była już wypisana znakami Morse'a na piasku. W przygotowane rowki wsypywaliśmy teraz świecący kruszec i natychmiast przykrywaliśmy płachtami. Dopiero, gdy już wszystko było gotowe, nasunęła nam się zasadnicza wątpliwość.

— Czy Wenuzianie znają alfabet Morse'a?

— Może znajdzie się ktoś w bazie, kto przebywał czas jakiś na ziemi... a i tak, jeśli zauważą sygnały mogą je przesłać na księżyc czy Wenus do rozszyfrowania.

— Taki Kobra na pewno będzie wiedział, o co chodzi.

Nie pozostawało teraz nic innego, jak czekać na przejście Fobosa ponad naszym punktem sygnalizacyjnym. Wybraliśmy tego satelitę, jako bliższego powierzchni Marsa. Jego obieg trwa 7 godzin i 39 minut. Wzniósł się już godzinę temu ponad horyzont marsyjski i za kilkadziesiąt minut powinien był przejść ponad naszymi głowami. Czekaliśmy w napięciu.

Zajmowałem miejsce na początku „depeszy”. Obok mnie usadowiła się Nancy. Nachyliła się do mego ucha:

— Przyznaj się, Andrzeju, odzyskaliście z Izą pamięć.

— Skąd zgadłaś?

— Pali powiedział mi kiedyś, jaki was łączył stosunek. Widząc zapłakane oczy Izy, twoją rozterkę i przygnębienie Joe’go oraz inne oznaki kryzysu, łatwo się domyśliłam... A więc dawna miłość się odnowiła, prawda? I teraz nie wiecie, co z tym zrobić...

— Świnka jesteś, że mi tego wszystkiego nie powiedziałaś w bazie księżycowej.

— Po co? Oni byli szczęśliwi ze sobą, a ty nie czułeś się nieszczęśliwy bez niej.

Popatrzyłem na dziewczynę. Dali jej ciało młode i zgrabne, które jednak nosiło w sobie najwięcej cech negroidalnych. Według naszych gustów estetycznych nie była ładna. Zdawała sobie z tego sprawę, lecz znosiła swój los z humorem.



— Gdybym była ładniejsza — powiedziała teraz z uśmiechem, czując mój wzrok na sobie — to może nie miałbyś teraz takiego problemu...

— Głuptas jesteś — odparłem i niezgrabnie pogłaskałem jej papuaskie kudełki.

Zapadło milczenie. Mijały minuty za minutami. Wreszcie Nemo dał znak. Rzuciliśmy się odsłaniać płachty. Ciepłarnia rozbłysła rażącym światłem. „Ktoś z Marsjan musi to zauważyć — pomyślałem — i podnieść alarm, ale miejmy nadzieję, że Wenuzianie zdążą odczytać depeszę”.

Wtem za naszymi plecami zabrzmiał niesłyszany dotąd na Marsie głośny śmiech. Obejrzeliliśmy się. Za nami, zasłaniając oczy przed nadmiernym blaskiem, stał Broxan.

— Za późno, za późno! — wykrzyknął triumfalnie — Kilkanaście minut temu nasze aparaty stwierdziły, że pole ochronne na Wenus przestało istnieć. Pierwsze eskadry naszych bojowych dysków już ruszyły... inwazja rozpoczęta! Zastłońcie z powrotem te znaki i patrzcie!

Spełniliśmy polecenie. Gdy w ciepłarni zapanowała ciemność, ujrzeliliśmy na niebie setki świecących i poruszających się punktów.

— Zaraz Fobos i Dejmos znajdą się w naszych rękach lub rozlecą w kawałki — wyrzekł z pewnością w głosie Broxan.

Fobos powinien był właśnie znajdować się nad naszymi głowami, ale nie było go widać, wszedł bowiem w cień planety. Coś tam błyskało na jego kierunku, widać walka trwała. Nagle cały zachodni horyzont ogarnęło oślepiające białe światło.

— Bomba atomowa! — wykrzyknął Nemo.

— Kambur! — wrzasnął Broxan i rzucił się do otworu prowadzącego w głąb podziemi.

Popędziliśmy za nim w popłochu. Uderzył nasze uszy przeraźliwy dźwięk alarmu. W parę minut później zatrząśnięcie od wybuchu chodnik pod naszymi nogami. Korytarzami biegły gromady Marsjan i robotów, lecz bez paniki w zupełnym porządku. Jedną windą, potem drugą zjechaliśmy głęboko.

— Tu nas nie dosięgną — zapewnił Broxan — a tam na powierzchni niech nawet wszystko obróci w perzynę... Cóż nam teraz po tym starym trupie, gdy Wenus stanie się naszą?!

## Rozdział III

### OMX DECYDUJE

W kilka godzin później nadeszły wiadomości, że atak na Wenus powiódł się całkowicie. Natomiast nie udało się Marsjanom opanować lub zniszczyć obu satelitów Marsa. Także nasz księżyc pozostał w rękach Wenuzjan. Na pierwszy znak inwazji włączono tam pola ochronne, których atakujący nie mogli przeniknąć. Ponadto Wenuzjanie rzucili na powierzchnię Marsa trzy bomby atomowe i grozili dalszymi.

— Zdaje się, że ich więcej nie mają — mówił lekceważąco o tej groźbie Broxan — Dopiero niedawno wykradli wam tę broń z ziemi i próbowali na naszych pustyniach. Gdy na Fobosie i Dejmosie zabraknie żywności, będą musieli się poddać. Uciec nie mogą, gdyż nasze dyski zniszczą momentalnie ich własne. Na Wenus cała ich flota przestrzenna została zniweczona.

Dalszy atak atomowy nie nastąpił. Dzień po dniu ogromne transportowce międzyplanetarne szły teraz w kierunku Wenus, przewożąc nowe partie wojska i kolonistów. Mars pustoszał.

Żyliśmy w napięciu, oczekując z niepokojem wieści o losie naszych skradzionych ciał. Czy nas znowu „wymienią”? A co potem?

Nadeszła wreszcie katastrofalna wieść. Wenuzjanie po zniszczeniu urządzeń ochronnych, a tuż przed samym ata-

kiem, zdołali przyłapać całą grupę zamachowców w naszych ciałach. Najeźdźcy po zwycięstwie szukali ich nadaremnie. Doszli wreszcie do wniosku, że ich zlikwidowano. Sami podobnie by postąpili w takiej sytuacji, gdyż jakiegokolwiek motywy litości były im obce.

My natomiast trzymaliśmy się skrawków nadziei.

— Wątpię, by Wenuzjanie zabili „nas” bez zbadania sprawy. Mogli przypuszczać, że działamy pod wpływem niezwykle silnej hipnozy — starałem się pocieszyć przyjaciół i siebie.

Joe zapatrywał się mniej optymistycznie:

— Przemawiał przeciw nam fakt, że uciekliśmy z księżycą. Mogli sądzić, że dobrowolnie sprzymierzyliśmy się z Marsjanami. Krótki, powierzchowny sąd i kula w łeb.

Barbara odkryła nowy argument, podnoszący na duchu:

— Śniły nam się — rzekła — różne wydarzenia związane z naszymi skradzionymi ciałami: uciekaliśmy, łapano nas ... Odczulibyśmy w jakiś sposób, gdyby nas zabito ...

Joe pokręcił smutno głową.

— Pamiętaj, — powiedział — że w czasie wysadzenia urządzeń na Wenus i zaraz potem nikt z nas nie spał, bo przygotowaliśmy tę nieudaną depezę i uciekali przed bombą atomową. Na jawie zaś nigdy nic nie można było odczuć.

Najważniejsze zresztą było w tej chwili nie tyle, co się naprawdę stało z naszymi ciałami, lecz co o tym myśleli Marsjanie i co zdecydują z nami zrobić. Pierwsze oznaki nie były pocieszające. Zaczęto nas gorzej traktować i zapędzono do ciężkiej pracy przy ładowaniu transportowców międzyplanetarnych różnymi materiałami.

Zrodził się pomysł, by wypakować parę skrzyń i ukryć się w ich wnętrzu. Wypadki jednak potoczyły się tak szybko, że nawet nie zdołaliśmy rozpocząć przygotowań do ucieczki.

Zjawił się przy nas Broxan, którego już parę dni nie widzieliśmy.

— Chodźcie za mną! Omx was wzywa — powiedział uroczyście — On sam zadecyduje o waszym losie.

Udaliśmy się za nim z sercami ściśniętymi niepokojem. Wkrótce kolejka podziemna niosła nas w nieznane strony.

Broxan był jakoś nienaturalnie ożywiony i rozmowny. Wskazywał i objaśniał mijane po drodze olbrzymie komnaty i sale wykute w skałach, ale nas to dziś niewiele obchodziło.

— Może nam wreszcie powiesz, — zwrócił się do niego Nemo — kim jest ten wasz Omx.

— Jego istnienie zapoczątkował tysiąc lat temu jeden z naszych uczonych. Jest to, jakbyście powiedzieli, gigantyczny mózg elektronowy, lecz oparty nie na zasadach elektrycznych.

Rozpoczął zawile objaśnienie, którego słuchaliśmy nie rozumiejąc dobrze. Jeden Nemo zdawał się chwytać ogólny sens i podać nam później swoją interpretację.

— Broxan twierdzi — mówił — że cały wszechświat wypełnia jakby jakiś „eter”, jak to dawniej sugerowali niektórzy nasi ziemscy uczeni. Ów „eter” zachowuje się jak czuła błona fotograficzna, na której każda ludzka myśl i ludzkie działanie pozostawiają ślad. Nawet po setkach lat ślad taki może być odczytany przez jednostki o niezwyklej wrażliwości psychicznej.

— I my, zwykli zjadacze chleba, — przerwałem — odczuwamy nieraz psychiczną „atmosferę” miejsca. W niektórych domach wieje ze ścian dziwny smutek, a potem dowiadujemy się, że zaszła tam rzeczywiście jakaś tragedia. A gdzie najlepiej jest się nam modlić, jeśli nie w starych kościołach o murach nasiąkniętych wiekami modlitw ?

— Co więcej, — dodał doktor Nemo — czasem w danym miejscu zachodzi wydarzenie o tak wysokim napięciu uczuciowym, jak na przykład morderstwo, że jego „śląd” łatwo się „materializuje” w postaci zjaw, duchów, tajemniczych dźwięków i innych straszydeł. ..

— Czy nie są to aktualne dusze ludzi zmarłych? — spytała nasza spirytystka Barbara.

— Raczej nie. Bo z prawdziwą duszą chyba by można porozmawiać, wypytać się o warunki życia pozagrobowego ... a tu zjawia odtwarza zawsze jedną i tę samą scenę lub ma za zadanie wypełnienie jakiegoś, ostatniego zazwyczaj, pragnienia osoby umierającej: wskazanie ukrytego testamentu, odkrycie zbrodni...

— Słyszałem — wtrącił się Joe — historię o chłopcu zamurowanym żywcem, którego „duch” raz po raz kiwał palcem ze ściany. Odkryto tam wreszcie zamurowaną komórkę i szkielet chłopca ...

— Lecz co to ma wspólnego z naszym Omxem ? — spytała niecierpliwie Nancy.

— Omx, według Broxana, jest właśnie kolosalnym zbiorem świadomie stworzonych śladów psychicznych o niezwykłej trwałości i sile. To jest sztuczny „duch”, którego specjali „Strażnicy Omxa” od tysiąca lat „karmią” faktami, wiedzą

wynalazkami, a on to wszystko asymiluje, przetrawia, porządkuje ...

— Za nich myśli i nimi rządzi... — szepnęła Lena — to straszne.

— Zdaje się, — dodałem swoją uwagę — że kapłani egipscy potrafili czynić coś podobnego. Na straży grobów królewskich pozostawili takie pół-niezależne byty myślowe, które strzegą mumii i skarbów, sprowadzając śmierć i nieszczęścia na grabieżców, nie wyłączając archeologów. Ktoś takie sztuczne „duchy” nazwał „myślakami”.



Znaleźliśmy się wreszcie w pomieszczeniach Omxa



Zapanowała chwila głębokiego milczenia. Zrobiło nam się nieswojo na myśl, że los nasz zależał od sztucznego „ducha”.

— Czy będzie z nami rozmawiać? — spytała Barbara.

— Zobaczycie go i usłyszycie — odparł Broxan.

Znaleźliśmy się wreszcie w pomieszczeniach Omxa, ukrytych w głębinach marsyjskiego globu. Było tu bardzo gorąco, ale ratowały nas promieniste stroje, które nastawiliśmy na intensywne chłodzenie. Broxan wiódł nas długimi korytarzami. Po obu stronach widniały wielkie szyby. Za nimi tysiące ostrych iglic i kul rozmaitych rozmiarów wydawały z siebie pulsujące błękitnawe światło. To urządzenia zagęszczające „eter” i uaktywniające „zamrożone” od tysiąca lat myśli ludzkie.

Czy nie można by — spytałem doktora — dać mniej „mystyczną” interpretację Omxa? Już obecnie uczeni ziemscy pracują nad stworzeniem elektronowego mózgu, którego głównym składnikiem byłaby elektryczna „plazma”, zjonizowany gaz, utrzymywany w stałości przez pole magnetyczne\*). Czy Marsjanie nie stworzyli czegoś podobnego?

— Niewiele znam się — odpowiedział — na tej gałęzi nauki, ale z wypowiedzi Broxana wnioskuje raczej, że w tworzeniu Omxa brały udział przede wszystkim siły parapsychiczne ...

— Ale i technika daje swój wkład. Spójrz na te przyrządy! — wskazałem tajemnicze kule i iglice za szybą.

Nie było czasu na dalsze dyskusje, bo Broxan wprowadził nas do wielkiej sali o ścianach wyłożonych polerowaną, mie-

*\*] Dr Kenneth Shoulders ze Stanford Research Institute w Ameryce. Możliwości takiego komputora przy stosunkowo małych rozmiarach, byłyby wprost fantastyczne.*

dzianą blachą, podobnie jak w miejscu, gdzie mi zamieniono ciało. Panował tu upał, ale ratowały nas od gorąca promieniste stroje, które nastawiliśmy na intensywne chłodzenie. Rozsiedliliśmy się w wygodnych fotelach. Zgasło światło. Świeciły tylko nasze ubrania, ale Broxan kazał nam je przyćmić.

Poczułem nagle chłodny prąd powietrza, a w tej samej chwili poczęła się tworzyć przed nami zjawa. Bezkształtna najpierw fosforyczna mgiełka przyjmowała coraz wyraźniej kształt wielkiej postaci, rozjaśniała się. Ujrzałem wreszcie giganta, sięgającego głową sufitu, o niezwykłej piękności i blasku. Tak musiałby chyba wyglądać anioł, wysłannik niebios — niestety był to twór sztuczny i raczej piekielny niż niebieski.

Piękno postaci zachwycano, była to jednak piękność zimna ; patrzyły na nas oczy wielkie, czarne, lecz bez ludzkiego wyrazu. Odezwał się głos, silny, głęboki, ale wydawało mi się, że brzmiał jakoś „cementarnie”.

— Przybysze z Ziemi — powiedział Omx — zginiecie natychmiast po tej rozmowie. Jesteście zbędni. Wiem o was już niemal wszystko, tylko kilka punktów pozostało niejasnych, na które mi teraz odpowiecie. W rozmowach między wami, które wszystkie słyszałem, padało nieraz słowo „BÓG” . . . niech Nemo wyjaśni dokładnie znaczenie tego pojęcia, które jest mi niedostatecznie znane.

Doktor począł mówić. Omx przerywał pytaniami, krótkimi, jak wystrzały pistoletu, a zawsze celującymi w sedno sprawy.

— Drugie pytanie: co rozumiecie dokładnie przez pojęcie „MIŁOŚĆ”? Z rozmów między wami wynika, że określa ono coś więcej niż zwykły pociąg wzajemny między mężczyzną, a kobietą ...

— Trzecie pytanie: co oznacza słowo „OFIARA”, o której była mowa między Andrzejem, a Izą? Andrzej... Iza ...

Oboje jękaliśmy się przy odpowiedziach, starając się nie zdradzić tajemnicy naszych serc przed towarzyszami ... Nie byłem pewny, czy nam się to udało... Zresztą to wszystko jedno, za chwilę i tak zginiemy.

— Czwarte pytanie ... piąte ...

Rozgadaliśmy się. Był to rodzaj turnieju między człowiekiem, a... stworzoną przez niego zjawą, robotem wyższego rzędu. Pytania Omxa szły wyraźnie w kierunku głębszego poznania człowieka z ziemi, jego mentalności tak obcej stadnej duszy Marsjanina.

Walczyliśmy słowem, starając się przekonać Omxa o wyższości naszych ideałów i naszego sposobu życia. Zapomnieliśmy niemal, że to nie żywy umysł, ale sztuczny twór — monstrum, które notuje każde słowo, porównywuje z zawartością swej martwej pamięci i z zasadami, według których kazano mu „myśleć”. A właśnie te zasady były tak różne od naszych: egoistycznie pojęte dobro ludu marsyjskiego, wszystko podporządkowane celowi zdobycia władzy nad światem. Biedny Omx, nawet żeby „chciał”, nie mógł tego zmienić, nie mógł zacząć „myśleć” innymi kategoriami.

Wiedziałem o tym ja, wiedzieli na pewno moi towarzysze, choćby z grubsza orientujący się w zasadach pracy elektrono-

wych mózgow, od których Omx nie mógł daleko odbiec. A jednak mówiliśmy, przekonywali z jakąś desperacką nadzieją.

Po paru godzinach, gdy byliśmy już bliscy wyczerpania, Omx powiedział:

— Dosyc.

Wtedy Broxan oznajmił, że według praw marsyjskich przywilejem skazanych na śmierć jest z kolei zadawanie dowolnych pytań Omxowi. Każda osoba jedno.

Joe rzucił natychmiast:

— Jak możemy stąd uciec?

— Istniało dla was dotąd 128 sposobów ucieczki — odpowiedział Omx — pierwszy ...

Słuchaliśmy zafascynowani. Ani dziesiąta część tych możliwości nie przyszła nam do głowy.

Jednakże wyliczanie przerwał Broxan:

— To są obecnie czysto teoretyczne wywody — powiedział — bo o to samo pytałem się Omxa i zabezpieczyliśmy się przed wszelkimi możliwościami waszej ucieczki.

— Czy to prawda? — spytał Joe zjawę, nie dając za wygraną.

— Tak. Nie macie żadnej możliwości ucieczki.

Mimo tej kategorycznej odpowiedzi Nemo spróbował jeszcze jedynej drogi ratunku:

— Czy w wyroku śmierci na nas wzięłeś pod uwagę, że wiadomość o śmierci agentów, którzy zabrali nam ciała, może być nieprawdziwa? ... Ponadto, jeśli nawet nie możemy się przydać Marsjanom pod względem umysłowym, ze względu na dzielące nas ogromne różnice ideologiczne, to przecież przyda się nasza praca fizyczna, przydadzą nasze cia-

ła, dając nowe życie, rodząc synów waszych bohaterów, którzy poświęcili się otwierając drogę do Wenus ...

— Wszystko to zostało wzięte pod uwagę, a nawet i wiele innych argumentów, które przemawiały za pozostawieniem was przy życiu. Przeważają argumenty przeciwnie. Póki żyjecie, będziecie czynić wszystko, by szkodzić Marsjanom, a macie w tej dziedzinie większe możliwości, niż obecnie zdajecie sobie z nich sprawę.

A więc wszystko przepadło. Zmęczeni i pokonani zamilkliśmy. Broxan nie zachęcał do dalszych pytań. Nagle ja wyduśiłem z siebie:

— W jaki sposób mamy umrzeć?

Nie wiem, czy Omx coś odpowiedział, bo nie było nas już w sali. Fotele zapadły się pod podłogę. Znaleźliśmy się w innej komnacie: pustej i bez drzwi. Chciałem się zerwać z fotela ... nie mogłem.

Wtem w panującej ciszy rozległ się głośny trzask. To ciało Izy zabłysło oślepiającym blaskiem i rozwiało się w nicłość. Potem Barbara ... Joe ... Nancy. Doktor Nemo zdążył jeszcze coś wykrzyknąć, czego nie zrozumiałem.

Nie miałem czasu na żadną określoną myśl, na ostatnie westchnienie. Ciałem szarpnął straszliwy ból, a potem już nic... ciemność ... koniec.

**Koniec części I.**

# CZĘŚĆ DRUGA

WENUS

## Rozdział I

### RAJ W PŁOMIENIACH

Pierwsze wrażenia po śmierci? Moje były przyjemne i niespodziewane. Oczekiwałem czegoś raczej „duchowego”, a tu całkiem zwyczajnie: polana leśna pokryta rdzawym kołbiercem mchu. Wokół niej strzeliste drzewa o czerwonej korze, obsypane ciemno-zielonym liściem. Śpiew ptaków. Ciepłe powietrze nasycone waniliową wonią. Raj. A więc dostałem się do raju. Nawet ciało posiadam i to moje własne, odzyskane.

Chcę wstać, lecz członki słabo słuchają nakazów woli. Kręci mi się w głowie, upadam przy pierwszej próbie. Myśl też taka ciężka ... Leżę chwilę bez ruchu, potem wstaję powoli. Udało się tym razem! Postępuję kilka kroków, zataczam się, ale idzie coraz lepiej. Zawrót mija, mogę myśleć jaśniej. Może to każdy człowiek po śmierci musi się znaleźć w utraconym raju i przeżyć ponownie próbę pierwszych rodziców? Uśmiecham się: nie dam się skusić wężowi.

Rozglądam się wokół. Drzewa wyglądają znajome. Znajome są też olbrzymie kwiaty i miękki mech pod bosymi nogami. Tam na gałęzi kołysze się dostojnie purpurowo-złoty „wąż królewski” — przyjazne stworzenie, tu parę kroków ode mnie rosną na cienkich łodygach żółtawe „baloniki” — potrącić je mocniej, a polecą, niosąc w dal przyłączone u dołu nasionka.

Rozumiem, co się stało. Na Marsie zabito moje „pożyczne” ciało. Duch wrócił do własnego, z którym najwidoczniej zasadnicze więzy nigdy nie zostały przerwane. Odbyłem więc najszybszą ze swoich podróży: w jednej sekundzie z Marsa na Wenus.

Lecz gdzie są moi przyjaciele? Powinni tu być; tymczasem wokół ani śladu człowieka. Co robię tu sam w dżungli? Najprawdopodobniej poprzedni okupant mego ciała uciekł Wenuzjanom i tu się schronił.

Ogarniała mnie coraz większa radość, że oto jestem znowu „sobą”, że znalazłem się z powrotem w ślicznej wenuzjańskiej puszczy, gdzie przyroda wspaniała, a niebezpieczeństw mało. Siły wracały szybko. Ruchy stały się skoordynowane, nauczyłem się ponownie władać własnym ciałem.

Posiliwszy się słodkimi owocami, szedłem wzdłuż strumienia, szmerzącego przyjaźnie. Skakałem z kamienia na kamień. Cieszyłem się życiem, radowałem powietrzem, słońcem, które wielkim złotym dyskiem leżało w zenicie perłowego nieba. Widocznie w ucieczce straciłem przyodziewek, bo nie miałem teraz nic na sobie, ale mi to nie przeszkadzało zupełnie: odczuwałem przez to jakby bezpośredniejszą więź z otaczającą naturą, przeżywałem ekstazę jedności z całym stwo-



rzeniem, coś — czego musiał doznawać nasz prarodziec w raju. Szedłem tak w pół-transie parę godzin, póki mnie nie zmogło zmęczenie. Ułożyłem się do snu w cieniu gigantycznego liścia rośliny „mru”.

Wydawało mi się, że spałem długo, tymczasem słońce tylko nieznacznie się posunęło po niebie. Ruszyłem dalej wzdłuż strumienia. Las się skończył. Jego miejsce zajęła sawanna. W gęstej i wysokiej trawie trudno było się poruszać, toteż uradowałem się napotkawszy zwierzę „kiri”. Wygląda ono jak skrzyżowanie nosorożca z afrykańskim bawołem, jest bardzo łagodne. Wskoczyłem na szary grzbiet, uchwyciłem za potężne rogi i uderzeniami bosych pięt pobudziłem do stępa. Zwierz nie protestował, szedł posłusznie. Strumień wpadał do podłużnego jeziora, które zatrzymało dalszy pochód.

Kiri gasił pragnienie, a ja rzuciłem się od razu w przezroczystą toń. Przepłynąłem jezioro w poprzek i rozłożyłem się na białym miękkim piasku. Spojrzałem na niebo: coś ze słońcem było nie w porządku. Za mojego dawnego pobytu na Wenus dzień tutejszy równał się prawie ziemskiemu, teraz trwał już coś za długo.

Za jeziorem zaczęła się znowu wysokopienna dżungla i marsz po elastycznym mchu nie przedstawiał trudności.

Napotkałem rzeczkę i pozwoliłem się jej prowadzić. Olbrzymi tęczowy motyl usiadł mi na ramieniu. Nie płoszyłem go, niech siedzi. Poczułem na nowo falę zalewającej mnie radości i życzliwości do wszelkiego stworzenia. Przypomniały mi się słowa mego przyjaciela, starego czarownika Xudri. Mówił, że człowiek eksploatuje naturę nic jej w zamian nie dając.

Winniśmy jej miłość, która jest jej potrzebna i działa uszlachetniająco. Kochając ją promieniujemy z siebie jakąś żywotną energię dającą wzrost i piękno.

W wywiadzie telewizyjnym pytano kiedyś czterech ogrodników — ekspertów: „Jaki sekret posiadacie, że wasze kwiaty tak bardzo się wam udają ?” Odpowiedź, niezależna jedna od drugiej, brzmiała jednakowo: „Roz mawiamy z kwiatami”. Słyszając to, wzruszyłem tylko ramionami. Xudri jednak, któremu to później opowiedziałem, wytłumaczył mi, że ci ogrodnicy mówili prawdę. Nie tyle jednak same słowa, co ich miłość do kwiatów, wypowiedana słowami, sprawiała, że uda wały się wspaniale. Kochając promieniujemy życie.

Nie płoszyłem więc motyla. Przemawiałem do niego, a gdy wreszcie poleciał z własnej woli, mówiłem do drzew, do roślin, do ptaków i zwierząt i czułem się bardzo szczęśliwy.

Nadeszła wreszcie noc — niezwykle długa, której końca nie mogłem się doczekać, choć rozświetlały ją przepiękne wenuzjańskie zorze. Gdy wstało słońce, ruszyłem natychmiast w dalszą drogę. Rzeczka płynęła teraz dnem zielonej doliny. Czekał tu na mnie przykry widok. Od uprawnych pól, znaku obecności człowieka, odbijały ponure plamy spalenizny. Dziwne jednak — pożar pozostawia po sobie zwykle niestrawione resztki, a tu wypalił wszystko aż do litej skały. Nie, tu stoi część trzcinowej chaty odcięta od spalonej reszty, jakby ją kto odkrajał ognistym nożem. Podchodzę, dotykam. Zwykły pożar tak by się nie zatrzymał, zniszczyłby całą chatę... A oto w innym miejscu poza obręb czarnej plamy wychyla się w trawę piszczel ludzkiej ręki, ani śladu reszty szkieletu.

Co tu zaszło? Te spustoszenia spowodowały chyba marsyjskie dezynTEGRATORY. Cóż im jednak winni tubylcy? Chyba to, że należeli do nienawistnej rasy wenuzjańskiej.

Szperając po zakątku doliny nietkniętym dziwnym ogniem, znalazłem w jednej z ocalałych chatek dmuchawkę z woreczkiem malutkich strzał, nasyconych jadem pająka „uzu”, powodującym parogodzinne omdlenie. Zacząłem się też rozglądać za jakąś trawiastą plecionką czy skórami dla przepasania bioder na wzór Tarzana.

Różne znaki wskazywały, że zmasakrowani czy nieobecni mieszkańcy wioski należeli do tzw. plemion „Kuvli”. Stanowiło to pomyślną okoliczność. Te plemiona bowiem były potomkami cywilizowanych Wenuzjan, którzy przybyli tu z ziemi z legendarnej krainy Mu na Oceanie Spokojnym. Wiele tysięcy lat temu, gdy zagrażała jakaś katastrofa o powszechnym zasięgu, część Wenuzjan opuściła swoją planetę. Ci, co pozostali i przeżyli kataklizm, zeszli w większości do stanu prymitywnego, zachowali jednak dawną szlachetność i sporo zasad moralnych. Nie zabiliby mnie i nie zjedli, co mogłoby się zdarzyć, gdybym wpadł na plemiona „Kauin”, potomków najeźdźczych Atlantów i krewnych obecnych Marsjan.

Opuściłem zniszczoną wioskę. Teren opadał gwałtownie. Rzeczka szumiała wodospadami. Po obu jej stronach rosła dżungla, usiana skałami i masą głązów. Słup skalny zatarasował mi drogę. Wychyliwszy się spoza niego ujrzałem pierwszą istotę ludzką. Obrócona do mnie tyłem, po kolana zanurzona w wodzie, stała dziewczynka. Popielate, gęste włosy, przycięte nad ramionami, spalona słońcem na jasno brązowy

kolor skóra. Kuwilinka. Celowała z niewielkiego łuku w wodę. Zachciało jej się widocznie ryb.

Lecz w tejże niemal sekundzie zobaczyłem drugiego człowieka . Wysunął się ostrożnie z puszczy — złoty pas i rozchodzące się od niego purpurowe promienie... Marsjanin.

Zwrócony był do mnie plecami. Podnosił zwolna trzymany w rękę dezintegrator, celując w dziewczynkę. Byłem szybszy od niego. Ugodziła go wydmuchnięta strzała. Bezwładne ciało stoczyło się do wody. Słyszac plusk, dziewczynka odwróciła się, krzyknęła.

Wysuwałem się spoza słupa z tryumfalnym uśmiechem bohatera-wybawcy ... nagle dałem susa w tył, wykonałem rozpaczliwe „salto mortale” za następny głaz i wpadłem w rozpadlinę skalną.

Poderwałem się natychmiast i kulejąc przebiegiem skulony kilkanaście kroków. Za mną szedł przeraźliwy syk strzelającego dezintegrator i fala gorącego powietrza. Marsjanin, którego ugodziłem, miał towarzysza i ten ścigał mnie teraz z piekielną furją, śląc wiązkę za wiązką palących promieni.

Uratowała mnie rozpadlina i chroniły teraz głazy, lecz i one poczęły rozrywać się z hukiem. Nowe skoki jeden, drugi, trzeci. Ojej! głazy się skończyły ... przysiadłem za kępą okwieconych krzewów. Marsjanin nie widział mnie, szerzył dzieło zniszczenia o kilkadziesiąt metrów dalej. Trzęsącymi się rękami wepchnąłem nową strzałę w dmuchawkę. Wysunąłem broń ...

— Psiakrew! — zakląłem.

Kilka gałęzi zasłania mi cel, a tu potworny ogień zbliża się nieuchronnie, obracając w pył skały, pnie drzew ... za moment i ze mnie nie pozostanie śladu ...

Nie zginąłem. Zginął Marsjanin. Zapomniał o dziewczynce, a może wcale nie widział jej w wodzie. Mała niemal w ostatniej chwili wpakowała mu w plecy strzałę z łuku.

Wyszedłem z ukrycia. Szare oczy dziewczynki wpatrywały się we mnie z napięciem.

— Andra? — spytała wahająco.

— Andra. A kto ty jesteś? — spytałem z kolei w narzeczu kuwilińskim.

Zamiast odpowiedzieć, dziewczynka zaczęła radośnie tańczyć i klaskać w dłonie. Zatrzymała się wreszcie i powiedziała w tym samym narzeczu:

— Nie poznajesz mnie? Jestem Paumi.

Paumi? ... Oczywiście Paumi. Te same dobre szare oczy, tylko wyrosła, a niemal chłopięce dawniej kształty zaokrągliły się nieco. Gdy ją poznałem, miała z dziesięć lat. Była wtedy z nią Dorti: śliczna półwenu- zjanka, półziemianka, ówczesny przedmiot moich westchnień.

— Pamiętam. Urosłaś.

Uściskaliśmy się serdecznie. Zarzuciła mnie pytaniami, lecz ruchem ręki przerwałem potok słów. W dżungli mogły kryć się więcej nieprzyjaciół.

Podniosłem dezintegrator. Przycisnąłem jęczyczek. Buchnęły promienie i po naszym przeciwniku pozostał tylko czarny ślad wypalony w skale.

I drugiego Marsjanina w wodzie spotkała zupełna kremacja. Poniewczasie żałowałem, że nie zdjeliśmy mu przedtem

złotego pasa. Promieniste ubranie świetnie nadawało się do wenuzjańskiego klimatu, bo można było regulować dowolnie jego temperaturę.

Paumi wyłowiła z rzeczki drugi dezynegrator, dzięki czemu reprezentowaliśmy teraz we dwójkę potężną siłę ogniową.

W trawie, obok miejsca, gdzie unieszkodliwiłem pierwszego przeciwnika, znaleźliśmy okrągły aparacik z niewielką anteną. Zaryzykowałem i przycisnąłem czerwony guziczek. Rozległo się ciche brzęczenie. Gdy zmieniałem kierunek anteny, brzęczenie słabło, ustawało zupełnie, pojawiało się znowu. Wkrótce zorientowałem się, o co chodzi. Był to detektor obecności ludzkiej. Pewnie dzięki niemu znaleźli Paumi. Cemu jednak dźwięk wydobywa się tylko wtedy, gdy kieruję anteną ku dziewczynce, a nic nie brzęczy, kiedy nastawiam na siebie? Na razie nie znalazłem odpowiedzi.

Paumi powiedziała, że Marsjanie najczęściej latają po dwóch w małych dyskach i ci więc powinni byli mieć swój aparat w pobliżu. Rzeczywiście odkryliśmy go niedaleko. Chciałem doń podejść, ale powstrzymała mnie Paumi.

— Oni wychodząc z „vany”, — rzekła — robią coś takiego, że ktokolwiek inny się jej dotknie, ginie.

Zostawiliśmy więc dysk w spokoju i ruszyliśmy śpiesznym krokiem w głąb dżungli. Paumi wybierała jak najbardziej zacienione miejsca, bojąc się obserwacji z góry. Cóż to jednak mogło pomóc, gdy nieprzyjaciel posiadał wykrywacze ludzkiej obecności? Niepokoiło mnie to bardzo. Dziewczynka prowadziła mnie do kryjówki, gdzie po spaleniu wioski schroniła się z matką i paroletnim braciszkiem. W czasie ataku Mar-

sjan szukały w lesie owoców i tak ominęła je śmierć. Prawdopodobnie ocaleli i inni członkowie plemienia Abgajów. Z tą nadzieją w sercu Paumi opuściła kryjówkę. Nie spotkała pobratymców, ale zetknęła się ze mną.

Paumi, mimo że miała na szyi złoty łańcuch, na rękach i nogach złote bransolety, wydobyte z ruin starożytnego miasta, a w rękę dezyntegrator, co ją musiało znacznie obciążać, szła tak zręcznie i prędko, że ledwo mogłem dotrzymać jej kroku. Raz czy dwa jej brązowe ciało znikło mi przed oczu w zielonej gęstwinie. Pędził ją niepokój. Zauważyłem, jak często zadziera głowę do góry. Czyniłem to i ja. Dyski nie wydają dźwięku i trzeba było polegać tylko na wzroku.

\* \* \*

Wreszcie zauważyliśmy wroga. Szybował nad nami złoty „talerzyk”. Leciał wolno, zataczał koła. Przywarliśmy pod parasolem gigantycznego grzyba, wstrzymując oddech.

„Mają na pewno detektory i odkryją obecność Paumi” - pomyślałem. — „Gdybym ją zostawił ...” lecz nie, nie mogę jej opuścić. Trzymałem w rękę kurczowo dezyntegrator... Czy będzie skuteczny przeciw dyskowi? Czemu nie wypróbowaliśmy tego nad rzeczką?

Wtem przyszło olśnienie.

— Paumi! — niemal krzyknąłem. — Zdejmuj te ozdoby! Szybko!

Sam ściągnąłem jej łańcuch z szyi. Nie pytając o nic zdjęła bransolety.

— Zostaw to wszystko tutaj i uciekajmy! — szepnąłem — tylko tak, by nas nie zauważyli.

Olbrzymie liście gęsto rosnących krzewów i parasole grzybów osłoniły naszą ucieczkę. W sam raz zostawiliśmy złote ozdoby. Z dysku spłynął potop ognia w miejsce, gdzie leżały. Przed chwilą cieszyła tam oko soczysta roślinność, teraz ziała czarna pustka.

W czas domyśliłem się, że marsyjskie detektory nie wykrywały obecności ludzkiej bezpośrednio. Wskazywały tylko, gdzie jest metal, tak nieodłącznie związany z człowiekiem.

Dysk oddalił się, a wkrótce potem lunęły z nieba strumienie deszczu tak gorącego, że aż parzył. Sporządziliśmy parasole z liści i maszerowaliśmy dalej, póki rozmokła gleba nie uniemożliwiła pochodu. Rodzaj groty utworzonej przez dwie płaskie skały dał nam schronienie przed deszczem i odpoczynek.

— Paumi, — spytałem, rozciągając się na miękkim mchu — czy mi się wydaje, czy też naprawdę słońce jakoś zbyt powoli posuwa się po niebie? Powinien już być wieczór, a tu jeszcze tak jasno mimo ulewy.

— Od napadu tych, jak ich nazywasz Marsjan, zaszło coś dziwnego - odparła sennym głosem. — Dzień i noc stają się coraz dłuższe, deszcze nigdy dawniej nie były tak gorące, a burze tak przeraźliwe, zwierzęta . . .

Nie dokończyła, zasnęła. Wkrótce i mnie zmorzył sen.

Obudziłem się pierwszy. Panowała już noc. Wyszedłem na zewnątrz. Skały, które dały nam schronienie, górowały nad okolicą. Roztaczał się stąd teraz widok tak piękny, że aż wstrzymałem oddech. Niebo pokrywała silna, seledynowo-



srebrna zorza. Jej blask nadawał tę samą poświatę parującej po deszczu dżungli. Pomiedzy drzewami fruwało tysiące nocnych motyli-światlików. Wydawały z siebie delikatny blask o wielkim bogactwie pastelowych barw. W nozdrza uderzała rozkoszna woń — coś jakby fiołków zmieszanych z cynamonem. Wszystko tonęło w zupełnej ciszy. Ani zwierz nie zaryczał, ani zaszeleściła gałąź, żadnego podmuchu wiatru.

Paumi stanęła u mego boku. Zaśmiała się cichutko, nie wiadomo dlaczego, i ująwszy mnie za rękę pociągnęła ku dżungli. Znaleźliśmy się pośród rojowiska motyli, które zgrabnie unikały zderzenia z nami. Dziewczynka schwyciła latającego owada. W tej samej chwili stało się coś niezwykłego. Motyl trysnął na wszystkie strony chmurką lśniącego pyłu. Sam stracił blask całkowicie, ale za to buzia Paumi obsypana była teraz świecącym pudrem. Puściła więźnia odartego z piękna. Chwyciła drugiego, trzeciego, czwartego ... Wkrótce cała, od stóp do głowy, wyglądała niby wróżka z krajiny czarów.

— Middum-m dzai kamalla? — spytała zalotnie. — Czy nie wyglądam ślicznie?

— Kama-kamalla! — potwierdziłem entuzjastycznie. — Prześlicznie! Ładniej niż w tamtych złotych ozdobach.

Paumi posmutniała.

— Szkoda ich — rzekła. — Czy jesteś pewny, że to metal przyciąga Marsjan? Dezintegrator też są z metalu...

Rzeczywiście detektor, jak sprawdziłem, nie reagował na nie, na pewno specjalnie tak zrobili.

Paumi postanowiła teraz uczynić i ze mnie świecącego wróża. Łapała motyle niezwykle zręcznie. Mnie się tylko je-

den pozwolił schwytać. Prysnał mi przy tym w oczy świetlistym pyłem i oślepił na chwilę.

Po pożywieniu się sytymi owocami i napiciu wody ze źródła ruszyliśmy dalej w jasną noc, niezwykle długą.

„Najwidoczniej Wenus zwolniła swój obrót wokół osi, wskutek zniszczenia instalacji tworzących pole ochronne naokoło planety” — myślałem idąc. — „Ale takie gwałtowne zwolnienie rotacji przeczy wszelkim znanym mi prawom fizyki... Cóż z tego? Fakt jest faktem”.

Przechodziliśmy właśnie obok dużego jeziora, gdy omal nie potknęliśmy się o dwóch wojowników plemienia Mzauri, śpiących na piasku. Zerwali się błyskawicznie i utopiliby bez namysłu swoje dzidy w naszych ciałach, gdyby nie okrzyk Paumi. Zawołała coś w ich języku. Opuścili dzidy i zaczęli szybko mówić.

— W pierwszej chwili po obudzeniu — przetłumaczyła mi mała — wzięli nas za Marsjan, a to z powodu świecącego pyłu, który przypomina promieniste stroje. Ich też Marsjanie rozbili i ścigają po lasach.

Rozmawiała dalej, a ja tymczasem przyglądałem się z podziwem ich wspaniałym sylwetkom, odcinającym się ostro od tafli wodnej. Zdawać by się mogło, że to brązowe statuy greckich herosów ożyły i zbiegły z jakiejś galerii sztuki. Skórę mieli ciemniejszą od Paumi, a porównanie z brązem nasuwała też okoliczność, że ciała ich pokrywał tłustawy płyn lśniący w świetle zorzy.

— Powiedz im — odezwałem się do Paumi — żeby natychmiast zakopali swoje bransolety, noże i zdjęli metalowe ostrza z dzid.

— Właśnie im to wyjaśniam — odparła.

Mzauri, dzikie plemię Kauin, zamieszkujące wyspę Ognistą”, na której się znalazłem, byli kiedyś zażartymi wrogami Abgajów. Jednak od ostatniego mego pobytu tutaj stosunek ten zmienił się na bardziej pokojowy.

Za pośrednictwem Paumi dowiedziałem się, że Marsjanie założyli swą bazę na znanej mi z poprzednich przygód „Górze Strachów”. Stamtąd urządzali swe barbarzyńskie wypady na tubylców.

Obaj Mzauri pozbyli się czym prędzej metalowych ozdób i broni. Umieścili je za moją radą pod kamieniem w wodzie. Tam jak sprawdziłem, detektor nie mógł ich wykryć.

Zaraz potem Paumi i ja wskoczyliśmy do jeziora, żeby splukać z siebie świecący pył, który okazał się ozdobą niebezpieczną. Nie chciało nam się wychodzić z chłodnej wody, bo na zewnątrz, mimo nocy, panował nadal duszny upał. Gdy wreszcie wyszliśmy na brzeg, usłudźni Mzauri wysmarowali nas tą samą oleistą ciecżą, co pokrywała ich ciała. Był to sok kaktusowatej rośliny „bdauli”. Posiadał chłodzące właściwości, a pachniał lawendą.

Po spełnieniu tej przysługi wojownicy pożegnali się z nami i znikli jak duchy w puszczy. Chcieli jak najszybciej przestrzec innych członków plemienia, rozproszonych po dżungli, przed noszeniem jakichkolwiek metalowych przedmiotów.

Dalsza droga w chłodzie była teraz o wiele łatwiejsza, a gdy po dwóch godzinach „bdauli” przestało działać, poszukaliśmy sami tej rośliny i powtórzyliśmy zabieg. Świtało, gdy dotarliśmy do celu.

## Rozdział 11

### WĘDROWCY CZASU

Zastaliśmy Neidi, matkę Paumi i jej braciszka Nkali w świetnie zamaskowanej grocie u stóp „Góry Strachów”. Czarnowłosa Abgajka przywitała mnie radośnie — znaleźliśmy się z dawnych czasów. Dogadzała mi teraz, jak mogła. Przygotowała świetny posiłek z wielkiego kraba lądowego „mra”. Upłótła na moją prośbę z barwnej rafii przepaskę na biodra, praktyczniejszą w tym gorącym klimacie niż skóry czy nawet spódniczka z piór, używana przez Abgajów w czasie plemiennych uroczystości. Ułożyła dla mnie z mchu wygodne legowisko i nalegała, żebym nic nie robił tylko wypoczywał. Ja natomiast czułem przede wszystkim potrzebę czynu, ale jaki to miał być czyn, nie wiedziałem dobrze.

— Czy potrafiłabyś — zwróciłem się do Paumi — zaprowadzić mnie do podziemi w ruinach miasta, skąd atakowaliśmy kiedyś złych czarowników?

— O, tak. Sama chodziłam tam parę razy po złote naszyjniki i bransolety. Pamiętam dobrze melodie, którymi Dorti otwierała przejścia. Idziemy?

— Chodźmy! Marsjanie założyli tam swoją bazę, może nam się uda spłatać im jakiegoś nieprzyjemnego figła.

Bałem się, czy Neidi zezwoli Paumi na wyprawę w samą smoczą jamę, ale zgodziła się bez słowa protestu.

W samo południe wspinaliśmy się mozolnie po stromych stokach pierścieniowej góry. Przywarliśmy dwukrotnie do skały, gdy przemknęły nad nami złociste dyski. Nie zauważyli nas. Przewornie okręciliśmy ciała zielonym powojem dzięki czemu zlewały się z roślinnością, która obficie czepiała się skał.

Gdy po paru godzinach wspinaczki szczyt pierścienia był tuż, staliśmy się świadkami bitwy powietrznej. Od zachodu nadleciał srebrny dysk wenuzjański. Z wnętrza „Góry Strachów” wyprysnął ku niemu złoty dysk marsyjski. Wenuzjanin musiał strzelać niewidzialnymi promieniami, Marsjanin buchał płomieniem. Oba dyski poruszały się z nieprawdopodobną szybkością zataczając półkola, kreśląc ostre zygzaki, zatrzymując się nagle i ruszając znowu z niezwykłym przyspieszeniem. Wreszcie złoty dysk rozprysł się z hukiem, zmieniając się w obłok pyłu.

— Hurraaa! — krzyknąłem.

Zapominając o ostrożności wyskoczyłem z kępy krzaków i machałem radośnie rękami. Paumi złapała mnie za nogę i ciągnęła z powrotem do kryjówki. A triumf Wenuzjanina trwał niestety krótko. Ku zwycięzcy sypnęło się coś z dziesięć złotych dysków i w parę sekund później srebrny dysk eksplodował. Ciągnąc za sobą smugę zielonego, jaskrawego światła, runął w dżunglę.

Ta bitwa, mimo smutnego wyniku, dodała mi otuchy. Póki walka trwa, nie wszystko jeszcze stracone. Z tym większą determinacją ruszyłem naprzód.

Noc zastała nas już wewnątrz górskiego pierścienia. Ciemno było tym razem, choć oko wykol. Paumi jednak szła pewnie. Wychowała się przecież tutaj. Wkrótce zresztą zrobiło się nieco jaśniej, bo w dżungli pokrywającej dno krateru błyskało coraz więcej „świeciuszek”: kwiatów — lampek. Te same kwiaty posłużyły nam za latarki, gdy schodziliśmy w znajome podziemia. Zatrzymała nas lita, na pozór, skała. Przeżyłem chwilę emocji, kiedy Paumi zaczęła nucić „zakłęcie” — czy dobrze pamiętała właściwe „Sezamie otwórz się”? Skała drgnęła, uchyliła się i szczęśliwie wsunęliśmy się do oświetlonego chodnika.

Paumi poruszała się w tym labiryncie tak swobodnie jak we własnym domu. Zatrzymała się przed następną ścianą pokrytą hieroglifami. Zanuciła inną melodię. Otworzyła się przed nami wielka komnata, z obszernym łóżem pośrodku, wyścielonym skórą.

— DORTI tu często odpoczywała — objaśniła dziewczynka — i my się prześpijmy, bo mi się oczy same zamykają.

Po przebudzeniu, posuwaliśmy się dalej poprzez chodniki, tunele i sale wypełnione niesłychanym bogactwem. Aż kapało od złota i drogich kamieni. Przechodziłem obojętnie obok tych wspaniałości. Moim celem dostać się od dołu do środka pustych wewnątrz, ogromnych figur przedstawiających jakieś przedpotopowe potwory. Stały one nad jeziorem koło doskonale zachowanej starożytnej piramidy. Przez oczy i paszcze tych posągów można było obserwować, co się dzieje na zewnątrz.

Szliśmy w milczeniu, nie zachowując jednak żadnych ostrożności. Nie przypuszczałem, żeby Marsjanie przeniknę-

li do podziemi. Spotkała mnie niespodzianka. Za zakrętem jednego z korytarzy wpadłem na dawnego znajomego ... przed serią hieroglifów notował coś zawzięcie ... Broxan.

Nie zdążyłem się cofnąć. Dostrzegł mnie. Na twarzy jego odmalowało się zdziwienie.

— Malduk! — wykrzyknął — A my sądziliśmy, że was Wenuzjanie zabili... Niestety nie wrócisz już do swego ciała ... Jak się tu znalazłeś?

Wahałem się. Czy Broxan rzeczywiście myśli, że w moim ciele siedzi nadal świadomość Malduka, czy udaje, widząc dezintegrator w moim ręku? Jeśli naprawdę wierzy, że jestem Marsjaninem, to świetna okazja, by się w nich wmieszać ... Zaryzykowałem.

— Broxan! — zawołałem z udaną radością — Ty jeden mnie znasz i możesz świadczyć, kim jestem ... Uciekłem Wenuzjanom i dotąd błąkałem się po dżungli....

Mówiłem wolno, jąkałem się, wtrącałem słowa wenuzjańskie. Zapomniałem, że moja znajomość języka marsyjskiego była znikoma. To mnie zdradzi, czy już zdradziło ... może lepiej go zabić i uciekać?

Broxan przyglądał mi się coraz podejrzliwiej... Nagle przyszło mi natchnienie na nowe kłamstwo. Potarłem czoło, poruszyłem niecierpliwie głowę, jakby coś strząsając.

— Bili nas, torturowali ... otrzymałem kilka uderzeń w głowę i odtąd trudno mi mówić... wszystko się miesza ...

— Skąd ta broń? — spytał o dezintegrator.

— Znalazłem.

Popatrzał teraz na moją dmuchawkę przewieszoną przez ramię. Skrzywił się.

— Zabiłeś naszych pilotów. Słusznie. Inaczej by ciebie zabili... A jak się tu dostałeś?

— Kręciłem się po ruinach, bojąc się podejść do was otwarcie . . . przez jakąś dziurę wpadłem do tych podziemi.

Broxan nie widział Faumi, która szła parę kroków za mną i zatrzymała się na dźwięk obcych słów. Teraz wychyliła się za plecami Marsjanina z innego korytarza. Napięty łuk gotowy był do strzału. Pytała mnie oczami, co robić?

Schwyciłem się za głowę, jakby mnie przeszył atak bólu i zacząłem mamrotać po kuwilińsku:

— Nie strzelaj ... schowaj się ... bądź blisko ...

Zachwiałem się, wypuściłem broń z ręki. Broxan podtrzymał mnie. Paumi zniknęła.

— Chodź! — powiedział Marsjanin — Potrzebujesz odpoczynku.

\* \* \*

Broxan zrobił ze mnie jakby swego adiutanta. Towarzyszyłem mu wszędzie. Nikt poza nim nie interesował się mną. Wiedzieli już, kim jestem, ale nikomu nie przyszło na myśl wyrazić swojego uznania za wysadzenie instalacji w Kamiru i umożliwienie inwazji. Nie istniał dla nich kult bohaterów. I lepiej, bo gdyby mnie wypytywano o szczegóły, łatwo mógłbym się zdradzić.

Mój marsyjski nadal był godny pożałowania, ale Broxana chyba przekonało moje tłumaczenie, bo nie zwracał na to uwagi.



Któregoś dnia zabrał mnie w podziemia, dokąd Marsjanie dostali się wybiwszy obszerny otwór u podnóża piramidy. Tutaj dowiedziałem się, dlaczego najeźdźcy założyli swą bazę właśnie w znanym mi już miejscu na „Górze Strachów” i dlaczego Broxan pojawił się tu natychmiast po naszym „zlikwidowaniu”. Bałem się go pytać o to przedtem, żeby nie zdradzić ciekawością swej tożsamości.

Zatrzymaliśmy się przed przezroczystą ścianą, za którą stało kilkaset łoży ze spoczywającymi na nich dawnymi mieszkańcami tej góry, Kajnami. Przed tysiącami lat ułożyli się tutaj z nadzieją, że się kiedyś obudzą. Wenuzjanie usiłowali ich zbudzić, lecz na próżno, byli przekonani, że są to tylko świetnie zakonserwowane ... trupy. Gdy byłem tu ostatni raz z Dorotą, Kajnowie leżeli nieruchomo z zamkniętymi oczami. Teraz ze zdumieniem zauważyłem, że większość miała oczy otwarte, niektórzy znajdowali się już w pozycji półsiedzącej, jakby chcieli wstać. Niemniej nadal oko nie dostrzegało żadnego ruchu.

— Broxan! Co to jest? — spytałem.

— Jak to? nie wiesz? — odparł. — Przecież to od ciebie dowiedzieliśmy się o istnieniu tego miejsca ... a prawda ... ciągle zapominam, że w tym ciele siedzisz teraz ty...

Pod koniec pobytu na Marsie przyznałem się moim towarzyszom, że amnezja ustąpiła i odzyskałem pamięć okresu spędzonego na Wenus. Opowiedziałem im swoje przygody. Marsjanie podsłuchali je.

Broxan objaśnił, że Omx zainteresował się Kajnami i natychmiast po naszej „śmierci” przysłał tu flotyllę dysków i Broxana. Był specjalistą w dziedzinie lingwistyki, i otrzy-

mał zadanie odcyfrowania starych napisów i przywrócenia do życia starożytnych krewniaków Marsjan.

— I wiesz? Co za zbieg okoliczności! — mówił Broxan, zapalając się i gestykulując, co było u niego rzadkim zjawiskiem. — Za parę dni Kajnowie sami, bez niczyjej pomocy, powstaną... Już wstają, chociaż wzrokowo nie możemy jeszcze uchwycić samego ruchu. Będzie się on stawał coraz szybszy, aż wreszcie ich czas zrówna się z naszym.

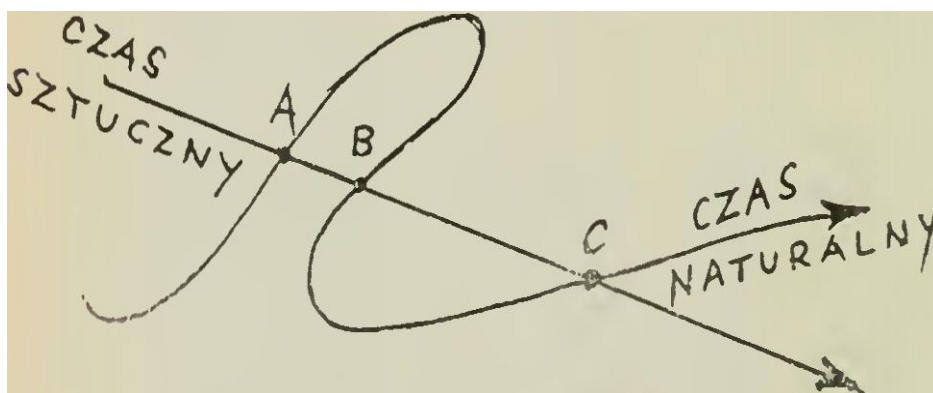
— To niemożliwe! — wykrzyknąłem. — Czyżby życie mogło się w nich utaić przez tysiące lat?

— I ja wątpię, żeby można było zakonserwować życie ludzkie na tak długi okres czasu, ale dla nich ten sen i pobyt za tą przezroczystą ścianą trwa zaledwie parę dni...

— Co?

— Nie jesteś z kasty uczonych . . . jakby ci to najprościej wytłumaczyć? Patrz!

W swoim notatniku nakreślił kilka linii:



— Niedawno ziemski uczyony odkrył, że przestrzeń jest „zakrzywiona” ... jak się on nazywał?

Chciałem podszeptać: Einstein, ale się pohamowałem w porę. Czyżby to była pułapka? Jeszcze nie jest mnie pewny ...

— Słusznie, nie możesz wiedzieć . . . Wszystko jedno, jak się nazywał ... My natomiast od dawna wiemy, że nie tylko przestrzeń, ale i czas jest „zakrzywiony”. Widzisz tę wijącą się linię? To jest tor czasu, po którym wszyscy pędzimy z pewną szybkością i to przyspieszoną ...

— Co to znaczy, że czas jest „krzywy”?

— Za głupi jesteś, by to zrozumieć, bo nie znasz wyższej matematyki. Dość, że tak jest. Jednak obok tego czasu „naturalnego” można stworzyć czas „sztuczny” i odpowiednio go skierować. Widzisz tę drugą linię, prostą, przecinającą pierwszą w kilku punktach?

— Widzę.

— Otóż ci Kajnowie, zamiast się posuwać po torze normalnego czasu, wskoczyli w punkcie A. parę tysięcy lat temu, w czas sztucznie wytworzony odpowiednim układem pól ... a to dla ciebie za trudne... Dość, że chociaż zajmują w przestrzeni to samo miejsce co my, ich czas jest różny od naszego. Wejść w nasz czas mogą tylko w punktach wzajemnego przecięcia się linii czasowych, a więc w punktach B i C. Według danych, pozostawionych przez Kajnow w tych napisach i według naszych obliczeń, za parę dni i oni i my znajdziemy się w punkcie B. Miejmy nadzieję, że ich urządzenia nadal działają i zdołają ich przerzucić z powrotem w tor naszego czasu. Następną okazja, tj. punkt C, zdarzy się dopiero za 5 tysięcy lat. Dla nich by to wyniosło ponad 300, już by więc nie żyli.

Ogarniało mnie coraz większe podniecenie. A więc za parę dni, gdy wszystko dobrze pójdzie, spotkam ludzi, którzy żyli kilka tysięcy lat temu.

Gdy wychodziliśmy z podziemi, Broxan zatrzymał się gwałtownie i zakrył oczy ręką.

— Nie mogę pozbyć się lęku otwartej przestrzeni — przyznał się. — Całe życie spędziłem w głębinach Marsa. Weź mnie za rękę, bo mam wrażenie, że zaraz ulecę w przestrzeń.

Była to rzeczywiście jedna z największych przeszkód w dostosowaniu się Marsjan do życia na Wenus. Jednym z połowicznych rozwiązań tego problemu było rozpinanie sieci w powietrzu. Gdy wyszliśmy na plac między piramidą, a jeziorem, zobaczyłem Abgajów zajętych właśnie tą pracą. Najeźdźcy zastali część tego plemienia na Górze Strachów. Nie wymordowali ich na szczęście, ale używali do różnych robót.

Paumi mieszała się po prostu ze swoimi współplemięncami. Udawali, że mnie nie znają, ale wiedziałem od dziewczynki, że są gotowi do wszelkiej pomocy, której mogłem potrzebować.

Teraz sam Broxan, który zdołał już opanować pierwsze nieprzyjemne wrażenie i puścił moją rękę, powiedział:

— Wiemy z opowiadań Andry, że został honorowym członkiem tego plemienia. Wykorzystaj to. Wmieszaj się w nich. Dobrze wiedzieć, co oni myślą i jak są do nas nastawieni.

Wykorzystałem z radością to polecenie i odtąd wiele czasu spędziłem w niedalekiej wiosce Abgajów.

\* \* \*

Nadszedł wreszcie niezwykły moment. Broxan pozwolił mi wziąć udział w powitaniu „wędrowców czasu” sprzed 3500 (ziemskich) lat.

Wszystko odbyło się bardzo „zwyczajnie”. Kajnowie powstali już ze swych łoży i poruszali się z normalną szybkością. W pewnym momencie dzieląca nas dotąd przezroczysta tafla przestała istnieć. Wyszli ku nam ze słowami powitania tak naturalnie, jak podróżni wysiadający z pociągu.

Co mówili, nie rozumiałem. Broxan oraz dwóch innych uczonych marsyjskich porozumiewali się z nimi dość swobodnie. „Wskrzeszonych” było kilkaset osób obu płci, większość w młodym wieku, dzieci kilkoro. Podobni byli do Marsjan, ale cechy negroidalne występowały tylko nieznacznie i cerę mieli brązową, spaloną słońcem. Była to ładna rasa.

Przybrani byli w stroje przypominające ubiór starożytnych Egipcjan. Zwróciłem uwagę na młodą dziewczynę, która była wprost prześliczna: czarne faliste włosy, ogromne orzechowe oczy w oprawie silnie zarysowanych brwi i długich rzęs. Usta pełne, wdzięcznie wycięte. Zdobiła ją śnieżnobiała, obcisła szata po kostki i naszyjnik, jakby wprost wyjęty z egipskiego sarkofagu.

Zamieniwszy kilka słów z Marsjanami, niecierpliwie ruszyli ku wyjściu — ciekawi, jak wygląda świat po tysiącach lat. Poszedłem za nimi.

Zatrzymali się na placu z wyrazem bólu. Jezioro, piramida — te same, lecz z miasta, pewnie rozległego i pięknego niegdyś, nic nie pozostało. Nawet nieliczne ruiny pokryła dżungla. A dawni współmieszkańcy, poddani, przyjaciele — rozsypali się w proch.

Chwila głębokiego milczenia, po czym rozbiegli się gromadkami wskazując sobie różne znajome punkty w terenie, wymieniając wrażenia. Na nas nie zwracali uwagi; nawet stojącym w pobliżu dyskom nie poświęcali wiele uwagi. Marsjanie patrzyli na nich obojętnie. Niezdolni do żywszych uczuć życzliwości, zainteresowani byli jedynie w wydobyciu od tych starożytnych krewnych tajemnic, które sami zatracili z biegiem wieków.

Moje oczy przykuwała nadal owa piękna dziewczyna. Skierowała się drobnym kroczkiem ku jezioru i usiadła na szczątkach kolumny. Jej wzrok przesuwiał się w zamyśleniu po srebrnej tafli wody. Podszedł do niej młody człowiek, mogący mieć ze dwadzieścia lat. Zamienił kilka słów, po czym zrzuciwszy z bioder sztywnawą, jakby nakrochmaloną, złocistą spódniczkę, dał nurka w wodę. Wychylił się za chwilę z toni potrząsając tryumfalnie złowioną purpurową rybą. Puścił ją i popłynął dalej.

Zbliżyłem się do siedzącej dziewczyny. Odwróciła głowę na szelest mych kroków i obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Przyjrzała się najprzód z wyraźnym zainteresowaniem memu „promienistemu” strojowi, po czym jej spojrzenie przesunęło się na moją twarz. Wskazała ręką na moje włosy.

— Mu-Xajtłax? — spytała.

Zrozumiałem. Xajtla to Wenus, a Mu to legendarna kraina na ziemi, która się zapadła na Oceanie Spokojnym. Widząc przed sobą szarookiego blondyna doszła do wniosku, że ma do czynienia z Wenuzjaninem rasy Mu w odróżnieniu od Wenuzjan z rodu Atlantów, do których sama należała.

Jak jej wytłumaczyć, że jestem Marsjaninem w ziemskim ciele? Nie mogę przecież zdradzić swej tożsamości. Jakiego zresztą użyć języka? Pewnie znała starożytny język Mu-Wenuzjan, lecz jak dalece różnił się od nowoczesnego?

Mówiła coś dalej, bardzo szybko. Tu i tam łapałem znajome brzmienie, ale nie zdołałem uchwycić sensu. Rozłożyłem ramiona beznadziejnym gestem. Dziewczyna uśmiechnęła się. Przerwawszy potok słów, wskazała na siebie palcem:

— Emfrit.

Przedstawiłem się i ja:

— Andra.

Źle, przecież mam uchodzić za Malduka., ale już za późno na poprawkę.

Tymczasem młody człowiek wyszedł z jeziora i zbliżył się do nas ociekając wodą. Emfrit wskazała na niego:

— Senfir, me jem zatrix.

Zrozumiałem — jej brat, nawet bardzo podobny.

Senfir powiedział parę słów do mnie, klepiąc mnie protekcyjnie po ramieniu. Zorientowawszy się, że nie rozumiem, mruknął coś do Emfrit, odwrócił się plecami i ponownie zanurzył się w jeziorze.

Ja natomiast zacząłem wolno i wyraźnie przemawiać do Emfrit w nowoczesnym wenuzjańskim. Nie musiał się różnić o wiele więcej od starożytnego, niż włoski czy hiszpański od łaciny, bo już, już zaczęliśmy się trochę dogadywać. Niestety przerwano nam. Od strony piramidy jeden z Kajnowów zawołał na swych rodaków i wszyscy wrócili do podziemi. Chcieli pewnie sprawdzić, co tam ocalało z dawnego bogactwa.

**Rozdział III**  
**ZJAWIA SIĘ TETIT**



Abgajowie chodzili spać tuż po zachodzie słońca, ale ponieważ noc wenuzjańska trwała teraz dłużej, budzili się około północy, zupełnie wypoczęci. Wychodzili wtedy z chat i szalasów, tańczyli i śpiewali wokół ognisk.

Gdy przyszedłem tej nocy by przyglądać się ich efektownym tańcom, zobaczyłem między nimi jeszcze inną dziewczynę, która „przeskoczyła czas” wraz z Kajnami. Już za dnia zwróciłem na nią przelotną uwagę, bo różniła się od Kajnów złotą barwą włosów i jaśniejszą cerą. Ponadto kobiety kajneńskie nosiły sztywne fryzury „a la Kleopatra”, jej zaś włosy zaczesane były luźno na bok, nie ujęte w żadne klamry. Kilka niesfornych kosmyków stale opadało na czoło i zagłądało do szafirowych oczu.

Dziewczyna przypominała mi trochę Dorotę i Lenę, posiadała jednak mniej regularne rysy twarzy i przede wszystkim nieco za duże usta. Ubrana była, jak Emfrit, w obcisłą suknię do kostek, lecz złocistej barwy.

Siedziała na niskim stołeczku między wodzem plemienia i jego żoną, o czymś z nimi rozmawiając. Zbliżyłem się. Uśmiechnęła się serdecznie, jakby mnie od dawna znała i wyciągając rękę wypowiedziała swe imię:

— Tetit.

Nie wiem dlaczego, poczułem się skrępowany i ujawszy trochę niezgrabnie podaną rękę pocałowałem ją polskim zwyyczajem, nie praktykowanym na Wenus. Tetit przyjęła tę formę powitania, jakby rzecz najnormalniejszą w świecie i zanim sam zdołałem coś wymamrotać powiedziała w starożytnym wenuzjańskim:

— Wiem od Emfrit, że nazywasz się Andra ...

To zrozumiałem. Ale dziwna rzecz — rozumiałem bez wielkiego trudu i dalszą rozmowę, która się potoczyła, choć Abgajowie i ja posługiwali się narzeczem kuwilińskim, a Tetit nadal swoim językiem.

Dowiedzieliśmy się od niej, że państwo Kajnow było niegdyś bardzo rozległe, obejmowało kilkaset wysp. Podlegało jednakże zwierzchniej władzy Mu-Wenuzjan, którzy zabrali Emfrit i Senfira — dzieci pary króle wskiej — jako zakładników do stolicy Kamiru. Tam wychowywali się razem z Tetit, córką wysokiego urzędnika wenuzjańskiego. Odwiedzili parokrotnie ziemię. Powrócili na Górę Strachów dopiero wtedy, gdy pla necie zagroziła katastrofa, spowodowana zaburzeniami w całym układzie słonecznym. Mu-Wenuzjanie ewakuowali się częściowo do swoich baz na Merkury i na księżycach Jowisza, które według obliczeń miały wyjść obronną ręką z kataklizmu. Wenuzjanie pochodzenia atlantyckiego, nie posiadający wtedy statków międzyplanetarnych, pochowali się głęboko pod powierzchnię planety.

— Ja nie uciekłam z moimi rodakami — mówiła dalej Tetit — Wiedziałam od Emfrit, że Kajnowie posiadają na Górze Strachów, przechowywany w największej tajemnicy przez pokolenia, aparat do „wędrówki w czasie”. Był on już raz użyty, podobno z powodzeniem. Kajnowie postanowili posłużyć się nim znowu. Mnie zaś tak zafascynowała możliwość przeskoczenia kilku tysięcy lat, że zdecydowałam się przyjechać tutaj i wziąć udział w niezwykłym przedsięwzięciu. No i wszystko się udało.

Skończywszy swoje opowiadanie, zasypała mnie z kolei masą pytań, chociaż już Broxan objaśnił z grubsza Kajnow, co

zaszło w świecie przez ostatnie tysiąclecia. Ja oczywiście mogłem udzielić jej więcej od niego informacji o wypadkach na ziemi, a nawet na Wenus, ale byłem skąpy w wypowiedziach, usiłując nadal grać rolę Marsjanina w ziemskiej powłóce. Do Tetit czułem zaufanie od pierwszego wejrzenia, ale gdybym się przyznał, kim jestem naprawdę, mogłaby mnie — nawet niechcąc — zdradzić przed Marsjanami.

Łatwo się z nią rozmawiało. Miała zwyczaj patrzenia prosto w oczy w czasie konwersacji i wydawało mi się, że to jej spojrzenie przekazuje więcej treści niż same słowa trudnej do zrozumienia, starożytnej mowy.

Abgajowie nie tańczyli. Całe plemię rozsiadło się wokół nas i słuchało. Wątpię, by wiele zrozumieli. Patrzeli jednak w Tetit, jak w święty obraz.

Nazajutrz wieczorem Kajnowie zaprosili Broxana i kilkunastu znaczniejszych Marsjan na ucztę. Byłem świadkiem tych zaprosin i śmiałem się wewnątrz serdecznie, widząc skonsternowane miny zaproszonych. Marsjanie zarzucili od dawna zwyczaj wspólnego jedzenia, a nawet uchodziło ono między nimi za coś nieprzyzwoitego. Broxan jednakże nie chcąc zrażać Kajnów przyjął zaproszenie. Poleciał przyjść i mnie. Jak mi powiedział, prosiła o to specjalnie Emfrit.

Uczta odbyła się w wielkiej podziemnej sali. Stoły ugiwały się pod złotą zastawą. Jedzenie było doskonałe, przyprawy paliły gardło, ale mnie to nie przeszkadzało.

Marsyjscy goście z trudem maskowali zażenowanie i obrzydzenie do wspólnego posiłku. Jeden ze starszych uczonych przechodził wyraźnie tortury moralne, bo aż ciężkie krople potu wystąpiły mu na czoło, choć w sali było chłodno.

Po chwili jednak atmosfera zaczęła się rozładowywać. Szczególnie młodszy Marsjanie czuli się coraz swobodniej. Nalewany szczerze do złotych kubków sfermentowany sok owocu „fono” dodawał im animuszu.

Udawałem na początku, że i mnie zenuje to wspólne jeżdzenie. Czyniłem to jednak niezbyt przekonująco, bo czułem się doskonale. Byłbym jeszcze w lepszym humorze, gdyby posadzono mnie koło Emfrit lub Tetit. Niestety, miejsce koło księżniczki zajął sam Broxan i widać było, że pod wpływem jej czaru marsyjska skorupa lodu zaczyna topnieć. Koło Tetit siedział ów starszy uczonek i nie zdawał się cieszyć jej towarzystwem. Dziewczyna zaś ziewnęła już parę razy. Mnie posadzono koło młodego Kajna, z którym mogłem się porozumieć tylko na migi.

W pewnej chwili zauważyłem, że Emfrit wskazuje na mnie i coś się pyta Broxana. Nieprzyjemne ciarki zaczęły mi chodzić po grzbiecie . . . żeby mnie czym nie wsypała! Po tej rozmowie wydało mi się, że Broxan raz po raz rzuca mi podejrzliwe spojrzenia.

Do uczyty przygrywała mała orkiestra grająca na fujarkach, cymbałkach i bębnach. Wbiegło teraz kilku tancerzy i tancerek. Starszego Marsjanina wyniesiono omdlałego.

Natomiast młodszy bili w dłonie w takt muzyki, pozerali oczyma wdzięczne tancerki, coś do nich wykrzykiwali chropowatymi głosami . . . „fono” szumiało już im mocno w głowach. Broxan kręcił się niespokojnie. Gdy wreszcie któryś z Marsjan na chwiejących się nogach usiłował złapać jedną z tancerek, purytańskie serce Broxana nie wytrzymało. Coś tam powiedział do Sendila, przywódcy Kajnow i wyprowa-

dził wszystkich Marsjan. Gospodarze nie wyglądali na zmarzwionych tym obrotem rzeczy. Wyczułem, że nie będzie zbyt wielkiej miłości między krewniakami. „Odczłowieczeni” Marsjanie i bardzo „ludscy” Kajnowie nie pasowali do siebie.

Rozczarowała mnie przerwa w uczcie, musiałem wyjść z innymi. Marsjanie udali się do swoich dysków, ja usiadłem nad brzegiem jeziora, oświetlonego koronkową zorzą. Pogrążyłem się w myślach. Co robić? Zostać jeszcze, czy uciekać? Marsjanom nie mogłem właściwie niczym tu zaszkodzić. Gdyby doszło do konfliktu między nimi, a Kajnami, cóż mogły zdziałać łuki i dzidy tych ostatnich przeciw dezintegrator? Niedaleko stąd leżała wyspa „Dobrych Czarowników”, moich przyjaciół — może tam się udać?

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się. Była to Paumi.

— Przysłała mnie Tetit — szepnęła — proszą, byś poszedł z powrotem, ale nie głównym wejściem. Poprowadzę cię.

Okazało się, że i Kajnowie opuścili salę, gdzie się odbywała uprzednio uczta. Paumi wprowadziła mnie do innego pomieszczenia. Malowidła na ścianie przedstawiały wesołe sceny jedzących i bawiących się Kajnów. Kilka wielkich tapczanów tworzyło koło. Obok nich stały niskie stoliczki z mięsem, owocami i napojami. Zastałem tu w pół leżącej pozycji: władcę Kajnów Sendila, jego żonę Fut, czarownika-mędrca Utukila, a także Senfira, Emfrit i Tetit. Zrzucili z siebie sztywne niby-egipskie stroje, w które przybrani byli do uczty, a założyli lekkie, jedwabiste tuniki, różnej barwy.

Na mój widok Tetit poderwała się z tapczana. Podeszła do mnie i wskazującym palcem dotknęła mej piersi.

— My wiemy — rzekła z uśmiechem — że ty nie jesteś Marsjaninem, jesteś z ziemi.

Cofnąłem się zaskoczony i przerażony, lecz Tetit widać zrozumiała powód mego odruchu, bo mówiła dalej wolno i wyraźnie, bym mógł zrozumieć:

— Nie bój się Nie zdradzimy cię. Broxan opowiedział nam twoją historię, ale Marsjanie są głupi ... My coś wiemy o zamianie dusz i wiemy też, że po zabiciu ciała pożyczonego dusza wraca do swego własnego... Ty jesteś Andra, człowiek z ziemi, przyjaciel Mu-Wenuzjan.

Wskazała mi miejsce na tapczanie obok królowej Fut. Byłem tym zaszczycony, choć wolałbym umieścić się gdzie indziej. Królowa Fut była to jejmość korpulentna, o czarnych jak węgiel oczach, z których wyzierała inteligencja. Coś do mnie zagadała. Widząc, że nie rozumiem, roześmiała się w głos i poklepała mnie po ramieniu.

Popijaliśmy słodki napój ze złotych naczyń, a Tetit zabawnie przedrzeźniała zachowanie się Marsjan w czasie uczy. Pękaliśmy ze śmiechu.

Potem obecni zaczęli zadawać mi różne pytania w starożytnym języku Mu-Wenuzjan. Ciekawe, że jakoś nic bardzo rozumiałem, póki nie powtórzyła ich Tetit.

— Czy możesz nam powiedzieć — spytał mnie czarownik Utukil, człek chuderlawy i bardzo brzydki, o oczach zapadłych w głąb czaszki — jakie były skutki katastrofy, przed którą schroniliśmy się wewnątrz piramidy? Czy Wenus bardzo zbliżyła się do ziemi?

Zawstydzilem się. Nasze podręczniki historii nic nie mówiły o podobnych wydarzeniach. System słoneczny wydaje się niezmienny od milionów czy miliardów lat,

— Co się stało z Egiptem? — dorzuciła pytanie Emfrit.

Ciekawił ją ten kraj, gdyż razem z Tetit i Senfirem spędziła kiedyś cały miesiąc na dworze faraona. W tym czasie kontakty Wenuzjan z ziemią były jeszcze żywe,

— Jak się nazywał faraon?

— Tutmose.

— Było ich kilku o tym imieniu — odparłem. — Czy to może ten, co przez pewien czas sprawował rządy ze swoją ciotką, królową Hatszepsut?

Starożytność była zawsze moim „hobby” — nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że będę rozmawiał z kimś, kto znał osobiście Tutmosisa III, wielkiego wojownika. Jego panowanie należy do jednego z najwspanialszych okresów dziejów Egiptu. Gorzej się działo za panowania jego syna Amenofisa II. Jednak historia nie notuje żadnych katastrof kosmicznych z tego okresu ... Zaraz, zaraz ... jedna z teorii dotycząca wyjścia Żydów z Egiptu twierdzi, że to Tutmosis. ich prześladował, a Amenofis wypuścił, chociaż obecnie naukowcy przychylają się raczej do daty późniejszej o 200 lat. Może więc rację ma Immanuel Velikowsky w swojej książce „Worlds in Collision”, że plagi egipskie spowodowało zbliżenie się Wenus do ziemi, choć on datę Exodusu przesunął jeszcze bardziej wstecz, a jego wywoływały burzę protestów w świecie naukowym ...

Z opowiadania Tetit wynikało, że chodzi rzeczywiście o Tutmosisa III\*), ale o Żydach nic nie wiedziała, choć na dworze

faraona przebywał w tym czasie młody książę o krzywym nosie, imieniem Mose. Czyżby Mojżesz?

Nazajutrz większość floty przestrzennej Marsjan gdzieś odleciała. Broxan, ku memu zadowoleniu, odjechał także. Miałem teraz więcej swobody i wykorzysta

*\*) Tutmosis III, 1501—1447 przed Chrystusem.*

łem to na włóczęgę po okolicy w towarzystwie Senfira, Emfrit i Tetit.

Pierwsze swe kroki kierowaliśmy zawsze ku bambusowemu domkowi, zbudowanemu w dżungli jeszcze przez Kobrę. Tam moi towarzysze zrzucili sztywne stroje i przebierali się w lekkie „zany” i „popie” wenuzjańskie, których w domku było pod dostatkiem. Ja też zostawiłem promienisty strój marsyjski, ofiarowany mi przez Broxana, żeby się nie odróżniać od reszty. Ta przemiana odbywała się w tajemnicy przed władcą Kajnów i jego małżonką. Swobodni i naturalni w ścisłym gronie rodzinnym, na zewnątrz zachowywali dystans wobec poddanych, miny mieli pełne powagi i dostojeństwa, nosili wspaniałe stroje obwieszane złotymi łańcuchami i biżuterią. Tego samego żądali od swych dzieci. Jednakże Senfir i Emfrit, wychowani w bardziej „demokratycznej” atmosferze wśród Mu-Wenuzjan, uciekali od tej sztywności, gdy tylko mogli, nie mówiąc już o Tetit, która nienawidziła wszelkiej nienaturalności.

We wspólnych wycieczkach nasz stosunek zacieśniał się coraz bardziej, rozmowa płynęła coraz gładziej. Tetit nie-



mal momentalnie schwyciła mowę kuwilińską i posługiwała się nią z coraz większą łatwością.

Senfir wprost adorował Tetit. Tetit traktowała go jak brata. Na mnie natomiast robiła wielkie wrażenie egzotyczna piękność Emfrit, a i księżniczka patrzyła na mnie łaskawym okiem.

Gdy trzeciego dnia wracaliśmy ku piramidzie o zachodzie słońca, zauważyłem z dala, że flotylla wróciła. Wyszedł nam naprzeciw Broxan w obstawie kilku Marsjan z dezynTEGRATORAMI w rękach. Wiało od nich groźbą. Na twarzy Broxana malowała się wściekłość. Podskoczył do mnie i zanim zdołałem się zasłonić, wymierzył mi cios w szczękę. Zamroczyło mnie na chwilę. Gdy przyszedłem do siebie, poczułem więzy na rękach. Moi przyjaciele protestowali. Broxan coś im tłumaczył. Mnie tymczasem żołnierze odprowadzili do jednego z wielkich dysków. Znalazłem się w małej kabince za drzwiami z małym zakratowanym okienkiem. Ściany zupełnie gładkie, żadnych mebli, pusta podłoga.

Podszedłem do okienka. Naprzeciwko, po drugiej stronie wąskiego korytarza, ujrzałem takie same drzwi, a przez okienko wyglądał nie kto inny, lecz sam Doktor Nemo.

— Witam szanownego Doktora! — zawołałem.

Potoczyła się ożywiona rozmowa.

I on zbudził się w dżungli wenuzjańskiej w swoim własnym ciele. Wałęsał się samotnie po lasach i sawannach. Dziś popołudniu obokoczyli go nagle krajowcy. Wsadzili w łódkę i wieźli gdzieś rzeką. Tymczasem nadleciał złoty dysk. Trzeba trafu, że siedział w nim Broxan. Rozpoznał Doktora, a temu nie przyszło na myśl by zataić swą tożsamość. W ten spo-

sób skompromitował i mnie. Co z nami zrobią? Pewnie Broxan wysłał zapytanie do Omxa, a stamtąd nie oczekiwaliśmy innej odpowiedzi, jak „zlikwidować!”

Mijały godziny. To spaliśmy, to budziliśmy się. Głodny byłem jak wilk, lecz nikt nie przynosił jedzenia. Staraliśmy się odgadnąć, jak to się stało, że i Doktor i ja znaleźliśmy się osobno w dżungli. Jaki los spotkał resztę naszej gromadki? Czy i oni włóczyli się gdzieś po wyspie?

Bardziej aktualne pytanie, to jak się wydostać z więzienia? Milimetr po milimetrze zbadałem swoją celkę — żadnych możliwości.

Minęło chyba już z pół nocy, gdy na korytarzu usłyszałem ostrożne stąpanie bosych stóp.

— Andra? — doszedł mnie cichy szept.

Była to Tetit.

— Jestem tu.

Dziewczyna obmacywała drzwi, potem ściany korytarza w poszukiwaniu sposobu otwarcia naszych celek.

— Jak się dostałaś — szepnąłem. — Nie było straży?

Przejechała palcem po gardle.

— Zabici? ... Na pewno mieli dezintegratory ... dawaj je!

Wróciła za chwilę z dezintegrator w rękę. Usunąłem się na bok. Ssssss ... otwór w drzwiach. Wsunąłem się przezeń na korytarz. Wypaliliśmy też drzwi Nemo.

Na zewnątrz panowały zupełne ciemności. Omal nie prze waliłem się o trupa Marsjanina. Podtrzymał mnie Senfir, który zabił strażnika, a teraz sam trzymał wartę przed dyskiem.

— Droga wolna — szepnął.

Znaleźliśmy się w dżungli. Przy pierwszych drzewach spytałem:

- Gdzie Emfrit?
- Zabawia Broxana.

Ja bym się chętnie też z nim „zabawił”.

Weszliśmy w ruiny obrosłe roślinnością. Przepchałem się z trudem przez jakiś otwór. Kamienne schody w dół, bardzo popękane. Wyśpiewane „zakłęcie”. Ściana się rozsunęła, błysło światło. Znaleźliśmy się wkrótce w znajomej salce z tapczanami.. Na stoliczkach czekało jedło i napoje.

## Rozdział IV

### DZIWNA BITWA

— Broxan już się dowiedział o twojej ucieczce — powiedziała Emfrit wchodząc do komnaty. - Jak się cieszę, że się udało!

Popatrzała na mnie tak ciepło, że mi się też ciepło zrobiło koło serca. Z kolei Emfrit zwróciła uwagę na Doktora Nemo.

- A to kto?

Wyjaśniłem w paru słowach, po czym spytałem niespokojnie:

- Czy się nie domyślą, kto nas uwolnił i nie zaczną przeszukiwać podziemi?

— Tu was nie znajdą — zapewnił stanowczo Senfir — a nas mogą podejrzewać, ile zechcą ... co nam zrobią?

A jednak zrobili. Nazajutrz rano, gdy Emfrit i Tetit poszły kąpać się do wodospadu, który niegdyś upodobała sobie Dorota, otoczyli je Marsjanie i uwięzili w jednym z dysków. Doniosła nam o tym Paumi, która przypadkiem znalazła się w pobliżu wodospadu. Poszła za Marsjanami i zauważyła, do którego dysku wprowadzono dziewczęta. W chwilę później widziała, jak ten dysk wzniósł się w powietrze i zatrzymał nad jeziorem na wysokości kilkunastu metrów. Stał tam dotąd.

Wśród Kajnow zawrzało jak w ulu. Wojownicy chwycili za miecze i dzidy, gotowi uderzyć na Marsjan. Powstrzymali ich Sendil i Utukil, zdający sobie sprawę z bezowocności takiego ataku.

Rozpoczęto pertraktacje. Broxan oświadczył, że nie wyda dziewcząt, póki w zamian nie otrzyma uciekinierów. Kajnowie udawali, że o niczym nie wiedzą. Sendil okazał gotowość wysłania pościgu za nami.

Broxan zaśmiał mu się na to w oczy:

— Nie kłam! — rzekł. — Wiedźcie, że my Marsjanie posiadamy niezwykle wyczulony węch. Łatwiej nam zapamiętać zapach człowieka niż jego twarz i figurę. W dysku, z którego uwolniliście Andrę i tego drugiego, unosiła się woń Tetit, a wartownika zabił twój syn Senfir. Skierowali się do lasu ... tam straciliśmy się ... ta wenuzjańska dżungla tak pachnie, że trudno rozróżnić poszczególne wonie. Wszystko jedno ... jeśli chcesz mieć swą córkę żywą i całą, wydaj Andrę i Nemo!

Na te słowa obaj Kajnowie odwrócili się na pięcie i zeszli w podziemia.

— Uważamy was za przyjaciół — oznajmił nam Sendil — a nasze zwyczaje nie pozwalają sprzedać przyjaciela nawet za największą cenę.

— A gdybyśmy zgłosili się do nich sami?

— Możecie, ale wpierw trzeba się zastanowić, czy nie ma innego sposobu ... I tak musi dojść do walki... Marsjanie chcą wydobyć od nas pewne sekrety. My ich nie zdradzimy, będą je chcieli wymusić. Broxan napomykał już o tym i owym. Nie jestem wcale pewny, czy wypuści Emfrit i Tetit, nawet gdy was wydamy ... Co myślisz, Utukil, czy nie czas użyć siły bożka Uku?

— To jedyny sposób ... tylko, gdy piloci dysku, w którym więzione są Emfrit i Tetit, zobaczą, co się dzieje, umkną z nimi ...

— Powiedźcie, o co chodzi! — wtrąciłem się — może my będziemy mogli dopomóc.

— Nie dostaniecie się przecież do środka dysku stojącego nad jeziorem ... nie dmiecie fruwać.

Przetłumaczyłem odpowiedź Doktorowi.

— Pofrunąć nie dam rady — odparł — ale do wnętrza dysku mogę się dostać w swoim „ciele astralnym” i tam już sobie poradzę z pilotami ... Co mają na myśli Sendil i Utukil mówiąc o mocy jakiegoś bożka?

Na moje pytanie Sendil uśmiechnął się tajemniczo:

— Zobaczycie. Potrzebujemy trochę czasu na przygotowania. Dam wam znak, gdy wszystko będzie gotowe. Zróbcie wtedy coś z pilotami w dysku nad jeziorem, a natychmiast rozpoczniemy atak na resztę Marsjan. Czeka ich nielada niespodzianka.

Doktor ułożył się wygodnie na tapczanie w niewielkiej salce, czekając na znak, by zapaść w trans. Sendil zeszedł gdzieś w podziemia. Utukil zabrał mnie ze sobą. W pionowym tunelu tajemna siła uniosła nas na szczyt piramidy. Roztaczał się stąd rozległy widok na wnętrze Góry Strachów. Lotnisko Marsjan z kilkudziesięcioma aparatami widzieliśmy jak na dłoni.

Wierzchołek piramidy był płaski. Po środku spoczywał wielki kamień ofiarny. Na tym kamieniu dwaj Kajnowie ustawili jedną skrzynię, potem drugą i trzecią. Zawierały jakąś dziwną aparaturę. Utukil trzymał w ręku sporą skrzynkę ze złotej blachy. Otworzył ją teraz i wyjął posążek bożka o gębie wykrzywionej szatańskim uśmiechem. W przesadnie grube usta wkręcił długą na metr miedzianą trąbkę. Coś, co wyglądało na bardzo długi ogon bożka, podłączył do jednej ze skrzyń. Czekał.

Wkrótce przyszła wiadomość, że i Sendil jest gotów.

— Twój przyjaciel może zaczynać — powiedział Utukil.

Chciałem zjeżdżać na dół, ale powstrzymał mnie.

— Kto inny zawiadomi Nemo. Zostań tutaj! Chcę, żebyś wszystko widział.

W dysku z uwięzionymi dziewczętami piloci marsyjscy nudzili się. Jeden poziewał, drugi bez wielkiego zainteresowania studiował mapę wyspy. Wtem obaj poczuli, że w kabinie robi się dziwnie zimno i światło przygasa. Podnosili się właśnie, żeby podejść do tablicy rozdzielczej po drugiej stronie kabiny, gdy w drzwiach ukazała się szczerząca zęby morda jakiegoś potwora. Rzut oka na wiszące na ścianie dezintegratory — nie zdążą. Paszcza wsunęła się już niemal do połowy

pomieszczenia, wydobywał się z niej chrapliwy pomruk, za nią widać było długie, obślizgłe cielsko.

Lotnicy nie mieli czasu na zastanawianie się, skąd się wziął potwór. Jedna myśl dominowała w ich mózgach: uciekać! Drugie drzwi były wolne. Rzucili się w nie, tarasując je na chwilę, przepchnęli się i znaleźli w korytarzu. Potwór sunął za nimi. Pomruk przemienił się w żądny krwi i mordy ryk. W jednej sekundzie dotarli do spodu dysku i zapominając, że nie umieją pływać, skoczyli w fale jeziora.

Na to czekał Sendil. Gdy tylko obaj piloci wpadli do wody, rozległa się w powietrzu hałaśliwa muzyka i spod piramidy wysypało się wojsko. Były to zabawki-roboty, których setki widziałem zmagazynowane w podziemiach w czasie pierwszego pobytu na Górze Strachów. Wyglądałyby na rzeczywistych wojowników, gdyby nie ich sztuczne, ociężałe ruchy. Zbliżali się teraz do dysków równym krokiem, w szyku bojowym, wysunawszy tarcze i dzidy do przodu.

*W usta bożka wkręcił długą, miedzianą trąbkę.*

*W usta bożka wkręcił długą, miedzianą trąbkę.*





W obozie marsyjskim powstał alarm. Żołnierze poczęli wychodzić z dysków z dezintegratorami w rękach. Dostrzegłem pośród nich Broxana. Byli zdumieni tym dziecinnym atakiem. I ja nie rozumiałem, co Kajnowie chcą przez to osiągnąć.

Gdy roboty były już blisko pierwszych Marsjan, Broxan zdecydował, że trzeba działać i plunął ogniem ze swego dezintegrator. Inni poszli za jego przykładem. Roboty jeden po drugim rozpadały się w nicość.

Utukil tymczasem zbliżył się z bożkiem w ręku do krawędzi płaskiego szczytu piramidy. Dwaj jego pomocnicy majstrowali coś przy aparaturze. Czarownik skierował trąbkę bożka w dół. Przez chwilę nie działo się nic nowego. Marsjanie stali nadal niszczycielski ogień w wyłaniające się z podziemi nowe szeregi robotów. Musieli mieć nie lada uciechę.

Nagle dostrzegłem, że powietrze nad dyskami zaczyna drgać. Z aparatów przestrzennych wyleciało kilku Marsjan, przeraźliwie coś krzycząc. Utukil przesunął trąbkę bożka z dysków w kierunku strzelających żołnierzy. W parę sekund i ci zaczęli krzyczeć. Rzucali broń, jakby parzyła im ręce, zrywali też z siebie złote pasy.

Hałaśliwa muzyka zamilkła. Niedobitki robotów zatrzymały się w swym marszu. Bezbronnych Marsjan otoczyli Kajnowie z lukami w rękach. Spędzili wszystkich w podziemia i uwięzili tam.

Zrozumiałem, co się stało. Z trąby bożka Uku popłynęły ku nieprzyjacielowi ultra-krótkie fale dźwiękowe czy elektromagnetyczne czy jeszcze jakiegoś innego, nieznanego mi typu, powodując szybkie rozgrzewanie metalu. Kajnowie posia-

dali niebyłe jaką broń. Po cóż jednak ta maskarada z robotami?

Spytałem o to Utukila.

— Dla wyciągnięcia Marsjan z dysków, — odparł — odwrócenia ich uwagi od nas na szczycie piramidy. Starczyło, żeby który z tych dysków, zanim zdołaliśmy je rozgrzać dostatecznie, podleciał tutaj i żygnął ogniem ... byłoby po wszystkim.

Pomyślałem, że bezpieczniej było nie robić zbędnego alarmu, ale ponieważ plan Kajnow się udał, nie było go co krytykować.

Bożek wysyłał nadal swój parzący oddech. Żar dochodził aż tutaj. W otworach dysków ukazał się dym.

— Chcesz zniszczyć dyski? — spytałem czarownika — mogłyby się nam przydać.

— Chcę się upewnić, że ani jeden Marsjanin nie pozostał w nich żywy.

Zrobiło mi się słabo. Jeśli Paumi się pomyliła i nasze dziewczęta smażą się teraz żywcem? Natychmiast zjechałem na dół i pobiegłem poszukać Doktora. Zastałem go uśmiechniętego, zadowolonego ze swego sukcesu.

— Nie bój się! — powiedział. — Zanim przemieniłem swój „astral” w potwora, który przeraził pilotów, zajrzałem do Tetit i Emfrit. Trzeba było widzieć twarze tych Marsjan ...

— Ale jak się teraz dostać do środka w prawdziwym ciele? — Przerwałem mu.

Innych dysków nie mogliśmy użyć, były wewnątrz zupełnie zniszczone, a i tak nie potrafilibyśmy nimi kierować. Łama-

liśmy sobie na próżno głowę, co robić, gdy nagle zapyta? mnie Senfir:

— Czy „galgale” rosną jeszcze w wenuzjańskiej dżungli? Cóż prostszego, jak sporządzić z nich balon.

Przytaknąłem. To był doskonały pomysł. Natychmiast grupa Kajnow i Abgajów ruszyła w dżunglę po tę roślinę, która zaopatruje swoje nasiona w baloniki i rozsyła je w ten sposób po świecie.

W pół dnia później, zaimprovizowany balon, złożony z dziesiątków baloników umieszczonych razem w sieci, był gotów. Dostałem się na nim do wnętrza dysku i uwolniłem nasze panie. Z ogromną ciekawością zwiedzaliśmy wnętrze wielkiego statku. Żałowałem, że nie potrafię nim kierować. Bałem się nawet dotknąć jakiegokolwiek instrumentu, żeby nie polecieć w przestrzeń.

Wydostaliśmy się z dysku skacząc w jezioro, uwiązawszy przedtem na spodzie długą linę, jako środek komunikacji na przyszłość.

Kajnowie porzebierali kilku swoich w marsyjskie stroje i porozstawiali wokół dysków. Bożek na szczycie piramidy czuwał także. Spodziewaliśmy się, że lada moment mogą nadlecieć inni Marsjanie, zaniepokojeni przerwą w komunikacji radiowej z bazą na Górze Strachów, czy dla jakiegokolwiek innej przyczyny. Czekala na nich zasadzka. O ile jednak pasy, wytwarzające promienie, działały nadal, dezynintegratory uległy uszkodzeniu i były teraz w rękach Kajnow pustą groźbą. Mój dezynegrator, zdobyty jeszcze w dżungli na pilotach marsyjskich, ocalał. Ukryłem go bowiem w domku Kobry

na wszelki wypadek. Tylko Paumi wiedziała o jego istnieniu i miejscu schowania.

Utukil interesował się bardzo jedynym, nie zniszczonym, dyskiem, który stał nadal nieruchomo ponad taflą jeziora. Wdrapywał się do niego parokrotnie, po czym usiłował wymusić na jeńcach tajemnicę kierowania nim. Marsjanie okazali się nieugięci. Nie pomogły i tortury. Spotkałem starego kapłana nad jeziorem. Patrzył na dysk i skubał nerwowo fałdę długiego płaszcza.

— Powiedz mi: — zwróciłem się do niego — macie urządzenia do podróży w czasie, macie roboty, windy antygrawitacyjne, aparat do rozgrzewania metalu na odległość, a nie potraficie dać sobie rady z latającymi dyskami, używacie tak prymitywnych broni jak łuk i dzida, dlaczego?

— Niestety — odparł smutno — po zaciętych bojach z Mu-Wenuzjanami, gdy nas ostatecznie pokonali, musieliśmy opuścić nasze miasta i przez wiele pokoleń żyć w dżungli na poziomie niemal dzikich zwierząt. Gdy wreszcie nasi praojcowie wrócili do opuszczonych siedzib, odkryli wiele pochoowanych przyrządów. Niektóre z nich potrafili użyć, ale zasada działania, stała się dla nich nieodgadnioną tajemnicą. I ja dziś potrafię posłużyć się bożkiem Uku, ale nie umiałbym skonstruować drugiego, gdyby ten uległ zniszczeniu. Tym dyskiem też nie polecę.

Utukil zrezygnował, za to Doktor postanowił rozgryźć zagadkę kierowania dyskiem i odtąd całe godziny spędzał w jego wnętrzu. Ostrzegałem go, że nic nie odkryje, a napyta się biedy. Nie chciał usłuchać.

\* \* \*

— Od waszych czasów upłynęło tysiące lat — tłumaczyłem w dzień później Utukilowi i Sendilowi. — Nikt dzisiaj poza jakimiś prymitywnymi ludami nie składa krwawych ofiar z ludzi, a nawet zwierząt, to barbarzyństwo! Nikt też nie wierzy w wielu bogów. Wiemy, że istnieje jeden Bóg, Stworzyciel świata i człowieka. Nie znajduje On upodobania w okrucieństwie, każe nam kochać nawet nieprzyjaciół.

Stary czarownik zmarszczył brwi i zaciął wargi. Senfir, Emfrit, Tetit i ja wpatrywaliśmy się w niego z napięciem. Odwiecznym zwyczajem Kajnów chciał ofiarować marsyjskich jeńców opiekuńczemu bóstwu swego ludu. Nazajutrz w południe dwudziestu czterech miało ponieść śmierć.

— I my — przemówił wreszcie kapłan — wiemy, że istnieje Bóg-Stwórca. Wierzą w Niego Mu-Wenuzja nie i czczą Go, ale po co? On jest i tak dobry ... My zaś wielbimy Uku, ducha, który z Nim walczy. Uku jest zły, straszliwie zły, lecz wielki i silny. Jego względów trzeba szukać, jego prześlagać, a on żąda krwi ludzkiej...

Zatkał mi na moment usta tą swoistą logiką. Szybko jednak otrząsnąłem się z wrażenia i zacząłem go przekonywać. Czyż można wszakże kilkoma słowami zmienić wierzenia narosłe od wieków?

Utukil nawet nie chciał słuchać moich argumentów.

— Jeńcy zginą jutro — rzekł stanowczo. — Uku zaś sprawi, że Wenuzjanie i Marsjanie wzajemnie się wyniszczą... zostaniemy my i obejmujemy rządy nad planetą.

Oddalił się z komnaty, gdzie toczyła się dyskusja.

Senfir poklepał mnie uspokajająco po plecach.

— Nie martw się — rzekł. — Nie ma co żałować Marsjan. Zresztą zginą walcząc. To nawet bardzo ciekawe widowisko.

— Nie żałuję ich, — odparłem gniewnie — o co innego mi chodzi... A ty sam wierzysz w tego Uku?

Zmieszał się.

— Wiem, że Bóg Mu-Wenuzjan jest potężniejszy, ale i temu naszemu coś się należy od nas ... lepiej go mieć po naszej stronie.

Przerwała mu królowa Fut, wchodząc do komnaty z wieścią, że dysk z Doktorem zniknął, jakby się rozwiął w powietrzu.

Wybiegłem na zewnątrz. Na pewno Nemo zdecydował się wreszcie na przyciśnięcie jakiegoś guzika i wyleciał w przestrzeń. Jak sobie da tam radę? Męczyły mnie najgorsze przecucia. Czekałem kilka godzin na jego powrót, aż zapadła noc.

Przygnębiony powlokłem się w dżunglę do domu Kobry. Rzuciłem się na łóżko, pokryte skórą. Sen nie nadchodził.

Rozważałem sytuację i doszedłem do wniosku, że nie mam co dłużej robić na Górze Strachów. Postaram się dotrzeć do wyspy Dobrych Czarowników. Jasnowidzący Xudri powie mi, co czynić dalej. Zostanę tu do jutra, do ceremonii; może jeszcze w ostatniej chwili uda mi się odwieźć Utukila od krwawych obrzędów. Potem w drogę. Żal mi będzie Emfrit, ale trudno. Zresztą obrzydziło mi ją i jej brata to, że wierzą w tego Uku.

Zaszeleściła trawa za trzciniową ścianą. Ktoś nadchodził.

— Andra?

To Tetit. Czego chce? Wyszedłem na zewnątrz.

— Kąpiemy się z Emfrit i Senfirem w wodospadzie — powiedziała — chodź do nas!

— Chętnie, noc taka gorąca, warto się ochłodzić.

Zszedłem na ścieżkę prowadzącą do wodospadu, Tetit zastąpiła mi drogę.

— Andra, — szepnęła — jestem pewna, że zechcesz teraz odejść od Kajnów ... weź mnie z sobą!

Cofnąłem się o krok zdziwiony.

— Chcesz odejść od Senfira i Emfrit? To przecież dla ciebie jakby rodzeństwo.

— Kocham ich jak brata i siostrę, — przyznała — lecz z innymi Kajnami nic mnie nie łączy. Przybyłam tu przed niecałym rokiem ... — przerwała i poprawiła się — to jest przed paroma tysiącami lat ... ale dla mnie to niecały rok. Było to piękne i bogate miasto, lecz obce. Zatrzymała mnie tu tylko ich maszyna do skoku w czasie ... teraz jednak ...

— Senfir widzi w tobie coś więcej niż siostrę...

— Tym bardziej pragnę odejść. Nawet gdybym odwzajemniała jego uczucie, nie mogłabym nigdy zostać jego żoną ... on musi ożenić się z Emfrit.

— Toż to jego siostra! — wykrzyknąłem.

— U Kajnów takie małżeństwo jest odwiecznym zwyczajem w rodzinie królewskiej. Chodzi im o zachowanie czystości krwi.

— Jak u Egipcjan i Inkasów — mruknąłem.

— Senfir chce, żebym była jego drugą żoną. To u nich dozwolone. Monarcha może mieć ich, ile chce. Nie zgodzę się na to nigdy!

— Rozumiem, droga Tetit, ale do kogo cię wezmę? Twój świat dawno rozpadł się w pył. Będziesz się czuła obca wśród potomków twoich rodaków, a tym bardziej między moimi przyjaciółmi.

— Nie, jeśli są tacy jak ty.

— Kajnowie cię nie puszczą ...

— To uciekniemy ... Andra weź mnie z sobą! Jestem tak okropnie sama na świecie!

Przygarnęła się do mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję. Płakała.

Ucałowałem oczy, mokre od łez, i pogłaskałem serdecznym ruchem jej złociste włosy.

— Dobrze, wezmę cię ze sobą ... ale teraz chodźmy do wodospadu!



## Rozdział V

### WENUZJAŃSKA „CORRIDA”

Było uroczo. Niebo lśniło zielonkawą zorzą, która odbijając się w strugach wodospadu, w tysięcznych kroplach wody, nadawała pianie i wszystkiemu wokoło delikatny, nie-z-tego-swiata koloryt. Senfir i Emfrit zdawali się być mitycznymi bożkami leśnej rzeki. Nurkowali, gonili się, śmieli beztroško jak dzieci.

Stanęliśmy z Tetit na ogromnym głazie, półwiszącym nad wodą. Zaproszono i nas do udziału w wodnych przyjemnościach. Skoczyliśmy w zieloną toń. Wychyliłem się tuż koło rozradowanej Emfrit. Mokre włosy opadały jej na oczy, w których odbijała się zorza. Była prześliczna.

— Płynmy, Andra, do jeziora! — zawołała. — Zobaczymy kto będzie pierwszy.

Poszliśmy w zawody. Senfir i Tetit za nami. Rzeczka kilkaset metrów dalej wpadała w jezioro. Bystry prąd niósł nas lepiej, niż wysiłek ramion. Walczyłem ciężko o pierwszeństwo, lecz Emfrit o sekundę wcześniej dopłynęła do skały, dzielącej ujście na dwie odnogi.

Wtem przemknęły się nad nami dziwne cienie. Sunęły bezgłośnie tuż nad wierzchołkami drzew ku piramidzie. Silniejszy błysk zorzy i rozpoznaliśmy w cieniach sylwetki ludz-

kie ... bez żadnych aparatów do latania. Poderwały się wyżej, znikły nam sprzed oczu. W parę sekund później od strony marsyjskiego lotniska wytrysło oślepiające światło. Powietrzem wstrząsnął ogłuszający huk.

Cienie zawróciły i przepłynęły ponownie nad naszymi głowami. Uderzyła w nas z całą siłą fala jeziora, powstała wskutek wybuchu. Błysk zgasł. Koło piramidy unosił się czas jakiś gęsty obłok pyłu.

Odczekaliśmy chwilę w obawie przed ponownym atakiem. Wreszcie nabrawszy odwagi, popędziliśmy piaszczystą plażą ku piramidzie. Widać tam było uwijające się sylwetki Kajnow i Abgajów. Zamiast platformy z dyskami, ziała teraz potężna wyrwa, sięgająca z dziesięć metrów w głąb. Zaczęła ją już zalewać woda. Lewy róg piramidy zniknął, odsłaniając korytarze i komnaty.

— Marsjanie czy Wenuzjanie? — spytał Senfir.

— Chyba Wenuzjanie. Sądzieli, że baza pozostaje nadal w rękach Marsjan i zaatakowali ją.

— I potrafią latać tak bez niczego?

Nie mogłem mu na to odpowiedzieć.

Straż przy dyskach oczywiście zginęła. Kilkunastu Marsjan, którzy znajdowali się w podziemiu w pobliżu wybuchu, poniosło śmierć. Kilkudziesięciu zaś wykorzystało otwór i pierwsze momenty zamieszania do ucieczki. Broxan uciekł także.

Sendil i Fut rozpaczali nad stratą dziesięciu młodych wojaków. Utukil dowodził, że to kara Uku za to, że dotąd nie złożono mu żadnych ofiar.

\* \* \*

Dwudziestu czterech marsyjskich skazańców stanęło w szeregu z długimi dzidami w rękach. Oczekiwali spokojnie i z godnością swego losu.

Spoglądałem na nich z wysokości kamiennego amfiteatru, odkopanego częściowo jeszcze przez Kobrę, a przygotowanego teraz przez Kajnów do obrzędowej walki. Ponieważ stopnie widowni schodziły aż do płaszczyzny areny — jej dawna nieodkopana powierzchnia musiała się znajdować o wiele głębiej — otoczono ją dla bezpieczeństwa widzów drewnianymi słupami. Zaostrzono je i wbito pod ostrym kątem. Człowiek mógł się łatwo przecisnąć między nimi, ale dla wielkiego zwierza powinny były stanowić skuteczną zaporę.

Uderzono w gongi. Otworzyła się drewniana brama. Wpadło przez nią pięć rozjuszonych bestii: „kiri”. Proszę wyobrazić sobie stwór, podobny budową ciała do nosorożca czy może jeszcze bardziej do hipopotama, o długim obwisłym pysku, opatrzonym dwiema parami rogów. Jedna na szczycie czaszki — jakby rogi afrykańskiego bawołu, druga wyrastająca na boki — wyglądała jak dwa sierpy skierowane do przodu.

Kiri zwierzęta łagodne z natury nakarmione teraz przez Kajnów specjalnymi ziołami, szalały. Ziemia tętniła pod uderzeniami potężnych nóg. Marsjanie rozbiegli się po arenie, uskakiwali na boki przed szarżującymi zwierzętami, starali się wbić swoje dzidy w twardą skórę. Walczyli dzielnie, lecz nie posiadając żadnej wprawy w turnieju tego rodzaju, ginęli jeden po drugim na rogach lub pod stopami potężnych bestii. Nie upłynęło dziesięć minut krwawego widowiska, a z walczą-

cych pozostały tylko zniekształcone trupy. Dwaj, którzy usiłowali schronić się na widowni, zginęli od strzał Kajnow.

Zrobiło mi się niedobrze, kropelki potu wystąpiły na czoło, Kajnowie byli upojeni walką, powstawali z miejsc, krzyczeli. Nawet Senfir okazywał głośno przeżywaną rozkosz na widok krwi i mordu. Emfrit zachowywała się spokojnie, lecz oczy jej błyszczały i na próżno szukałem na jej pięknej twarzy wyrazu niesmaku. Siedząc obok mnie Tetit, po pierwszej minucie, wtuliła twarz w moje ramię i nie chciała w ogóle patrzeć na smutne widowisko.

— Już po wszystkim — powiedziałem, gdy ściągnięto zwierzęta z areny, machając nad otwartą bramą barwnymi płachtami.

Zawarto za nimi wrota. Żołnierze rzucili się do usuwania trupów. Wstałem, by opuścić widownię, ale Tetit powstrzymała mnie.

— Zostań! To już koniec przelewu krwi... zobaczysz teraz coś ciekawszego i przyjemniejszego, — rzekła z tajemniczym uśmiechem — wychodzę z Emfrit, ale zaraz wrócimy.

Zarzucono arenę pachnącymi kwiatami dla pokrycia śladów krwi i jej mdlącej woni.

Po długiej przerwie wpuszczono na arenę tylko jedną bestię, największą chyba, dyszącą wciąż podnieceniem poprzedniej walki. Obiegła ciężko arenę, usiłowała wtargnąć na widownię, lecz ostrokół powstrzymał jej atak.

Zabrzmiały bębenki, piszczałki i cymbałki. Patrząc i oczom nie wierzę. Na arenę wbiegają Emfrit i Tetit. Ciała ich opina wijąca się węzowo wstęga o bajecznych wzorach ... dopiero po chwili rozpoznaję — toż to wstęga ze skrzydeł motyli ... a

całe ich chmury pędzą za nimi, jakby chciały uzupełnić sobą ten niezwykły kostium.

Zaparło mi oddech . . . dziewczyny wyglądają tak drobno i delikatnie wobec tej dzikiej furii ... nie mają żadnej broni.

Chrapliwy ryk wyrwał się z potężnej piersi i kiri ruszył całym pędem w kierunku Emfrit. Jakby niedość, że roje motyli musiały dostatecznie drażnić bestię, prowokowała zwierzę ruchami ciała i rąk. Ledwo zdołałem uchwycić wzrokiem to, co nastąpiło. W ostatnim ułamku sekundy, gdy Emfrit znalazła się już niemal pod stopami zwierza, skoczyła, uchwyciła się rogów i podniosła się na nich pionowo, nogami do góry.

Tym razem i ja szalałem razem z tłumem. Emfrit zaś, przekręciwszy się lekko w powietrzu, opadła zgrabnie na kark kiri.

Zwierzę, oszołomione nagłym zniknięciem niedoszłej ofiary, przebiegło parę kroków i zatrzymało się niepewnie. Ale oto Tetit zwraca jego uwagę wołając i tańcząc. Nowa



*Tetit, trzymając, się nogami karku kiri, łapie Emfrit za dłonie*

błyskawiczna szarża ... i z kolei Tetit zajmuje miejsce obok swej towarzyszki. Obie dziewczyny stoją teraz i kołyszą się rytmicznie w takt galopu kiri, które lata po arenie jak opętane.

Wreszcie do jego tępej mózgownicy dociera zrozumienie, że przeciwnik umieścił się na jego karku — zaczyna więc podskakiwać, kołysać się na boki zabawnie, a niebezpiecznie.

Dziewczęta zsuwają się z szarego grzbietu, biegną do tyłu. Bestia zawraca, ryczy i rusza do ataku. Tym razem Tetit i Emfrit stoją obok siebie, czyniąc z rąk jakby bramę dla pędzącego zwierzęcia. W ostatnim momencie odskakują na boki, z jakimś nadludzkim wyliczeniem dystansu i szybkości. Ociekający pianą pysk kiri znajduje się dokładnie między nimi. Każda po swojej stronie chwyta obiema rękami za róg . . . sam pęd zwierzęcia zarzuca je na grzbiet. Widownia ryczy z entuzjazmu i ja też.

A potem tylko Emfrit zsuwa się z grzbietu. Kiri zatacza koło, szarżuje ... ale co to? Emfrit ucieka . . . ogarnęło ją przerażenie? Bestia dopada jej i znów w ostatniej chwili dzieje się rzecz nieprawdopodobna ... dziewczyna, jakby złożona z samych sprężyn, wystrzela w górę i przechyla tułów do tyłu. Tetit, trzymając się tylko nogami chropowatego karku kiri, łapie ją za dłonie i Emfrit opada za nią na grzbiet bydlęcica, zatoczywszy nad głową swej przyjaciółki prawdziwe „salto mortale”.

Entuzjazm mój i widowni nie ma granic. Rzucam się, nie wiedząc, co czynię, staremu Utukilowi na szyję. I wtedy następuje klęska ...

Kiri, doprowadzone do ostatecznego szalu tymi sztuczkami na swych rogach i grzbiecie, skacze, rzuca się na wszelkie strony ... a wreszcie rozpędziwszy się, zarywa się nagle przednimi nogami w piasku... i oto dwa dziewczęce ciała, jak wystrzelone z procy, zataczają łuk, padają na arenę, leżą nieruchomo ... nie, Tetit usiłuje powstać ... pada znowu.

Kiri stoi chwilę bez ruchu, jakby napawało się swoim tryumfem, ale podnosząca się Tetit i unoszący się nad nią rój motyli podniecają żądzę mordy. Gniewliwy ryk i...

Na arenie ukazuje się nowa postać. Sam sobie nie wierzę, ale to jestem ja. Zrywam z siebie złoty pars marsyjski, kieruję jego promienie w oczy bestii i krzyczę.

Kiri zainteresowało się nowym kandydatem na pogromcę. Wściekły pomruk i szarża. Stoję tuż przy palisadzie. Mój tułów nieruchomy, jakbym kij połknął, tylko prawa ręka macha pasem wysyłającym czerwone promienie. Kogo zwierze wybierze: mnie czy promienistą „płachtę”? Jest tuż ... cała góra cielska naładowana energią ruchu ... Boże!

Trzask, ryk bólu ... Kiri z całym pędem nadział się na ostry słup, który przebił mu piersi. Zwierze szarpnęło się do tyłu. Stoi bluzgając krwią. Kołysze się na nogach, pada. Drgawki i koniec.

Widownia krzyczy. Tetit już stoi, choć niepewnie. Senfir wynosi Emfrit, wciąż omdlałą. Opieram się o słup, żeby nie upaść.

Za chwilę na arenie zaczną się nowe widowiska, ale mam ich już dość na dzisiaj. Upewniwszy się, że dziewczętom nie stało się nic poza samym wstrząsem, opuszczam amfiteatr.



Odnalazła mnie Paumi pod palmą nad jeziorem. Powiedziałem jej w nocy o planowanym opuszczeniu Góry Strachów. Przyniosła mi teraz wieści od Inlu, naczelnika Abgajów.

— Inlu pomoże nam. Wysłała z nami Zoli, swego syna, który zna tajemne wyjście z Góry. Przyjdźcie z Tetit przed samym wschodem słońca na brzeg jeziora, koło tej urwistej skały z wyrzeźbioną głową. Będziemy tam na was czekać.

— Czemu nie wcześniej?

— Mówił, że po nocy nie można, za ciemno. O, idzie Tetit.

Złotowłosa dziewczyna była nadal w swoim motylim kostiumie.

— Dziękuję ci Andra za ratunek — rzekła krótko — Paumi, idź po moją suknię, wiesz, gdzie jest. Będę musiała z godzinę siedzieć w wodzie, zanim się te motyle odkleją.

Jedną ze skał przybrzeżnych woda wyrzeźbiła na kształt podwodnego tronu. Tetit zasiadła w niej wygodnie. Tylko jej głowa i szyja oraz ramiona wystawały ponad powierzchnię. Raz po raz dziewczyna odganiała motyle, które nadal uwijały się koło niej.

— Co je tak przyciąga? — spytałem.

— Zapach płynu, którym mnie wysmarowano przed przyklejeniem motylich skrzydeł.

— Gdzie nauczyłaś się tej fantastycznej gimnastyki? To niewiarogodne... Wydawało mi się, że to ja tym razem przeniosłem się w przeszłość trzy tysiące lat do Knossos na Krecie.

Spytała, gdzie to było. Wyrysowałem na piasku mapę basenu śródziemnomorskiego.

— Byłam tam, — zawołała — ale ani Emfrit ani ja nie odważyłyśmy się na zawody z ziemskimi bykami. Nasze kiri mniej ruchliwe i głupie, z nimi łatwiej. Ten sport przywieźli z ziemi Atlanci, rozpowszechnił się i między nami. Ćwiczyłam się w tym niemal od dziecka. Emfrit jednak lepsza ode mnie, ma to we krwi.

— Wasze kontakty z ziemią były bardzo ożywione, tyle zwiedziłaś. Czy to z Egiptu Kajnowie wzięli swoje stroje?

— Zanim nie zostali pokonani przez nas i nie odebraliśmy im dysków przestrzennych, ich wpływ na Egipt był bardzo silny. Odgrywali tam rolę bogów i zawracali ludziom w głowach. To od nich Egipcjanie przyjęli styl ubioru. Nie cierpię tych kajneńskich strojów — ciężkie i niewygodne. My z Mu zadawałamy się jakąkolwiek szmatką, byle lekką i barwną ... zadawaliśmy się — poprawiła się ze smutkiem.

— Dzisiaj Wenuzjanie zachowują te same upodobania — pocieszyłem ją — ale, ale... byłbym zapomniał... czy nadal chcesz uciekać ze mną?

Skinęła głową.

Powtórzyłem jej, co przed chwilą mówiła Paumi. Obiecała być przed wschodem słońca w wyznaczonym miejscu.

\* \* \*

Tetit spała obok Emfrit w podziemnej komnacie. Nakazała samej sobie przed zaśnięciem zbudzenie się we właściwym czasie, ale ocknęła się później. Może dlatego, że po wczorajszym widowisku nastąpiła uczta, która przeciągnęła się bardzo długo. Lekkie, serdeczne dotknięcie czarnych włosów

Emfrit w niemym pożegnaniu, pocałunek rzucony ręką Senfirowi, które go równy oddech słyhać było z sąsiedniej komnaty, i Tetit znalazła się na korytarzu. Jej wyjście, choć ciche, zbudziło Senfira. Zerwał się z pośłania i poszedł za nią.

— Gdzie idziesz tak wcześnie? — szepnął.

— Nie mogę jakoś spać. Chcę się wykapać w wodospadzie.

— Pójdę z tobą.

Nie oponowała, by nie budzić podejrzeń. Weszli w las.

Doszli do wodospadu. Bulgotał i szumiał przyjaźnie. Senfir skoczył od razu w wodę. Tetit zdjęła długą suknię, ale zamiast kąpać się, usiadła na omszałym głazie, zanurzając tylko nogi w pianistym nurcie. Pierwsze promienie słońca pieściły już wierzchołki drzew.

— Czemu nie wchodzisz? — zawołał Senfir — zaraz cię ściągnę.

Podsunał się z łobuzerskim uśmiechem. Plusnęła nogą zalewając mu oczy. Jednocześnie zsunęła suknię w wodę.

— Łap ją! łap! — krzyknęła — bo popłynie do jeziora.

Senfir skierował się za uciekającym złocistym odzieniem.

W momencie, gdy przepływał koło głazu, Tetit nachyliła się i zadała mu cios w głowę płaskim kamieniem. Nie użyła całej siły, nie zamierzała zabijać przyjaciela. Precyzyjne uderzenie, wyuczone niegdyś przez wenuzjańskiego specjalistę, pozbawiło tylko przytomności.

Tetit zsunęła się w wodę i nie bez trudu wyciągnęła na brzeg smukłe ciało. Wycisnęła pocałunek na ustach leżącego.

— Żegnaj, Senfir,... nie gniewaj się!

Przepłynęła pośpiesznie rzeczkę i zagłębiła się w dżunglę.

— Wreszcie! — zawołałem z ulgą na jej widok.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Zoli wyprowadził nas na wąską platformę, wiszącą nad głębokim w tym miejscu jeziorem. Wskazał nam widoczny wyraźnie silny wir i skoczył weń pierwszy. Potem Tetit, Paumi i ja. Wir porwał nas. Wciągnął w jakąś straszną ciemnię. Płuca wołały już rozpaczliwie o powietrze, gdy wreszcie wychyliłem się na powierzchnię w skalistym tunelu. Z dala widniała plamka dziennego światła. Prąd niósł mnie ku niej z nieprzepartą siłą. Słysząc było coraz wyraźniej groźny grzmot — podwodna rzeka wylewała się na zewnątrz skały.

Uf! Uderzyłem ciałem o sieć, grubą sieć o wielkich oczach. Z trudem wygramoliłem się z niej na śliski brzeg tunelu. Zastałem tu czekających na mnie przyjaciół.

Zoli zapuścił się śmiało w labirynt skalistych korytarzy. Schodziliśmy nieustannie w dół. Było dość jasno, gdyż chodnik rozświetlały żyłki świecącego kruszcu. Marsz trwał ze dwie godziny, może więcej, aż wychyliliśmy się na świat zewnętrzny w głębokim wąwozie. Dnem jego płynęła rzeka.

## Rozdział VI

### PRZYGODA W ŚWIĄTYNI

Z Góry Strachów wypływają dwie rzeki. Jedna wielka, Danga, płynie przez terytorium plemienia Mzauri. Druga mniejsza, Nij, snuje się przez bezludne, dzikie obszary. Z Danga łączy się dopiero przed samym ujściem do morza. Bierze zaś swój początek w owym podziemnym tunelu, którym niedawno płynęliśmy, póki nas nie zatrzymała sieć.

To właśnie Nij szumiał teraz u naszych stóp w głębokim kanionie o białych ścianach.

— Mamy tu niedaleko ukrytą łódź, — powiedział Zoli — możemy zaraz odpłynąć.

— Chciałabym najprzód pożegnać się z matką, — poprosiła Paumi — chyba wam się zbytnio nie śpieszy.

— To i wy chcecie z nami podróżować? — zdziwiłem się.

Zoli, zgrabny chłopak o wichrowatej czuprynie koloru kasztanów, mógł mieć według naszego ziemskiego rachunku z czternaście lat. Orzechowe, wielkie oczy, patrzyły na mnie poważnie i śmiało. Objął, że od dawna jego marzeniem było udać się na wyspę „Dobrych Czarowników”.

— Chcę zostać „amgą” — stwierdził.

Paumi zaś ciągnął szeroki świat, o którym jej wiele naopowiadała swego czasu Dorota.

Kiedyśmy w godzinę później wchodzili do groty, gdzie mieszkała Neidi, myślałem, że się sprzeciwi odejściu córki. Tymczasem sama prosiła, by zabrać Paumi tam, gdzie czekała ją na pewno lepsza przyszłość, niż w dżungli.

Zgodziłem się więc, tym bardziej, że w tych dzieciach natury zyskiwaliśmy świetnych przewodników. Neidi nie została sama. Spotkała parę dni temu na wyprawie po żywność członka swego plemienia, barczystego Mbauri, który się zapiekował. Zresztą, dowiedziawszy się, że Abgajom na Gorze Strachów nieźle się powodzi w przymierzu z Kajnami, postanowili oboje przyłączyć się do nich.

Słońce nie dotknęło jeszcze zenitu, a my mknęliśmy już dnem kanionu, z bystrym prądem wody, przezroczystej jak łąza. Zabraliśmy ze sobą tylko kamienne noże, łuki i dmuchawki oraz mój dezintegrator, którego o mało co nie straciłem ra w wirze wodnym. Neidi uplotła dla Tetit i dla mnie trójkątne przepaski z kolorowej rafii, które zakładają krajowcy podróżując lub polując w dżungli. Wolałbym pozostać nadal w przewygodnym „promienistym” stroju, ale Mbauri zalerzało byśmy przyjęli wygląd Abgajów.

— Jak cię Mzauri czy Abgaj zobaczy w marsyjskim przebraniu, pośle ci strzałę lub dziryt, mimo twych jasnych włosów i opalonego ciała, a potem będzie za późno na wyjaśnienie.

Mówił, że i plecionki niepotrzebne w jeździe wodą, miałem pod tym względem inne od niego, bardziej „cywilizowane” zdanie.

Wąwóz początkowo wąski i ponury, rozszerzył się i pojaśniał. Ze szczelin skalnych zwieszały się zielone pnącza barwnymi kwiatami, wydającymi upajającą woń. Purpuro ryby, raz po raz, wskakiwały nam w czołno. Nad głowa goniły się ogromne owady o przezroczystych skrzydłach. Nie rzadko lądowały w naszych czuprynach.

Podnosiłem wzrok często do góry, ale nie z powodu owadów. Baza marsyjska na Górze Strachów zniszczona i czas najwyższy na reakcję innych Marsjan. Wyglądałem więc niespokojnie ukazania się dysków. Broxan co prawda na dwa dni przed swoją klęską zabronił swym pilotom bezmyślnej masakry krajowców, ale nie wiedziałem, czy było to ogólnomarsyjskie zarządzenie, czy jego własna humanitarna inicjatywa.

— Nie spoglądaj tak często w niebo, — upomniała Tetit — bo nam ściągniesz Marsjan na głowę.

— Jak to „ściągniesz”?

— Nie wiesz, że umysł nasz posiada niezwykłą siłę? Czego się spodziewa, czego obraz nosi w myśli, to się realizuje w życiu.

— O jej, a ja mam właśnie bardzo żywy obraz złotego dysku, jak pikuje na nas i zieje ogniem.

— Zmień go czym prędzej! Ja widzę przed nami przyjemną bezpieczną podróż, niebo zawsze czyściutkie ...

— Mam nadzieję, że twój obraz zwycięży ... ja się też poprawiam ... ani razu nie spojrzę w górę.

Wpadliśmy między poroły, potem w wir, który okręcił nas kilkakrotnie w kółko i o mało nie wyrzucił. Gdy znowu otoczyła nas gładka toń, powróciłem do poprzedniego tematu.

— Czy żartowałaś, czy mówiłaś poważnie?

— Najpoważniej. Czy nie wiesz, że Bóg dał nam do rozporządzenia wielką potęgę zawartą w umyśle? Jeśli żyjemy myśli jasne, dobre, ta potęga tworzy w nas i przez nas rzeczy wspaniałe, sprowadza pomyślność i szczęście. Jeśli natomiast spodziewamy się w życiu niepowodzenia, tragicznych wypadków, ściąga- my je sami na siebie... ta sama potęga kieruje się przeciw nam.

— Wiem, że kto był miał wiarę nawet tak małą jak ziarno, mógłby góry przenosić, lecz nawet na tak małą wiarę (trudno się zdobyć.

— Jeśli wierzysz, że trudno, to się nie zdobędziesz. Wiara „że nie można”, zabija wiarę, „że można” — zaśmiała się Tetit — MY ZAWSZE — podkreśliła — mamy wiarę, tylko ją często kierujemy w niewłaściwym kierunku. Wiara w swoją niemoc jest fałszywą wiarą.

Ściany kanionu znowu zbliżały się do siebie. Ciekawa, pnąca się roślina „gmu” przerzucała swe wiotkie łodygi z jednej strony na drugą, tworząc ponad naszymi głowami ażurowy dach. Zwieszały się z niego długie liany, dotykając często zwierciadła wody i tamując przejazd. Przy najmniejszym po-



ruszeniu wiotkich łodyg sypał się na nas z wielkich kwiatów barwny pył. Wkrótce byliśmy upudrowani na kolorowo. Ja na do- datek zacząłem kichać na potęgę.

W najważszym miejscu wpadliśmy w taki gąszcz, że posuwaliśmy się z ogromnym trudem, póki mi nie przyszło na myśl użyć dezintegrator.

Tuż przed zachodem słońca kanion się skończył, rzeka, wpłynęła w szeroką płaszczyznę pokrytą dżunglą. Czas było szukać miejsca na nocleg. Skierowaliśmy się ku grupie skał na prawym brzegu rzeki. Obszerna grota wyścielona miękkim materacem mchu zapraszała w gościnę. Przekąsiliśmy coś niecoś i już układaliśmy się do snu, gdy z jakiejś dziury w grocie wypełzło zwierzątko o jamnikowym ciele, a naturze skunksa. Na nasz widok obróciło się, podniosło puszysty ogon i ... powietrze w grocie napełniło się gazem łzawiącym. Płacząc gorzkimi łzami skoczyliśmy pośpiesznie do łodzi i odbili od niegościnnego brzegu.

Oczy, przebyte wodą, przestały łzawić, ale piekły jeszcze długo. Słońce zaszło. Płynęliśmy teraz przy blaskach zorzy, którą coraz bardziej poczęły przesłaniać ciężkie chmury.

Wtem błysk i huk piorunu ... i ujrzelśmy zjawisko nigdy dotąd nie oglądane: błyskawica dosłownie zapaliła chmurę. Płonęła czerwono niby nafta, wydzielając kłęby dymu. Coraz więcej ciemnych obłoków zapalało się teraz jeden od drugiego, lub od piorunów. Całe niebo gorzało.

— Co się dzieje? -- spytałem Tetit.

— Nie wiem. Za moich czasów nie zdarzało się nic podobnego.

— Coś sypie się z góry ! — wykrzyknął Zoli.

Rzeczywiście, z nieba leciał deszcz czarnej sadzy, napętniając powietrze piekielnym swędem. Zaczęliśmy kaszleć. Brakowało tchu. Czym prędzej przybiliśmy do brzegu i schronili się pod rozłożyste drzewa. Tu sadza trudniej przenikała, niemniej podrażnione płuca zanosily się jeszcze kaszlem.

— Patrzcie, tam wśród drzew jakaś budowla!

Udaliśmy się we wskazanym kierunku. Wznosiła się przed nami olbrzymia świątynia, pokryta bujną roślinnością. Rozsunąwszy festony lian weszliśmy do kolosalnej nawy, która na nasze powitanie rozbłysła światłem. Pośrodku stał złoty sarkofag. Ściany świątyni pokrywały złote blachy, podłogę stanowiły różnokolorowe płyty.

Nie tyle jednak patrzeliśmy na te wspaniałości, co na siebie. Do rzadszych już ataków kaszlu doszedł teraz paroksyzm śmiechu ... spadająca z nieba sadza zmieniała nas w murzynów.

Gdy wreszcie dość na m było śmiechu, podążyliśmy do sarkofagu. Spoczywała na nim złota figura w koronie ze złotych piór. Na wskazującym palcu lewej ręki widniał pierścień z czerwonym kamieniem zapalającym cudne błyski.

— Nie będzie to chyba kradzież, — powiedziałem, gdy stanęliśmy nad figurą — jeśli zdejmę ten pierścień i ofiaruję go tobie, Tetit.

— Jeśli zdołasz go, zciągnąć ...

Położyłem dezynegrator obok głowy posągu i pociągnąłem za pierścień... Kamienna podłoga obsunęła się razem z nami, przekręciła. Z okrzykami przestachu stoczyliśmy się w ciemność.

Spadek był łagodny. Gdy dotknęliśmy ciałami czegoś twardego, zapłonęło światło. Znajdowaliśmy się w obszernej komnacie bez drzwi. Pod jedną ze ścian stał posąg naturalnej wielkości, artystycznie wykonany. Przedstawiał jakieś czarne bóstwo, płci żeńskiej. Bogini trzymała w prawej ręce złoty miecz, wyostrzony jak brzytwa, w lewej puchar, pochylony lekko do przodu. Oczy z zielonego kamienia bez wyrazu, Usta niezwykle grube z kamienia tak czerwonego, jakby przed chwilą piły krew.

Pośrodku komnaty złoty stół. W złotych naczyniach mięsivo, owoce, wyglądały tak świeżo, jakby przed chwilą podane. Wokół stołu ławy, a obok nich na posadzce ... kości ludzkie. Pięć czaszek szczyrzyło do nas zęby. Pięciu ludzi przed nami targnęło się na pierścień i przypląciło życiem swą zuchowałość.

Na widok szkieletów Paumi krzyknęła „och” i przytuliła się do mnie. Biedactwo trzęsło się ze strachu. Zoli dotknął jednej z potraw.

— Z kamienia — szepnął.

Popatrzeliliśmy z Tetit na siebie. Na pewno to samo przeszło nam przez myśl. Czekala nas śmierć głodowa, którą zechciano uczynić jeszcze straszniejszą widokiem nieosiągalnego jedzenia.

Rozglądałem się beznadziejnie po komnacie. Barwne, świetnie zachowane freski przedstawiały sceny opiewające prawdopodobnie mityczne czyny czarnej bogini. Nie napawały nadzieją, że można będzie jakoś zmiękczyć jej kamienne serce. Wszędzie szło za nią zniszczenie, trupy i zgliszcza. Wszędzie jej wargi żłopały krew.

Tetit złapała mnie za rękę.

— Jest stąd wyjście! — krzyknęła.

— Jakie? Gdzie?

— Jakie nie wiem, ale spójrzcie na ten napis nad głową bogini! W języku Kajnow znaczy: „Jeśli godnie uczcie Kamit, wyjdziecie żywi”.

— Jak ją uczcić?

— Sądząc z tych obrazów, ucieszylibyśmy ją najbardziej mordując się wzajemnie.

Podszedłem do posągu. W przeciwieństwie do reszty figury wykutej w jednym bloku kamiennym, ręce były osobno przytwierdzone. Może poruszywszy je, uruchomię jakąś dźwignię otwierającą przejście? Spróbowałem — nic z tego.

Badaliśmy milimetr po milimetrze ściany, stół, posadzkę. Staraliśmy się poruszyć przytwierdzone mocno misy z kamiennym jądłem. Wpadłem wreszcie na dziki pomysł i wspiąwszy się, złożyłem pocałunek na kamiennych wargach bogini. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia ... dobrze, że nie przebiła mnie mieczem za zbytnią śmiałość.

— Jesteśmy czarni jak ona, — zawołała Paumi — powinna się zmiłować nad nami! Jestem już taka głodna!

I reszta więźniów uprzytomniła sobie nieprzyjemną pustkę we wnętrzościach.

— Prześpijmy się, może sen przyniesie natchnienie.

Rozłożyliśmy się na twardych ławach. Mimo głodu i niepokoju, graniczącego z paniką, usnąłem szybko.

Gdy się ocknąłem, Zoli i Paumi spali jeszcze. Tetit obchodziła ściany ostukując je głownią kamiennego noża. Nie odezwałem się. Wodziłem oczami po freskach. W nich krył się se-

kret ratunku. Krew, krew, wszędzie krew... a więc krew jest tym sekretem, najgodniejszą ofiarą ... czy jedno z nas mamy złożyć na ofiarę? Na to nie zdobędziemy się nigdy ... a gdy tak sam się przebił tym ostrym mieczem?

Zbliżyłem się do posągu. Przesunąłem w zamyśleniu palcem po ostrzu miecza. Zaciąłem się. Zaczęła kapać krew. Tchnięty nagłą myślą przesunąłem rękę nad puchar. Kap ... kap... Zbliżyła się Tetit. Zrozumiała. Za chwilę nasza krew złączyła się w złotym naczyniu. Nowe nacięcia. Kielich wypełnił się ...

Zoli się ocknął, zbudził Paumi, podeszli do nas.

Wtem ręka bogini drgnęła. Puchar z krwią szedł ku czerwonym wargom. Druga ręka z mieczem podniosła się, wskazując coś za nami.

Obejrzałem się.

— Przejsście! — krzyknąłem.

Rzuciliśmy się ku przeciwległej ścianie, w której ukazał się otwór. Długi tunel wił się w różne strony, wreszcie wyprowadził nas w dżunglę. Panowała jeszcze noc. Osłabieni, głodni, lecz szczęśliwi osunęliśmy się na miękki mech.

Co dało nam wolność? Najprawdopodobniej nasza krew zamknęła jakiś obwód elektryczny, który wprowadził w ruch ukryty mechanizm.

Dziwna burza skończyła się. Na niebie świeciła pomarańczowa zorza. Mech pokrywała nadal gruba warstwa sadzy, tak że umazaliśmy się jeszcze gorzej. Zerwaliśmy mięsiste owoce „kanu”, żeby zaspokoić głód. Trzeba je było przemyć w pobliskim jeziorzku. Przy okazji wykąpaliliśmy się i my. Sadza schodziła łatwo. Tylko przepaski z kolorowej rafii zrobiły się szare

i sztywne. Zrzuciliśmy je więc, zastępując giętką skórą, którą Zoli zciągnął zgrabnie z powierzchni grzybów gigantów i nasycił roślinnym olejem.

Te same grzyby dały nam schronienie, gdy niebo zasnuło się chmurami i lunęły strumienie gorącego deszczu. Oparłszy głowy i plecy o podstawę grzyba, zasnęliśmy.

Spałem kamieniem wiele godzin i nie od razu zbudziły mnie niepokojące dźwięki płynące z dżungli. Szczęk, szczęk, chrobot... szczęk, szczęk, chrobot... bliżej i bliżej.

Wreszcie coraz głośniejszy hałas dotarł do mej świadomości. Otworzyłem oczy i zerwałem się na równe nogi. Dżungla drgała życiem. Setki gigantycznych gąsienic szły ku nam szeroką tyralierą, pozostawiając za sobą kikuty biednych, okaleczonych drzew.

Paszczka jednej z liszek, zaopatrzona w dwa rzędy ostrych zębów, których i rekin by się nie powstydział, była już o metr od bosej nogi Tetit.

Porwałem dziewczynę z mchu, krzyząc jednocześnie na Zoli i Paumi, by uciekali. Zerwali się natychmiast. Ubiegliśmy parę kroków i obróciliśmy się, by spojrzeć na przerażające zjawisko. Straszliwa armia, długich na parę metrów ciał, szła wolno, lecz nieodparcie naprzód, pożerając wszystko, co się do tego nadawało. Ginęły już nasze pocziwe grzyby rozrywane w kawałki potężnymi szczękami.

— To są chyba „mra”, — wyszeptała Paumi — ale one były dotąd nie dłuższe niż mój palec.

— Skutki zniszczenia „pola ochronnego” — mruknąłem i dodałem głośno — pędzę do świątyni po dezynTEGRATOR.

Bez trudności odnalazłem świątynię. Nikt nie ruszył broni. Posadzka koło sarkofagu trzymała się mocno. Chwyciłem dezyntegrator i wybiegłem.

Mijały godziny, a my prowadziliśmy dzieło zniszczenia, przekazując sobie dezyntegrator z rąk do rąk. Walka była bezwzględna. Postanowiliśmy wytępić gąsienice co do jednej.

Koło południa armia „mra” przestała istnieć, ale niejednemu szkodnikowi udało się ujść naszego ognia, rozeszli się po dżungli. Jasno było, że się szybko rozmnożą i ponownie poniosą zagładę. Ile zresztą takich armii działało już na całym obszarze planety?

## Rozdział VII

### KOLEJKA POWIETRZNA

Płynęliśmy środkiem płaskiej krainy, pokrytej nieprzebytą dżunglą. Nij rozlewał się coraz szerzej, zwalniał biegu. Zgu biliśmy główny nurt i czółno weszło teraz w rodzaj nawodne go lasu. Z dnia rzeki wyrastały smukłe drzewa o jednym tylko liściu, wyglądającym jak kolosalny parasol o postrzępionych brzegach. Z trudem przepychaliśmy się między pniami, a gdy wreszcie znaleźliśmy się na wodnej polanie, czekała nas nowa niespodzianka. Pośród wielkich, jak balia liści pływały niby-dynie o średnicy dochodzącej do dwu metrów. Powierzchnia ich żółtawa, nakrapiana otworami, tak regularnymi, jakby je kto wymierzył cyrklem. Z otworów wyglądały ptaki i olbrzymie owady podobne do ziemskiej ważki.

— Cóż to za kule? — spytałem.

— „Koara” — odparła Paumi — bardzo smaczne, lecz skórę mają tak twardą, że jej i nożem nie można przebić. Tylko te „ngali” — wskazała na ważki — wydzielają z pyszczka ostry płyn, który wypala te otwory, a potem one i ptaki wyjadają słodki miąż.

Przepływaliśmy właśnie koło jednej z tych „koara”. Tetit zajrzała do jednego z otworów.

— Jest pusta — stwierdziła — chodźmy do środka!

Wsunęła się do wnętrza. Wsunąłem się i ja. Siedzieliśmy na „podłodze”, sprężystej jak materac.

— Jakie wygody! — zawołałem z uznaniem.



— To dzięki temu gąbczastemu „materacykowi” utrzymujemy się na powierzchni wody.

Zoli i Paumi weszli do sąsiedniej kuli. Czuliśmy się jak dzieci, co się bawią w „dom”. Było mi jakoś tak dobrze i przytulnie we wnętrzu tej „dyni” z uśmiechniętą Tetit przy boku. Wziąłem jej rękę w swoje dłonie. Popatrzała na mnie ciepło i serdecznie.

— Czujesz się szczęśliwy? — spytała.

— W tej chwili bardzo — odpowiedziałem.

— A zwykle nie?

— Będę szczęśliwy, jak się wydostaniemy z tej wyspy, jeśli moje życie jakoś się spokojnie ułoży, jak wypędzą Marsjan z Wenus, jak ...

Przerwał mi srebrzysty śmiech.

— To ty nigdy nie będziesz szczęśliwy.

— Dlaczego?

— Szczęście albo jest dziś i zawsze, albo go nie ma. i nie będzie. Jeśliś je umieścił w przyszłości, nigdy go nie złapiesz, zawsze będziesz czekał na coś nowego, a gdy to nowe przyjdzie, będziesz czekał na następne ...

— A ty jesteś zawsze szczęśliwa?

— Na ile to jest możliwe, tak. Jest mi dobrze w tej chwili, ale mi było dobrze i na grzbiecie kiri i w nurtach wodospadu i w ucieczce ...

— I pod świątynią, gdy czekaliśmy na śmierć głodową...

— To była ciekawa przygoda, i nadal za każdym zakrętem rzeki czekają nas nowe ...

— W których można wreszcie życie postradać.

— Przygoda jest przygodą właśnie dzięki elementowi niebezpieczeństwa, a śmierć jest chyba największą przygodą wejściem w nowy, fascynujący świat ... nie boję się jej.

— Tę przygodę wolałbym odłożyć jak najdalej.

— I ja też — przyznała.

Z trudem wydostaliśmy się z matni wodnej. Rzeka przy prawym brzegu Nija była czysta. Wylądowaliśmy. Wkrótce zapadła noc. Paprociowy las dał nam schronienie. Usnęliśmy.

Koło północy obudziły mnie smakowite zapachy. To Zoli rozpałił ognisko i piekł na nim owoce łubinowego drzewa.

Skrytykowała go Paumi, która też się zbudziła:

— Upolowałeś co; już tak dawno nie miałam w ustach mięsa.

Sięgnął po łuk i oddalił się wzdłuż brzegu. Nie uszedł i stu kroków, gdy doszło nas jego wołanie. Pobiegliśmy z bronią w rękę. Zoli stał pochylony nad nieruchomym ciałem ludzkim.

— Kto to?

— Ciemno, nie widać.

— Żyje?

— Żyje.

Paumi przyniosła kilka „narajek”, świecących kwiatów. Odwróciłem leżącego twarzą do góry. Rozpoznaliśmy go natychmiast: Broxan. Nagi, z ciemnymi plamami zakrzepłej krwi i ręką beznadziejnie wyciągniętą ku wodzie, wyglądał żałośnie.

Tetit dotknęła dłonią mego dezintegrator:

— Skończ z nimi! — rzekła.

— Mam zabijać bezbronного?

— To wróg! — odpowiedziała twardo — wróg, który w tej samej sytuacji nie zawahałby się nas zabić.

— To w tej chwili jest ranny, biedny człowiek, potrzebujący naszej pomocy. No, dalej, zabieramy go!

Posłuchali. Przenieśliśmy nieprzytomnego do ogniska. Dziewczęta obmyły rany od dziryków na biodrze i na plecach oraz zadrapania od ostrych gałęzi, potem pokryły je leczniczymi liśćmi. Udało mi się wlać trochę wody w zaschłe usta. Ranny nie otworzył jednak oczu i nadal trwał w omdleniu.

Zoli poszedł na polowanie. Wrócił taszcząc tłustego zwierzaka, którego można by nazwać szyszkowcem, bo wyglądał jak wielka sosnowa szyszka. Z obraniem go z łusek nie było kłopotu: same odpadły po upieczeniu w dołku, wyłożonym gorącym popiołem. Mięso było znakomite.

Broxan ocknął się po wschodzie słońca i powiódł po nas zdumionym spojrzeniem.

— I wy uciekliście od Kajnów? — spytał.

Odpowiedziało mu milczenie.

Paumi dała mu pić. Zjadł też trochę mięsa i owoców.

— Kto cię tak poranił? — zapytałem.

— Mzauri ... paru naszych zabili, kilku pojмали, ja chociaż ranny, zdołałem ujść. Czemuście mnie nie dobili? Co chcecie ze mną zrobić?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie zabijamy bezbronnych ... nawet takich drani, jak ty i inni Marsjanie. Ciągnąć cię ze sobą nie będę. Jak ci wrócą siły, idź, gdzie chcesz.

Nie miałem wyrzutów, gdy zdezyntegrowałem dwu Marsjan, którzy chcieli zamordować Paumi, ale Broxana . . . nie miał on chyba na sumieniu, przynajmniej bezpośrednio, życia ludzkiego... muszę zresztą przyznać, że czułem dla niego jakąś dziwną sympatię. Wydawało mi się, że nie jest to człowiek zły, raczej ofiara bezwzględnego systemu.

Rozmowa zmęczyła go. Wkrótce zapadł ponownie w sen. Przekonani, że i bez nas da sobie radę, zostawiliśmy mu sporo żywności oraz wodę i ruszyliśmy w dalszą drogę. Parę kilometrów dalej Nij spadał kilkadziesiąt metrów w dół z krawędzi skalnego tarasu. Zajęło nam wiele czasu znalezienie dogodnego zejścia, po którym można było spuścić łódź.

Rzeka przebijała się teraz wartko przez malowniczą okolicę, usianą pagórkami. Dżungla dość często ustępowała miejsca zielonej sawannie. Woda niosła sama, mogliśmy więc swobodnie gawędzić.

Tetit z ożywieniem opowiadała o swych wycieczkach na ziemię. Ojciec jej stał na czele specjalnej grupy, mającej na celu szerzenie monoteizmu i kultury na naszej planecie. Zabierał czasem swą córkę oraz Emfrit i Senfira. Poznali egipskie Teby, Knossos na Krecie, Babilon, jakieś wielkie miasto w Indiach, może Harapę, której ruiny odkryto i Ma-Noa w dorzeczu Amazonki, dokąd jeszcze archeolodzy nie dotarli i wiele innych miejsc.

Słuchałem jej z przyjemnością. Opowiadała inteligentnie.. Patrzyła prosto w oczy, jakby sprawdzając, czy ją rozumiem. Wysuwała często języczek na górną wargę, trochę śmieszny a wdzięcznym ruchem.

I ja jej opowiadałem o zmianach zaszłych w świecie, o rozwoju cywilizacji, o wojnach, o wynalazkach, lecz najbardziej interesowały ją sprawy religii. I Wenuzianie jej czasów znali przepowiednie o przyjściu Kogoś, kto miał odrodzić świat. Słuchała historii o Chrystusie z zapartym oddechem. W jej niebieskich oczach ukazywały się często łzy. Była wzruszona, ale trudno jej było pogodzić Bóstwo Chrystusa z Jego męką, nie mogła się w jej główce pomieścić powszechność grzechu pierworodnego i konieczność tak okrutnego zadośćuczynienia.

Rozmowę przerwał nam dziwny widok. Zza zakrętu rzeki wyłoniła się jakby pół-piramida: po jednej stronie miała, schody, po drugiej pionową ścianę.

— Jeśli urządzenia na tej piramidzie jeszcze działają — wykrzyknęła Tetit — pojedziemy dalej po królewsku!

Przybiliśmy do brzegu. Tetit wspięła się na szczyt tak szybko, że wyprzedziła nas znacznie. Uklękała i macała przed sobą rękami, jakby czegoś szukając.

— Jest, jest! — zawołała radośnie. — Dotknijcie sami!

Chociaż nic nie widziałem, palce wyczuły śliską powierzchnię.

— To jest niewidzialny, „próżniowy” tor napowie trznej kolejki — objaśniła — a tam wyryto mapę wyspy i naniesiono trasę.

— Gdybyśmy mieli czym — powiedziałem po obejrzeniu mapy — moglibyśmy piorunem dojechać do ujścia rzeki Danga. Skróciłoby to nam podróż o wiele dni.

— Nasza łódź wystarczy za wagonik, trzeba tylko dorożyć z boku podpórki.

— A skąd napęd?

— Upleciemy żagiel, choćby z trzciny. Tor bardziej śliski niż lód, a wiatr wieje we właściwym kierunku.

Zabraliśmy się do pracy. W godzinę improwizowany żagiel był gotów, a i podpórki nie sprawiły wiele trudności. Wciągnęliśmy czółno na szczyt piramidy umieścili na torze.

— Czy możemy być pewni, że tor nieuszkodzony na całej długości?

— Nie. Trudno powiedzieć, jak dawno zbudowano tę kolejkę i w jakim jest stanie. Tor jednak tworzą przyrządy zakopane w terenie. Otoczone są kulistym pancerzem próżniowym i w zasadzie mogą trwać wiecznie. Czego się obawiam to, że wskutek ruchów terenu mogły zmienić położenie.

— I wylecimy z toru w powietrze ...

— Nie ... Jeśli między członami toru następuje przerwa, zamykają się automatycznie na końcach. Nie bój się, jedziemy!

Wiatr uderzył w żagiel. Pędziliśmy po niewidzialnym torze z dużą szybkością. Ta jazda na przełaj, ponad drzewami, poprzez wzgórza, doliny i strumienie była wspaniała. A jednak wolałbym jechać rzeką. Tam w razie pojawienia się marsyjskiego dysku, można było dać nurka lub schronić się na brzegu dżungli, tutaj pozostawał jedynie skok z wysokości kilku pięter. Nie przyznawałem się Tetit do obaw, ale czułem się nieswojo.

Przejechaliśmy obok ruin miasta, w którym Tetit kiedyś była i które nazywało się Krukax; przelecieliśmy też nad gło-

wami gromadki Mzaurich, którzy na nasz widok rozpierzchli się jak stado kuropatw.

Tor prowadził obecnie wzdłuż rzeki Danga, wijącej się serpentynami. Brzeg jej obrastał wysokopienny, gęsty las. Jego drzewa nie były mniejsze od kalifornijskich sekwoi. Tor opadł tu za nisko czy drzewa wyrosły wyżej, niż przewidywali inżynierowie, dość że wielkie gałęzie tamowały raz po raz przejazd. Dezyntegrator w oka mgnieniu usuwał je z drogi.

Wypadliśmy z lasu. Czółno zwolniło biegu, choć wiatr dął nadal we właściwym kierunku i z dawną mocą. To tor, zamiast biec poziomo, podnosił się gwałtownie. Wreszcie stanęliśmy, a nawet nasz „wagonik” zaczął się cofać.

— Tu się kończy nasza jazda — stwierdziłem — a zaczyna kłopot z wysiadką. Pod nami rzeka, ale na skok w nią za wysoko.

— Zwińmy żagiel — zaproponowała Tetit — tor pochyły, to zjedziemy z powrotem do wysokich drzew i po gałęziach i pniu zejdziemy.

Żagiel opadł. Czółno cofało się po torze z dużą szybkością. Przelecieliśmy obok gałęzi, nie mogąc się zatrzymać. Manipulując jednak na przemian żaglem i spadzistością toru, uchwyciliśmy w odpowiednim miejscu za silną gałąź i przymocowali do niej, łódź.

Spojrzałem w dół i zrobiło mi się niedobrze na myśl o schodzeniu po gałęziach.

— Czy nie lepiej... — zacząłem.

— Vana! — wykrzyknęła przeraźliwie Paumi.

Od strony rzeki szybował ku nam powoli zwiadowczy dysk marsyjski. Jeszcze nas chyba nie zauważył.

Zapomniałem o wysokości. Sam nie wiem, jak i kiedy, znalazłem się wraz z towarzyszami na miękkim mchu u podnóża drzew. Skryliśmy się w gęstym poszyciu pod olbrzymimi liśćmi krzewu „kparuti”. Nie było stąd widać ani dysku, ani czółna, usłyszeliśmy wszakże charakterystyczny syk dezintegrator.

— Spalili czółno — wyszeptał Zoli.

Marsjanie nie poprzestali na czółnie, zaczęli wypalać dżunglę. Uderzyła w nas fala gorąca. W popłochu rzuciliśmy się do ucieczki, lecz dysk był szybszy od nas. Zataczał od miejsca naszego zejścia ogromną spiralę, wypalając wszystko do nicości w ślad swego lotu. Płomień ognia przeszedł tuż przed naszymi nosami. Gdybyśmy biegli szybciej, byłoby po nas. Dobrze też, że piloci nie dostrzegli nas z wysoka.

Przykucnęliśmy pod liśćmi, uwięzieni w zwojach spirali. Za nami i przed nami zionęły czarną pustką pasy pięćdziesięciometrowej szerokości.

Dysk zawrócił nagle do centrum spirali, obniżył się do wysokości dwóch metrów i szybował powoli wypaloną strefą. Piloci uchylili przezroczystą kopułę. Jeden patrzył uważnie ku środkowi spirali, drugi na zewnątrz. W dłoniach trzymali ręczne dezintegratory. Gdzie niespalony pas dżungli gęstniał i mógł kryć kogoś, tam słali ogniste salwy.

— Padnijcie na mech! — szepnąłem swoim.

Sam zaś biegłem chyłkiem ku najbliższemu wewnętrznemu pasowi spalenizny. Na jego skraju ukryłem się między dwoma pniami. Wystawiwszy dezintegrator do przodu, czekałem z bijącym sercem. Dysk mignął mi już dwukrotnie pośród zieleni. Słyszałem już głośną rozmowę Marsjan.



Dysk ukazał się wreszcie na linii strzału. Ssssss ... poszła ku niemu wiązka ognia.

Głowy i górna część tułowia pilotów znikły... Dysk zakotyłał się, zmienił kierunek, wpakował się w krzaki i nagle wyskoczył ku niebu ; więcej go nie widziałem.

Zerwaliśmy się i wciąż jeszcze pełni strachu biegliśmy bez słowa chyba z pół godziny, aż zatrzymały nas szerokie wody rzeki Danga. Tu padliśmy na murawę oddychając ciężko.

Pierwsza Tetit złapała oddech.

— Musiałeś myśleć o tych dyskach — rzekła z wyrzutem — no, i przyleciał.

— Skończ z tymi bzdurami! — odburknąłem ze złością — to przypadek .

— Nie ma w życiu przypadków — odparła i zamilkła urażona.

## Rozdział VIII

### W CUDZYCH PIÓRACH

Przystąpiliśmy do sporządzania nowego czółna, a raczej podłużnej tratwy. Jej trzon stanowiły dwa równoległe pnie lekkiego drzewa „ibu”, ścięte dezintegratorem. Budowaliśmy

tratwę na rzeczce, prawym dopływie Danga, w miejscu dobrze zamaskowanym przed obserwacją z góry.

Praca szła dość sprawnie pod kierownictwem Zoli, gdy nagle do naszych uszu doszło gdakanie „kubli”. Byłem już głodny, a ptaki te miały sławę wybornego pieczystego.

— Zostawiam wam dezyntegrator — oznajmiłem — a sami wezmę łuk i ustrzelę coś na obiad.

— Ja pójdę — ofiarowała się Paumi.

— Zostań, lepiej pomożesz w upleceniu żagla niż ja.

Poszedłem. Prowadziło mnie coraz wyraźniejsze gdakanie, lecz niestety spłoszyłem ptaki, nieuważnie nastąpiwszy na suchą gałąź. Szkoda, że nie poszła Paumi. Umiała posuwać się bezszelestnie i strzelała lepiej z łuku.

Zagłębiłem się w las, trzymając się biegu rzeki. Z oddali dobiegły mnie głosy ludzkie. Śmiano się, nawoływano. Zacząłem się skradać w kierunku głosów. Kto to mógł być? Nie mogłem jeszcze rozróżnić języka.

Mały wzgórek, pokryty gęstą roślinnością — doskonały punkt obserwacyjny. Polanka nad rzeczką, w wodzie myjące się postacie. Po mleczno-czekoladowej barwie skóry poznałem Mzaurich. Na brzegu rozłożone kolorowe spódniczki, płaszcze, nakrycia, wszystko z piór. Raz po raz ktoś wychodził z wody i wkładał na siebie te ozdoby. Poprawiali je na sobie, zamieniali, przymierzali.

Ponieważ zwykły strój Mzaurich składa się zasadniczo z promieni słonecznych i cieni rzucanych przez liście, zorientowałem się, że szykuje się tu jakaś uroczystość. Wyjść i nawiązać kontakt, czy się lepiej nie pokazywać? Nie wiedziałem, czy są to ci sami Mzauri, którzy kiedyś zawarli przymierze z

Dorotą i z Abgajami, czy jakaś inna gałąź plemienia, która o nas nic nie wie i może ustosunkować się wrogo.

Pochłonięty widokiem i rozważaniami dopiero w ostatniej chwili usłyszałem, że ktoś mnie zachodzi od tyłu. Obróciłem się gwałtownie. Przede mną stało straszdyło, całe w piórach, z wyjątkiem twarzy, którą pokrywała ohydna maska. Według zasady „najprzód strzelaj, a potem dopiero zadawaj pytania”, szybkim ruchem wepchnąłem zatrutą strzałę między pióra.

— And ... — wykrzyknęła maskara i padła w trawę.

Czyżby chciał zawołać „Andra”?

Ściągnąłem mu maskę. Był to mieszaniec mzaurijsko-kuwiliński o jasnej skórze. Twarz miał pomalowaną czerwoną i żółtą farbą. Chyba nikt znajomy. Nieważne. . . Ale, ale przecież mogę się przebrać dosłownie w „nieswoje piórka” i przeprowadzić zwiady.

Przebrany, odważnie wychyliłem się z ukrycia. Maszerowałem w kierunku, gdzie wydawało mi się, że powinna się znajdować osada dzikich. Rzeczywiście obszerna wioska rozsiadła się między wysokopiennymi drzewami. Zbudowana była niedawno. Na chatach liście i trzciny nie zdążyły pożółknąć zupełnie. Po środku, na małym placyku, usypano i umocniono darnią piramidę-kopiec. Na szczycie leżał kamień ofiarny, do którego przywiązano jakiegoś Marsjanina. Rozpoznałem jego przynależność planetarną po białej skórze, która nawet na Wenus nie chciała brązowieć. Czyżby Broxan?

Iść, przyjrzeć się, czy lepiej wiać do lasu?

Za późno na las. Otoczyły mnie pierzaste postacie. Wiodocześnie szukały już właściciela pożyczonego stroju, bo mi coś

ostro poczęto wyrzucać. Musiałem wsiąść do prymitywnej lektyki. Z biciem w bębenki i z dzikimi okrzykami orszak ruszył ku piramidzie. Z trudem przepchaliśmy się przez tłum krajowców, którzy na dźwięk bębenków wybiegli z chat i zgromadzili się pod kopcem. U stóp piramidy wysiadłem z lektyki i znalazłem się twarzą w twarz z ... Senfirem otoczonym kilkunastu wojownikami kajneńskimi. A ci skąd się tu wzięli?

Nie czas było się nad tym zastanawiać, bo całą moją uwagę pochłonęła głupia sytuacja, w którą się wpakowałem, a która stawała się coraz głupsza. Wódz plemienia, olbrzym z długimi kolczykami z kości — znałem go z poprzednich przygód — podał mi nóż kamienny. To ja miałem uśmiercić tego biedaka na ołtarzu. Zaczynałem wierzyć w Uku i jego złośliwość ...

Ociągałem się, lecz naczelnik bezceremonialnie palnął mnie pięścią w plecy, popychając do wejścia na schody. Coś mi też gniewliwie szeptał do ucha, ale niestety nie znałem narzecza Mzaurich.

Stałem nad nieszczęsną ofiarą. Marsjanin leżał spokojnie, lecz oczy miał pełne strachu. Co zrobić? Zabić go nie mogę. Uczyniłbym to zresztą na pewno nieprzepisowo i zaraz by poznali, że coś nie w porządku.

A... przeżegnałem się i zdecydowanym ruchem rozciąłem mu więzy. Usiadł na kamieniu. Wodził dokoła zdumionym wzrokiem. Rozcierał obolałe członki.

Gdy przeciąłem więzy, po zwartym pierścieniu ludzkim przebiegł pomruk, który się zaraz uciszył. Wyczułem w nim raczej zdziwienie, niż niezadowolenie. Wiedziony bardziej intuicją niż rozumem, podniosłem rękę w kierunku dżungli,

przeciwnym od tego, gdzie stał Senfir ze swoją kompanią. Pochnąłem Marsjanina, mówiąc:

— Hur! idź!

Schodził powoli, niepewnie. Tłum rozstępował się, jak przed trędowatym. Wyszedł bez przeszkody poza obręb koła i dopiero wtedy, jak szalony, rzucił się do ucieczki. Nikt nie pogonił za nim. Wszystkie oczy wpatrywały się we mnie.

Miałem wielką pokusę pobiec za Marsjaninem, ale wyczuwałem, że by mi się to nie udało. Wolno może kapłanowi plemienia uwolnić więźnia, lecz na pewno nie pozwolono by jemu uciekać.

Na dole rozpoczęła się gwałtowna wymiana zdań między Senfirem a wodzem plemienia. W tłumie huczało jak w ulu. Ruszyłem w dół. Najważniejsze to zachować inicjatywę... Skierowałem się prosto do Senfira.

— Vajni, Senfir! — rzekłem najspokojniejszym w świecie głosem, zdejmując maskę. — Co nowego słysząc?

Rzucił się ku mnie wściekle. Złapał za pióra na piersi i krzyczał:

— Gdzie Tetit? Gdzie Tetit? Coś z nią zrobił? Mów, bo zabiję!

Zaczerwienił się, szalał. Odepchnąłem go, bo zaczynał mnie dusić. Potoczył się jak piłka, ale na mnie wpadli jego wojownicy. Zatrutą strzałą, wyciągniętą spod pierzastego płaszcza, rozdawałem ukłucia na lewo i prawo. Walili się jeden po drugim. Któryś jednak rzucił mi się pod nogi, inny wskoczył na plecy. Padając, nadziałem się na własną strzałę i straciłem przytomność.

Ocknięcie nie należało do najprzyjemniejszych. Wisiałem, zawieszony za ręce u belki, w jednej z chat, podobnie jak Imć Kmicic pod Częstochową. Czyżby mnie mieli też przypiekać? Strażnik, młody Kaj, zauważył, że przyszedłem do siebie i wybiegł. Wrócił, prowadząc Senfira w towarzystwie naczelnika Mzaurich i tego kapłana-czarownika, od którego pożyczyłem stroju. Nie miał już farby na policzkach i od razu poznałem go, choć nie mogłem uwierzyć, że to ten sam Izolk, co przecież zginął w wybuchu wulkanu, ratując mnie i moich przyjaciół.

Izolk był zakłopotany. Unikał mego wzroku i udawał, że mnie nie poznaje. Senfir nadal bulgotał złością.

— Gdzie Tetit? — warknął.

— Skąd ja mam wiedzieć? A co się z nią stało?

Oczy księcia zabłyśły złowrogo.

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności — wyrzucił przez zaciśnięte zęby — jeśli nie powiesz, gdzie jest, wydobędę to z ciebie torturą.

Milczałem. Nie było po co zgrywać niewinnego. Jest przekonany, że uciekłem z Tetit. Na jego miejscu też bym nie wierzył zaprzeczeniom. Dał znak wojownikom. Jeden z nich przyniósł zapaloną pochodnię.

Zupełnie jak z Kmicicem, ale gdzie Kiemlicze na ratunek? Niech się pośpieszą! Bałem się. Byłem gotów na bicie, wykręcanie rąk, ale ogień. Wbrew zasadom Tetit, widziałem już oczy ma wyobraźni moje ciało poparzone, zeszpecone na całe życie ... I ten ból, czy go przetrzymam? Co by tu powiedzieć, żeby odroczyć mękę? Nawet żebym zdradził miejsce pobytu Tetit, czy by mnie to uratowało? Czyż w tym księciu, mimo cywiliza-

cyjnej polityry, nie mieszkała dusza prymitywnego władcy? Nigdy mi nie daruje, że go oszukałem i zabrałem dziewczynę, którą kochał czy tylko pożył.

— Tetit nie jest niewolnicą — powiedziałem, aby coś powiedzieć. — Chciała odejść, więc odeszła. Ja też nie byłem Senfir wyrwał pochodnię wojownikowi i przytknął do mej pięty. Czułem dotknięcie głowni, lecz żadnego bólu. Jedno spojrzenie na Izolka wyjaśniło przyczynę.

Czarownik stał nieco na uboczu i w tyle za innymi. Ręce opuścił wzdłuż ciała, ale dłonie skierował ku mnie. Wzrok utkwiony w mych stopach, twarz niezwykle skupiona. Przeprowadził nas kiedyś cało po rozpalonej ławie, obecnie stosował tę samą tajemną moc.

Lepiej udawać cierpienie. Odsunąłem stopę od ognia. Wiłem się i syczałem niby z bólu. Wąchałem też z niepokojem, czy nie poczuję woni spalenizny. Może Izolk uwolnił mnie tylko od czucia? Nie, przecież wtedy nie mieliśmy ani bąbelka na podszwie.

— Masz dość? — spytał Senfir, odsuwając głownię.

W tych warunkach mogłem długo odgrywać bohatera. Oby tylko nie zabrakło mocy Izolkowi. Poczciwy czarodziej! Zwiłem bezwładnie, udając zemdlonego, by dać oddech Izolkowi. Bito mnie po twarzy — to odczułem. Otworzyłem oczy.

O ile ogień mi nie szkodził, to ręce bolały już piekielnie od więzów.

Senfir przytknął pochodnię do mego boku. Udawałem ból. Ale książe zorientował się, że coś dziwnego się dzieje. Byłem może dobrym aktorem, ale dotknięcia pochodnią nie zo-

stawiały śladów oparzenia ... najwyżej trochę sadzy. Cofnął się i badał mnie wzrokiem, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy.

— Nie wiedziałem, żeś taki magik — powiedział — ale i na czary są sposoby. Ogień cię nie bierze, lecz jak zacznę drzeć z ciebie pasy, zaraz wszystko wyśpiewasz.

Wyciągnął długi nóż z za pasa i by zrobić większe wrażenie, począł go wolno przybliżać do mej piersi. Gdy mnie dotknął, szarpnął gwałtownie ręką i wypuścił nóż.

— Ach! — krzyknął, rozcierając rękę.

Musiał odczuć jakby uderzenie prądu elektrycznego. Postanowiłem użyć nowej metody: „z góry na niego!”

— Dość tych błazeństw! — wrzasnąłem. — Dość długo pozwoliłem ci się bawić ze mną ... odcinaj mnie od belki i proś o przebaczenie, bo ...

Metoda „nie zgrała”.

— Bo co? Bo nic ... Jakiś taki silny, to sam się odetnij! Ja poczekam ... Jak ci się znudzi wiszenie, to mnie zawołaj.

Odwrócił się i skierował na plac, skąd właśnie zaczęły dochodzić głosy, krzyki, tupot nóg, wreszcie wyraźny syk dezintegrator. Odsiecz, czy atak Marsjan?

Za Senfirem rzucił się ku wyjściu wódz Mzaurich i dwaj wojownicy. Nie zdołali opuścić chaty. Coś świsnęło za moimi plecami i wszyscy trzej padli rażeni strzałkami z dmuchawki. Izolk, porwawszy nóż z podłogi rozcinał mi więzy. Dopomógł mu w tym Zoli, bo to on dostał się do chaty od tyłu i poraził nieprzyja ciół.

Uwolniony, wybiegłem na zewnątrz. Tetit z dezintegratorem w ręku znajdowała się już w połowie wioski, miotając



płomienie tuż koło pięt uciekających Kajnów i Mzaurich. Od tyłu ubezpieczała ją Paumi z łukiem gotowym do strzału.

Senfir nie bacząc na ogień szedł śmiałym krokiem ku Tetit.

— Stój, bo cię spalę! — zagroziła dziewczyna, lecz ostrzeżenie go nie zatrzymało. Płomień cofał się przed nim. Senfir wiedział, że Tetit go nie zabije ... Szepnęła coś do Paumi. Świsnęła strzała, wypuszczona z łuku, i młody książę zważył się na plac, kilka kroków przed stopami Tett.

Mieszkańcy osady pochowali się po chatach. Kajnowie zbili się w spłoszoną gromadę u podnóża piramidy. Tetit kazała im rzucić broń. Posłuchali po krótkim wahaniu, gdy nowa salwa ognia przypiekła im niemal stopy.

Izolk wołał teraz coś do Mzaurich. Wysypali się z chat, otaczając nas przyjaznym kołem. Śpiewali, podskakiwali, klaszali w dłonie na cześć naszego zwycięstwa.

Czarownik zaprosił nas na posiłek do swej chaty. Była obszerna, wyłożona skórami i kolorowymi matami. Dopiero teraz mogłem podziękować Tetit za odsiecz, a Izolkowi za magiczną osłonę przed ogniem.

— To ja winienem ci wdzięczność — rzekł — uratowałem mnie przed zabiciem tego Marsjanina, którego Senfir kazał mi złożyć Uku w ofierze. Niech ogień pochłonie Kajnów!

Żyliśmy szczęśliwie bez nich ... Czy to prawda, że zmarłych wstali?

— I tak, i nie ... nigdy nie umarli, tylko się obudzili po paru tysiącach lat.

— Mzauri się ich boją ...

— I ty też.

Nie zaprzeczył. Nigdy nie był bohaterem, ale i nie udawał bohatera.

— A kto ona? — wskazał na Tetit.

Opowiedziałem treściwie, co zaszło od ostatniego naszego widzenia się i kim była Tetit. Fotem czarownik wyjaśnił, co się z nim stało. Pozostawiliśmy go oddzielonego od nas pasem gorącej lawy, przekonani, że nie żyje. Tymczasem udało mu się ocknąć z omdlenia i ująć w porę przed ponownym wybuchem wulkanu. Zgubił się potem w dżungli. Po paru tygodniach błakania się spotkał Mzaurich, którzy przyjęli go na swego czarownika-kapłana. Skontaktował się z dobrymi Amgami. Przebaczyli mu zdradę. Izolk ochrzcił się i starał się szerzyć chrześcijaństwo wśród Mzaurich. Jak się później przekonałem, było to dość swoiste chrześcijaństwo, niemniej złągodziło w dużej mierze dzikie zwyczaje plemienia.

Marsjanie roznieśli śmierć i zniszczenie także wśród Mzaurich. Klęska byłaby o wiele większa, gdyby nie to, że spotkałem wtedy z Paumi dwóch wojowników i ostrzegłem przed noszeniem jakichkolwiek przedmiotów metalowych. Mzauri przyjęli ostrzeżenie, rozbiegli się w maleńkich grupkach po dżungli. Dopiero parę dni temu, ośmieleni tym, że dyski prawie zupełnie przestały się pokazywać odważyli się na założenie tego osiedla u stóp drzew olbrzymów, których rozłożyste korony utrudniały obserwację z powietrza.

Wieść o „zmartwychwstaniu” Kajnów rozeszła się szybko po wyspie. Kiedy więc przyplłynął Senfir w poszukiwaniu zbiegów, przyjęli go z zabobonnym lękiem. On bez wahania objął nad nimi władzę, nakazał kult Uku i składanie krwawych ofiar z jeńców, a gdyby ich nie było, z samych Mzaurich.

— Jak szybko spłynęła z niego kultura Mu — zwróciłem się do Tetit — którą chcieliście w nim zaszczepić.

Przytaknęła smutnie głową.

Nie ominęły nas mimo wszystko dzisiaj smaczne „kulbi”. właśnie wniesiono je na glinianym półmisku.

Pod koniec posiłku Izolk uderzył się palcem w czoło.

— Że nie powiedziałem tego od razu ... twój przyjaciel Kini odwiedził nas niedawno w łodzi-rybie. Szukał ciebie i paru innych osób. Podobno ktoś cię „odmienił” i dlatego Kini wiózł cię na wyspę Amgów po ratunek. Tymczasem ty i kilku innych „odmieńców” uciekliście, gdy przybił do brzegu naszej wyspy. Prosił, by was szukać. Mówił, że jesteście niebezpieczni...

Czarownik zamilkł i zaczął mi się przyglądać podejrzliwie. Uspokoilem jego obawy, poczem dodałem:

— Szukaliście? Odnalazł się kto?

Izolk kręcił się niespokojnie, spuszczał i podnosił oczy, mruzczał coś pod nosem, wreszcie uczynił ręką gest rezygnacji.

— Powiem ci — rzekł — choć nie wiem czy dobrze robię.

— Co? Mów! Na Boga, znalazłeś kogo i złożyłeś na ofiarę?

— Czy ja Kajn? — obruszył się. — Chodźcie ze mną, zobaczycie sami.

## Rozdział IX

### NA MORZU I W BŁOCIE

Ruszyliśmy w las wąską ścieżką. Zaprowadziła nas do głębokiego jaru. W pół godziny później otwarła się przed nami kotlina obramowana stromymi ścianami skał.

— Mamy tu kryjówkę — objaśnił Izolk — w której trzymamy żony i dzieci naczelnika oraz znaczniejszych wojowników.

Na nasze spotkanie wyłonił się z grot orszak lokalnych piękności. Pośród nich dojrzałem dobrze mi znaną postać.

— Barbara! — wykrzyknąłem.

Przypadła do mnie radośnie. Przybrana była w spódniczkę z barwnych piór, a na piersiach jej błyszcząca i brzęcząca przy każdym ruchu masa złotych łańcuchów, ogromnych medalionów i kosztownych kamieni.

Uściskałem ją serdecznie, ale pierwsze moje słowa były słowami ostrzeżenia:

— Po coś się obwiesiła tym żelastwem? Zaraz nam Marsjan sprowadzisz na głowę ...

— Wiem, wiem, ale ... ja tu specjalnie nie dbałam o swój wygląd zewnętrzny ... a wtem wpada chłopak z wieścią od Izolka, że wielki Andra nadchodzi ... to ja łap za wszystko, co znalazłam pod ręką.

— Tak się już przyzwyczailem do dzikusów, że może na twój widok nie zemdlałbym — odparłem z uśmiechem — W każdym razie zdejmuj czym prędzej tę niebezpieczną biżuterię ... w jej miejsce powieś sobie lepiej więcej piórek!

Po przywitaniu się z innymi pięknosciami udaliśmy się w głąb pieczar o ścianach (przetkanych żyłami świecącego kruszcu. W jakiś czas później zasiadłem z Barbarą na płaskim gładzie, wyłożonym skórami. U stóp naszych pluskało ciepłe źródło.

— Przebudziłam się w dżungli — opowiadała — wokół było przepięknie, ale się bardzo bałam, szczególnie węży . . Najgorsza jednak była samotność ... w dzień czułam się jeszcze jako tako, ale te długie, upiorne noce ... — wzdrygnęła się.

— Chyba nie bałaś się duchów, jesteś specjalistką od nich?

— Nie żartuj! Bałam się wszystkiego ... zwariowałabym na pewno, gdyby mnie nie odnalazł Izolk. Odtąd żyję z Mzaurimi jak dzikus. Czy to nie fantazja? Tu tak ślicznie, wieczne lato, ci dzicy tacy dobrzy dla mnie ... Zawsze marzyłam o ucieczce od cywilizacji na łono natury i ... sprawdziło się!

— Nie pojedziesz więc ze mną?

Barbara zarumieniła się.

— Nie mogę ... to mój mąż — wskazała na Izolka, rozmawiającego w pobliżu z Tetit.

Zatkało mnie.

— Był dla mnie taki dobry i delikatny . .. Mnie interesuje świat duchów, on jest czarownikiem... mamy tyle wspólnego.

— Tak szybko dogadaliście się? W jakim języku?

— Tutejszym ... poematów nie mogłabym jeszcze tworzyć. ale już wiele rozumiem i coś niecoś potrafię wypowiedzieć.

Zamilkła na chwilę, po czym podniosła na mnie zażawione oczy.



— Barbara! — wykrzyknąłem

— Co zresztą miałam robić? Myślałam, że już nigdy nie wyjdę z tej dżungli ...

Ująłem ją za rękę.

— Barbaro kochana, — powiedziałem poważnym głosem — nie masz się co usprawiedliwiać, ani czego żałować. Izolk to dobry człowiek, dżungla wenuzjańska to prawdziwy raj, a jak kiedy zechcecie, to się przeniesiecie w strony bardziej cywilizowane ... Niech się tylko ta wojna szczęśliwie skończy.

— Nie tęsknię do cywilizacji, — odpowiedziała rozpromieniając się — będzie mi tylko brakować naszych przyjaciół, ale może się odnajdą, a ty mnie chyba czasem odwiedzisz?

Obiecałem.

Izolk wkrótce wrócił do osady. Pragnął dopilnować uwięzionych Kajnow i wyjaśnić co zaszło wodzowi plemienia, gdy przyjmie do przytomności.

— Na życzliwość Ngauba możesz liczyć — zapewnił mnie przed odejściem. — Panowanie Kajnow to dla niego utrata władzy.

— A jak się układają wasze wzajemne stosunki? — spytałem, pamiętając jak szef Mzaurich w mniemaniu, że ma przed sobą Izolka, popychał mnie bezceremonialnie na stopnie piramidy.

— Dobrze ... choć mógłby mi okazywać więcej szacunku.

— A nie zazdrości ci Barbary?

— Ma na nią oko, lecz żona Bulbit trzyma go żelazną ręką.

Gdy naczelnik Ngauba się ocknął, był zachwycony zmianą sytuacji. Gościł nas po królewsku i nie chciał puścić. Mnie



się jednak śpieszyło w dalszą drogę. Izolk co prawda zapewniał, że Kini obiecał znowu przyjechać, ale wypadki wojenne mogły mu przeszkodzić w tym zamiarze.

Przed odjazdem odwiedziłem uwięzionego Senfira. Księżę spokojnie i z niepokojem wypytywał się o swoje dalsze losy. Powiedziałem mu, że pozostanie tutaj jako zakładnik przeciw imperialistycznym zakusom Kajnow. Gdy się dowiedział, że odjeżdżamy, błagał, by go zabrać ze sobą.

— Nie mogę żyć bez Tetit! — oświadczył tragicznie i dodał, że woli raczej wyrzec się władzy i swych rodaków niż jej.

Przedstawiłem Tetit lojalnie jego prośbę. Poszła do niego i powiedziała mu, że owszem lubi go i kocha jak brata, ale nigdy nie będzie jego żoną. Przyjął tę odpowiedź z kamienną twarzą i już nie nalegał.

Żegnani łzami Barbary i okrzykami Mzaurich, ruszyliśmy rzeką Danga ku morzu. Dostaliśmy długą łódź i sześciu silnych wioślarzy. Padał gorący deszcz. Było jak w tureckiej łaźni, ale nikt nie narzekał, bo chmury i opary nad rzeką chroniły nas w dużym stopniu przed Marsjanami.

— Jeszcze cię nie przeprosiłem — powiedziałem do Tetit — za mój wybuch po tym wypadku z dyskiem ...

— Już dawno zapomniałam. Wszyscy byliśmy podnieceni — dodała pojednawczo — szkoda tylko, że mi nie wierzysz: myśl nasza naprawdę przyciąga wydarzenia.

— Trochę w to wierzę i dla pewności staram się już nie myśleć o ataku dysków i innych możliwych katastrofach, natomiast wyobrażam sobie, jak szczęśliwie dopływamy do wyspy czarowników.

— To lepiej ... a modlisz się o to?

— Często się modłę ... o to i o inne rzeczy.

— Patrz na nie, jako na już obecne, zrealizowane.

To otwiera Bogu drogę do działania.

— A bez tego nie może?

— On zawsze zatrzymuje się z szacunkiem przed naszą wolą. Jeśli prosisz o coś jedną połową duszy, a w drugiej hodujesz wątpliwości, niepewne myśli, ponure obrazy ... wiążesz Mu ręce.

Poganka uczy chrześcijanina — pomyślałem. Objąłem złotą postać Tetit serdecznym spojrzeniem. Zżyłem się z nią bardzo przez tę wspólną podróż. Było mi z nią dobrze i spokojnie. Pokochałem ją, ale to nie było owo zakochanie się, które przeżywałem tyle razy, z jego napięciem, niepokojem i wzruszeniami. To było coś nowego i innego, czego na razie nie byłem w stanie określić.

Nazajutrz niebo się przetarło. Koło południa wielki, transportowy dysk pojawił się tuż nad nami, mknąc z ogromną szybkością. W jednej sekundzie daliśmy nurka do rzeki, szukając w jej nurtach ratunku przed spodziewanym atakiem. Nie zauważono nas jednak lub nie miano chęci zajmować się nami. Dysk przemknął i nie pokazał się więcej. Łódź nam uciekła, lecz odzyskaliśmy ją później. Ja, niestety, zgubiłem w wodzie dezyntegrator.

\* \* \*

Morze! Błyszczało przed nami niby płynne srebro, oddychało nieogarnioną przestrzenią. Zoli i Paumi widzieli je po raz

pierwszy w życiu. Stali bez słowa, zachwyceni i trochę przerażeni jego ogromem.

Mzauri pożegnali się i zawrócili w górę rzeki. Nie mieli odwagi zapuszczać się na pełne morze. Miałem nadzieję, że u ujścia Danga zastaniemy plemię Spax ów, doskonałych żeglarzy, którzy nam pomogą w dostaniu się na wyspę Amgów. Wioskę ich jednak strawiły marsyjskie dezynintegratory. a po nich samych ani śladu. Zginęli lub przenieśli się w bezpieczniejsze strony.

Zabraliśmy się już do budowy łodzi, gdy Paumi odkryła w nadbrzeżach zaroślach „katamaran” w dobrym stanie. Brakowało mu tylko żagla, ale sporządziliśmy go bez trudności.

Wszystko było gotowe do drogi, a tu, jak na złość, zrobiła się śliczna pogoda, bez chmurki. Baliśmy się wypływać w tych warunkach, tym bardziej, że dyski patrolowały znowu okolicę. Ukryłem więc katamaran w wąskiej zatoce, wciśniętej mocno w ląd i ocienionej gałęziami rozłożystych drzew. Sami wylegiwaliśmy się całymi godzinami na piasku lub kąpali. Zoli i Paumi początkowo obawiali się morza, obecnie rozkochali się w nim na dobre. Wychowani nad jeziorem pływali świetnie.

Wreszcie siódmego dnia pogoda się zmieniła. Siąpił deszczyk, chmury szły nisko, wiatr dął w idealnym kierunku. Zabraliśmy się właśnie do ładowania zapasów żywności na katamaran, gdy z morza wynurzyły się dwa gigantyczne żółwie. Ich tarcze nie były, jak zazwyczaj płaskie, ale wysokie, w kształcie wanny odwróconej dnem do góry. Sunęły prosto na naszą łódź.

— Zniszczą ją! — krzyknęła ostrzegawczo Paumi.

Rzuciłem się z Zolim ku tym żywym czołgom, by je zawrócić z trasy marszu. Pochowały tylko łby do wnętrza skorupy i szły dalej nieubłaganie. Wsadziłem zatrute strzałki w jamę, gdzie pochowały głowę, lecz ostrza nie mogły przebić twardej skóry.

Widząc, że nie dajemy rady, Tetit i Paumi skoczyły do łodzi, usiłując ją ściągnąć na wodę. Dopadliśmy i my. W ostatniej chwili udało się usunąć katamaran z drogi żółwi. Nie zboczyły ani na krok, przesunęły się koło nas obojętnie, nie zareagowały też, gdy Paumi i Zoli wdrapali się na ich grzbiety, by zażyć przyjemności jazdy.

Krzyknąłem, żeby zsiadali co prędzej i biegli po owoce. W pół godziny później byliśmy już na pełnym morzu.

Wyspa czarowników, zwanych po kuwilińsku „amgami”, leżała koło 30 kilometrów od naszej wyspy. Pamiętałem dobrze jej położenie. Nie mieliśmy kompasu i innych przyrządów żeglarskich, ale za drogowskaz służyły wysepki, porzucane po horyzoncie. Przez ostatnie słoneczne dni dobrze je przestudiowaliśmy z wysokości wielkiego drzewa. Tymczasem deszczyk zmienił się w gorącą ulewę, podniosły się nad wodą opary, brzeg zniknął, a położenia słońca na niebie nie można było odgadnąć. Ogarnął mnie niepokój.

Co więcej, im dalej w morze, tym fale potężniały, a wiatr stawał się gwałtowniejszy. Paumi i Zoli rozchorowali się. Tetit za to czuła się w swoim żywiole. Twierdziła, że kocha fale i wicher, a gdy jej oświadczyłem, że straciłem zupełnie orientację, odpowiedziała pogodnie:

— A, zawsze gdzieś dojedziemy.

Dopiero po kilkunastu godzinach wiatr przycichł, chmury się rozeszły, z oparów wyłoniły się jakieś wyspy, ale żadna z nich nie była na pewno „Ava-Amgai”. Skierowałem łódź ku najbliższej.

Słońce dotykało już prawie widnokręgu i brzegi wyspy były tuż, gdy na niebie pokazał się dysk zwiadowczy, marsyj-ski. Zanim mogliśmy pomyśleć o skoku w wodę, dysk spadł na nas jak jastrząb. Z jego boku wysunęła się lufa wielkiego dezintegrator. Jeszcze sekunda i zginiemy w płomieniach. Dysk zatrzymał się koło nas, ze trzy metry ponad powierzchnią morza. Przezroczysta kopuła podniosła się. Wyjrzał spod niej tylko jeden pilot ... Broxan.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa, póki nie przemówił:

— Dokąd to?

— Na wyspę czarowników, ale zagubiliśmy się we mgle i deszczu ...

— Leżała tam — wskazał w prawo — lecz na próżno byście jej szukali, znikła. Sami od dawna chcieliśmy się dostać do amgów ... wyspy nie ma ... lub ją zaczarowali.

— Skąd masz ten dysk?

— Któregoś dnia spadł mi z nieba niemal pod moje stopy. Wewnątrz leżały dwa trupy bez głów. Wasza to sprawka?

— Tak.

— Dziękuję.

Osobliwa wdzięczność ... czy ujawni się też w czynie? Czy ten Marsjanin, który dziękuje za zabicie swoich współrodaków, bo w ten sposób zyskał dysk, zdolny będzie do szlachetnego gestu wobec swych wrogów?

— Miałeś przy sobie dezintegrator — zauważył — gdzie on jest?

— Zgubiłem w wodzie.

— Masz tu drugi.

Wyjął z wnętrza dysku ręczny dezintegrator i rzucił mi go.

— Jeśli wpadniecie kiedy w ręce Marsjan — powiedział — nie zdradźcie, że was puściłem cało. Do widzenia!

Zatrzasnął kopulę nad głową i w sekundzie zniknął w przestworzach.

— To jednak i on ma serce — stwierdziłem.

— Obudziłeś je — dodała poważnie Tetit — świadcząc mu dobro. Widzę teraz, że miałeś rację tam w dżungli.

Przez wąską, skalistą po obu stronach cieśninę, wpłynęliśmy do podłużnej zatoki. Jej środkiem płynęła struga czystej wody, resztę powierzchni pokrywały wielkie jak balia nenufary, z których wystrzelały w górę gigantyczne kwiaty, koloru różowego, a kształtu lilii. Chcieliśmy dobić do brzegu, choć jego niemal pionowe ściany nie wyglądały gościnnie. Po kilku daremnych usiłowaniach utkwiliśmy w labiryncie roślinności. Można by się dalej przebijać przy użyciu dezintegrator, ale pod cieniutką warstwą wody leżało bagno, w które nasz katamaran zarył się „na amen”... ani w przód, ani w tył.

Zapadła ciemna noc, bez zorzy. Z bagnistej topieli powyłaziły węże. Nie czyniły nam bezpośrednio żadnej krzywdy, ale pożarły nasze zapasy żywności, zabierały się do naszych przepasek z grzybowej skóry, okręcały się wokół nóg i rąk. Całą noc spędziliśmy na walce z nimi. Dopiero wschodzące słońce przepędziło je skutecznie.

Światło dnia, choć uwolniło nas od nieproszonych gości, ukazało nam jednocześnie całą dramatyczność naszej sytuacji. O ruszeniu łodzi z miejsca nie było co marzyć. Trzeba więc jakoś inaczej dotrzeć do brzegu, ale jak? Liście nenufarowe zapadały się pod naszym ciężarem, czarna maź pod nami nie miała dna.

Niedaleko kilka wielkich głazów wychylało się na powierzchnię. Leżały na drodze do brzegu — dotrzeć do nich, a będzie bliżej. Dalej wystawał też z bagna pień wielkiego drzewa. Zdjęliśmy maszt. Uczynił on most do najbliższego głazu. Zostawiliśmy bezużyteczny katamaran i przy pomocy masztu dostaliśmy się na pierwszy głaz. Nie bez przygód: cała nasza czwórka wymazana już była lepkiem błotem po szyje.

Maszt przydawał się dalej, ostatni głaz. Dzieli nas od twardego brzegu już tylko ze dwadzieścia kroków. Do pnia, na którym ostały się jeszcze większe konary, można się dostać posługując znowu masztem, ale czy nas utrzyma? Dotarłem doń pierwszy — ani drgnął... dobrze, ale co dalej? Tam znowu coś wystaje, a potem bliżej brzegu może już być twarde dno. Skinąłem na resztę, żeby się przesunęli na drzewo.

Siedliśmy już na nim wszyscy okrakiem, jakby bawiąc się w konną jazdę, gdy Paumi wrzasnęła:

— Dysk marsyjski!

Nadchodził wolno od cieśniny. Zauważyłem drugi i trzeci, wysoko ponad naszymi głowami ... obniżały się. W oka mgnieniu byliśmy w błocie, zanurzeni po szyje. Nakryliśmy się od góry nenufarowymi liśćmi. Zrobiłem kilka dziurek, żeby widzieć, co czynią nasi wrogowie. Wszystkie trzy statki były te-

raz niziutko. Jeden z nich przeszedł tuż nad nami. Poczuliśmy na parę sekund odrętwienie w całym ciele, omal nie puściliśmy z rąk zbawczych konarów i sęków i nie pograżyliśmy się w topieli. Dysk zatrzymał się przy katamaranie.

Piloci marsyjscy otworzyli przezroczystą kopułę, coś mówili między sobą. Mnie zaś przyszła myśl, że jeśli zaczną się zastanawiać, jak załoga łodzi wydostała się z pułapki i zobaczą maszt, dojdą „po nitce do kłębka”, czyli do nas. Wychyliłem się ostrożnie i zepchnąłem koniec masztu w błoto. Za chwilę zniknął cały w czarnej mazi. Ale Marsjan nie interesowały losy załogi. Dysk osiadł na głazach, które niedawno opuściliśmy. Jeden z pilotów wyszedł i w jakieś naczynie pobrał próbkę błota.

Właśnie podawał ją towarzyszowi, gdy Tetit obok mnie poruszyła się gwałtownie i krzyknęła.

— Cicho! — syknąłem — Co tobie?

— Węże — odszepnęła ; ale i ja już wiedziałem, co było powodem jej okrzyku. Czułem obślizgłe sploty i na moim ciele, gady nie podarowały grzybowej skóry...

Marsjanie usłyszeli okrzyk. Stojący na zewnątrz pilot wskoczył do środka dysku. Jednocześnie ten sam krzyk usłyszały widać wielkie ptaki na długich nogach, które chodziły przy brzegu, podniosły bowiem w niebo straszne larum.

Marsjanin, uspokojony widocznie, że i pierwszy okrzyk wydał ptak, wyszedł znowu z dysku, podniósł z głazu naczynie, które upuścił w popłochu, i pobrał nową próbkę błota.

— Ależ oni się boją — szepnęła mi w ucho Tetit.



— To znaczy, że walka trwa jeszcze i muszą ich nieźle prać — odparłem — Ach, te węże . . . już po mojej przepasce...

— To najmniejsze zmartwienie ... boję się, czy wyjdziemy żywi z tego bagna ... to byłoby straszne ginać w tej topieli lub z głodu ... parę kroków od brzegu ...

— Co tobie, Tetit? Skąd te ponure obrazy, gdzież twoje teorie? Wstydz się! Ja już widzę nas na brzegu, zadowolonych i bezpiecznych ...

— Przepraszam, Andra ... to chwila słabości . . . dziękuję za przypomnienie ...

Marsjanin wsiadł z powrotem do dysku. Odlecieli. Dwa pozostałe statki kręciły się nadal w pobliżu. W tych warunkach nie można było nic przedsięwziąć, ale nawet gdyby nieprzyjaciel przestał nas niepokoić swą obecnością, co mogliśmy zrobić? Brzeg taki bliski, a taki nieosiągalny.

Koło południa nadciągnęły chmury, padał ciepły „kapuśniaczek”. Dyski wylądowały na przeciwległym brzegu i stały nieruchomo. Może piloci urządzali sobie drzemkę? Wysunąłem się do pół ciała z błota, by lepiej rozejrzeć się w sytuacji. Beznadziejna ... Lecz go to? Niedaleko od nas nenufary i kwiaty poczynają drgać. Do uszu dochodzą dziwne kwiki i pluski. Nagle widzę — bagno roi się od stworzeń podobnych do ziemskich krokodyli i wenuzjańskich „zurari”, z tą różnicą, że mają po bokach szeroką błonę, łączącą przednie kończyny z tylnymi, a łeb wydłużony w rodzaju dzioba rozszerzonego na końcu jak łyżka.

— Luabi! — wykrzyknęli niemal jednocześnie Zoli i Paumi.

Zoli dodał:

— One żywią się węzami i rybami ... można na nich jeździć jak na „zurari”; nie boją się i lubią ludzi.

— To łapmy się za nie, gdy podpłyną! — zawołałem.

— Cicho! — szepnęła Tetit — bo się spłoszą i nie podpłyną.

Gdy niebo pokryły chmury, węże zaczęły śmieiej pokazywać się na powierzchni i pewnie dlatego „laubi” ruszyły na łowy. Wokół nas zebrało się szczególnie dużo gadów, zwabionych grzybowym zapachem naszych przepasek. Obrwały nas z nich zupełnie, niemniej nadal roiło się ich wokół mnóstwo. Nie potrzebowaliśmy więc długo czekać na „laubi”. Każdemu z nas udało się wsunąć na grzbiet przepływającego „krokodyla”. Ruchami rąk i nóg skierowaliśmy je ku brzegowi.

Baliśmy się jednak wychodzić nań na widoku Marsjan. Na szczęście w jednym miejscu otworzyła się w skałach niska i ciemna rozpadlina, tworząc rodzaj naturalnego tunelu. Padliśmy w nim na mokry żwir. Wyczerpani fizycznie i nerwowo, momentalnie popadliśmy w ciężki sen, graniczący z omdleniem.

## Rozdział X

### CZEKA NA NAS TAKILA

Dopiero późno w nocy doszliśmy do siebie. Głód nam dokuczał, ciała swędziały pod grubą pokrywą błota, które zaschnąwszy stało się podobne do gumy i nie chciało schodzić. Zoli wyjrzał na zewnątrz i przyniósł wiadomość, że zatoka jasno oświetlona zorzą, a nad jedną ze skał unosi się dysk, świecąc jak gwiazda. Baliśmy się wychodzić.

Ponieważ z wnętrza tunelu szedł prąd powietrza, Tetit stwierdziła, że musi mieć wyjście z drugiej strony.

— Nad zatoką same skały, — powiedziała — może tuneli zaprowadzi nas w dżunglę, a tam znajdziemy pożywienie.

Poszliśmy. Tu i tam żyłka świecącego kruszcu dawała trochę jasności. Tunel nieco się podnosił, stawał się coraz, suchszy, lecz po piętnastu minutach znowu się opuścił. Dnem jego płynął strumyk zimnej, jak lód, wody, która ugasiła nasze pragnienie. Dalsze dwadzieścia minut i wyszliśmy na nową, niewielką zatokę, otoczoną skałami, z której wyjścia nie mogłem dostrzec. Ale nie o wyjściu myślałem teraz. Tuż koło brzegu, kilkanaście metrów od nas, dobrze widoczny w blaskach zorzy stoi — chyba mnie oczy nie mylą — mój kochany jacht „Taki-la”. A na pokładzie ktoś się niecierpliwie przechadza ... serce mi bije mocno ... to Kini ...

— Kini! — zawołałem niepewnie.

— Andra! — odpowiedział radosny okrzyk i za chwilę znalazłem się w objęciach mego druha.

— Chodźcie szybko do środka! — wezwał nas — zaraz się zanurzymy pod wodę. żeby nas jaki dysk nie zaatakował ...

Marsjanie opanowali powietrze i ląd, natomiast głębiny morskie należą niepodzielnie do nas.

Wewnątrz statku spotkałem przede wszystkim Zulę, narzeczoną Kiniego. a zaraz po niej wyszedł ku nam młodszy brat Kiniego, Aba. Chłopak wyrósł i zmężniał. Nie poznałbym go, gdyby nie to, że pozostała mu ta sama poczciwa i uśmiechnięta gęba. Zula niewiele się zmieniła: ten sam warkocz, te same dobre oczy, w których malowała się życzliwość dla całego świata.

Zanurzyliśmy się natychmiast. Statek wypłynął z zatoki i dalszą jazdę Kini przekazał automatycznemu pilotowi.

— Jak to się stało, — spytałem przyjaciela — żeś się tu znalazł z „Takilą”? ... wyglądało, jakbyś czekał na nas.

— Czekałem ... Amga-Amga Xudri powiedział mi, że tu was znajdzie.

— Xudri? Słyszałem, że wyspa amgów znikła.

— Bo ją otoczyli „polem złudzenia”.

Zula czy Zeila, jak ją nazywał Kini, przygotowała nam posiłek. Jedliśmy łąpczywie, a potem zabraliśmy się do zciągania błota, które jednak okazało się jakimś przedziwnym błotem. Utworzyło bowiem prawdziwe kostiumy gumowe, grube na 2 cm przynajmniej, ściśle przylegające do ciała — nic dziwnego, że Marsjanie się nim zainteresowali. Z niemałym trudem pozbyliśmy się tych nieprzyjemnych strojów, wykąpali i włożyli na siebie lekkie i wygodne „zany”, barwne i wzorzyste.

Zebraliśmy się potem wszyscy w saloniku i Kini rozpoczął opowiadanie.

Zjawił się on w stolicy Wenus. Kamiru, tuż po wydaniu części urządzeń ochronnych, gdy cała nasza grupa siedziała

już pod kluczem. Wenuzianie przypuszczali, że nie działaliśmy własnowolnie. Podejrzewali niezwykle silną sugestię hipnotyczną lub tzw „brain washing”. Mieli nas poddać odpowiednim zabiegom, ale stanęła na przeszkodzie inwazja z Marsa. Kto mógł, opuszczał w popłochu stolicę. Wtedy Nara, gubernator Wenus, powierzył Kiniemu nasze ciała z marsyjskimi duszami, radząc, by je zawiózł do starego czarownika Xudri.

— On na pewno coś pomoże — powiedział.

— Gdy więc wokoło szalała inwazja, — mówił Kini — wiozłem was pod wodą na wyspę Amgów. Może i dowiozłbym szczęśliwie, gdyby nie to, że w pobliżu Ava-Nari, na której leży Góra Strachów, zdarzył się wypadek. Takila wpadła w zasięg wybuchu podwodnego wulkanu i muł zalepił urządzenia do pobierania tlenu z wody morskiej. Popsuły się też aparaty filtrujące wodę do picia. Musieliśmy się wynurzyć.

— To był ktoś jeszcze z tobą?

— O tak, nie mówiłem? Paciorek. Imla, Zeila i Aba. Przeprowadzaliśmy naprawę u ujścia rzeczki w dobrze zamaskowanym miejscu. Praca w pocie czoła trwała parę godzin, upał panował nieznośny, toteż nie oparliśmy się pokusie kąpieli w rzece. Potem litościwa Zeila poprosiła, żebyśmy pozwolili wykąpać się i więźniom. Rzeczywiście wyglądali bardzo biednie, dusząc się i rozpływając w potach, gdyż klimatyzacja przestała funkcjonować w kabinach. Kąpiących się mężczyzn pilnowałem z jednej strony Takili, nad kobietami trzymała straż z drugiej strony Zeila. Paciorek naprawiał jeszcze coś wewnątrz statku, a mojej kochanej siostrzyczce Imli zachciało się świeżych owoców i zagłębiła się w las z Abą.

— Teraz zacznym rozumieć — wykrzyknąłem.

— To dość późno — burknęła pod nosem Tetit.

— My natomiast nie mogliśmy wtedy zrozumieć, dlaczego na widok wody nasi więźniowie okazali strach i wzdrygli się przed wejściem do rzeki. Przymusiliśmy ich i po chwali zasmakowali w kąpielu. Płukali się już parę minut, gdy zauważyłem dysk marsyjski, patrolujący wybrzeże. Poleciałem Zeili, by uważała na obie grupy, a sam pobiegłem do wieżyczki Takili. Zdążyłem wycelować z działka i zniszczyć dysk, zanim nas zaatakował . . . Marsjanie w waszych ciałach wykorzystali zamieszanie. Któryś z nich schwycił Zeilę za nogę i ściągnął do wody. Zanim się podniosła i odnalazła utracony w ręce pistolet, więźniowie znikli w dżungli. Pogoń nie dała wyników. Tylko Imla i Aba wracając z owocami natknęli się na Lenę i Joe'go i zdołali ich ująć.

— Wobec tego nie wiemy nic, co się dzieje z Nancy ... no i Nemo nam znowu zniknął, — wtrąciłem uwagę — a gdzie są Lena i Joe?

— Pojechaliśmy naprzód w górę rzeki Danga do Mzaurich, prosząc, by was szukali, a stamtąd na wyspę amgów. Tam Lena i Joe doszli do siebie bez pomocy czarów Xudriego i opowiedzieli nam waszą historię. Od czarowników udaliśmy się do podwodnego miasta Wenuzjan, skąd prowadzą oni walkę z Marsjanami.

— A jak wygląda sytuacja wojenna?

— Po zniszczeniu przez was części urządzeń ochronnych, Wenuzjanie zorientowali się, że czeka ich inwazja. Za późno jednak było na przygotowanie skutecznej obrony. Gdy atak nastąpił, opór ich załamał się w kilka minut. Przeciw tysiącom marsyjskich dysków mogli wystawić zaledwie setkę

własnych. Większa ich część uległa natychmiastowej zagładzie. Tylko nie wielka garstka schroniła się na księżycu i w głębinach morskich. Z tych podwodnych baz nękają najeżdżęc, jak tylko mogą. Naszej grupie udało się niedawno zniszczyć niewielkie zgrupowanie dysków nieprzyjaciela na znanej ci Górze Strachów.

— Zniszczyliście dyski nie nadające się już do niczego, a o mało i nas nie zabiliście ...

— To ty tam byłeś?

— Tak, ale o tym potem. Mów dalej o wojnie!

— Niewiele pozostało do powiedzenia. Marsjanie przetransportowali już setki tysięcy swoich osadników i pchają ich do wielkich miast. Dotychczasowi mieszkańcy zostali wybici lub uciekli w dżungłę i czynią stamtąd wypadki. Marsjanie odwzajemniają się im ze strasznym okrucieństwem.

— Czy nie przyjdzie jaka odsiecz z kolonii wenuzjańskich spoza systemu słonecznego?

— Na to tylko liczymy ... ale i tam nie byli nastawieni na wojnę. Sporo czasu upłynie, zanim wyprodukują dość bojowych dysków do skutecznej kontrakcji.

— To ich Marsjanie mogą ubiec i pierwsi zaatakować.

— Nie, bo nie znają drogi i sposobu pokrycia w tak krótkim czasie niezmiernych odległości międzygwiazdnych. To sekret Wenuzjan.

— Czyli czekajmy na odsiecz ... A gdzie nas teraz wiesz, na wyspę amgów?

— Nie, do podwodnej bazy. Szykuje się nowa wyprawa i „Takila” potrzebna.

Rozmowa się przerwała. Aba zabrał Tetit, Paumi i Zoli i oprowadzał ich po statku, po czym mieli iść spać, Kini poszedł do wieżyczki, ja zostałem z Zulą. Wypytywałem się, jak się czuje Lena i Joe, co robią... Zula rzuciła kilka odpowiedzi, nagle zapytała prosto z mostu:

— Czy ty ją jeszcze kochasz?

— Dlaczego się pytasz?

— A, bo lepiej, żebyś wiedział ... oni pobrali się w czasie pobytu na wyspie amgów. Wiem, że miała pewne wątpliwości ze względu na ciebie, ale rozwieli je Xudri i ksiądz Piotr, który się tam znalazł w czasie inwazji.

Wiadomość zamroczyła mnie na chwilę, po czym wydusiłem z siebie:

— Co za wyspa! Straciłem na niej Dorotę, a teraz Lenę ... wszystko za sprawą tego starego amgi ...

— Rozmawiałam z Xudri — rzekła poważnie — „Lena kocha tego wysokiego chłopca” powiedział do mnie „są sobie potrzebni... Andra to przeboleje... nie martw się!

— Pewnie, że przeboleję ... nabieram w tym coraz większej wprawy — odpowiedziałem cierpko.

— Tym bardziej przebolejesz — uśmiechnęła się — mając ze sobą takie urocze stworzenie jak ta Tetit ...

Właśnie Aba prowadził zwiedzających przez salonik w drodze do wieżyczki.

— Co tu mowa o mnie? — spytała Tetit przechodząc.

— Zula namawia mnie do małżeństwa z tobą ... co ty na to?

— O nie! Czy po to skoczyłam przez tysiące lat, żeby ugrząźć w małżeństwie? Muszę przedtem poznać ten no-



wy świat, taki ciekawy! A poza tym, skąd wiesz, że pasujemy do siebie?

— Chyba nam było dobrze razem?

— To niczego nie dowodzi. Trzeba zbadać, czy nasze radiacje psychofizyczne harmonizują się ze sobą. Chyba przez ostatnie tysiąclecia udoskonalono odpowiednie aparaty?

— Nie słyszałem ... ale to nie są sprawy, o których może decydować maszyna ...

— Już mi mówiłeś, że u was to wszystko polega na „zakochaniu się”; ale na uczuciach nie można budować szczęścia. W moich czasach, gdy na kogo przyszło miłosne oszołomienie, zaraz pędził do lekarza ...

— I?

— Prosty zabieg: przestawienie kierunków prądu w części mózgu i zaraz wszystko przechodziło.

— Okropne ... jesteś robot nie dziewczyna!

\* \* \*

Zielone odmęty. Miliony barwnych ryb, dużych i małych i jeszcze mniejszych, firanki meduz. Tu i ówdzie jakiś olbrzym morski przyglądający się ciekawie sunącej cicho „Taki-li”. Wreszcie podwodne miasto. Dziesiątki przezroczystych kopuł, dwie ostre wieżyce. Pod kopułami budynki i ogrody. Podobne wszystko do bazy księżycowej, lecz spowite seledynowym welonem morza.

Statek osiadł w specjalnym doku. Natychmiast wykwitła nad nami próżniowa kopułka. Pompy wypchnęły wodę. Mogliśmy wysiadać.

Czekali na nas moi przyjaciele dawni i nowi: ksiądz Piotr, zwany przez Kuwilińczyków Nada Piri, Paciorek z Imlą, Zbyszek z Magdą, Joe z Leną. Powitanie było radosne i serdeczne, pełne pytań rzucanych chaotycznie i krótkich odpowiedzi. W oczach Leny wyczytałem przez chwilę niepokój, który zniknął, gdy przywitałem się swobodnie, życzyłem szczęścia ... życzyłem naprawdę szczerze — co było, to było. ale oboje byli mi tak bardzo drodzy i bliscy, że chciałem ich widzieć opływających w radość i wszelką pomyślność.

Wyszedł nam też na spotkanie młody Wenuzjan Akra, komendant bazy, energiczny, inteligentny i niezwykle urodziwy, aż za piękny na mężczyznę. Zajął się przede wszystkim Tetit i widać było, że mu się niesłychanie podoba. Rozprowadził nas zaraz po kwaterach. Znaleźliśmy się z Tetit bardzo daleko od siebie. Byłem zły.

Spotykaliśmy się jednak dość często, bo każdy mieszkaniec bazy bez względu na wiek i płeć musiał przejść przeszkolenie bojowe. Polegało ono przede wszystkim na zapoznaniu się ze specjalnym aparatem do fruwania, zwanym po wenuzjańsku „gaurą”, którą opisuję gdzie indziej. Taktyka Wenuzjan polegała na podjeżdżaniu łodziami podwodnymi jak najbliżej baz marsyjskich i atakowaniu ich małym oddziałem fruwających „komandosów”. Byli oni trudniejsi do wykrycia i zniszczenia niż dyski, mogli bowiem przemykać się między drzewami lub też nad ich czubkami i spadać niespodzianie na nieprzyjaciela.

Przeszkolenie zajmowało sporo czasu, ale mieliśmy każdego dnia także kilka godzin wolnych. Czułem się w nich osamotniony, bo Tetit przebywała wtedy najczęściej w towarzy-

stwie Akry lub księdza Piotra. Paciorek i Zbyszek trzymali się swoich żon i dzieci. Kini z Zulą i Abą pojechali gdzieś „Takilą”. Joe i Lena zapraszali mnie do swego towarzystwa ale mi się wydawało, że psuję im trochę nastrój swoją obecnością, nie mogłem jeszcze czuć się z nimi zupełnie swobodnie.

Z księdzem Piotrem na sercowe tematy nie rozmawiałem, a i on ich delikatnie nie dotykał. Dawniej jakoś łatwo było mi się przed nim wywnętrzać, pytać o radę, teraz poruszałem wszystkie tematy z wyjątkiem własnej osoby.

— Co ksiądz myśli — zagadnąłem go któregoś dnia — o twierdzeniach naszej starożytnej Wenuzjanki? Ona uważa, że jak kto się koncentruje ustawicznie na jakiejś myśli, to musi się ona urzeczywistnić.

— Myśl ludzka jest potęgą — potwierdził — wiesz przecie, że wystarczy mieć wiarę jak „ziarnko gorczyczne”, by góry przenosić.

— Co ta koncentracja ma wspólnego z wiarą?

— Wiara to właśnie ten obraz, na którym się koncentrujemy, bo go uważamy za prawdziwy ... a ponieważ każdy z nas stale przyjmuje coś jako prawdziwe, stąd zawsze — podkreślił — w coś wierzymy. W tym tylko sęk, że ta wiara jest tak często wiarą „negatywną” ... nie oczekujemy powodzenia, zdrowia, radości, ale spodziewamy się od życia wszystkiego najgorszego ...

— Racja! tyle razy słyszę sam siebie mówiącego: „na pewno mi się to i tamto nie uda”, „ja to zawsze muszę mieć pecha”, „nic łatwo nie przychodzi”, „jestem już do niczego”, „będę miał dziś okropny dzień” ...

— A widzisz... i gdy tak na coś narzekasz, wątpisz, że może się zmienić na lepsze, martwisz się, to tylko utrwalasz w sobie wiarę "negatywną" ... obraz niemocy, beznadziejności, braku... W ten sposób te wspaniałe energie, które Bóg dał nam do dyspozycji, kierujesz ku realizacji tego, czego nie chcesz i czego się obawiasz.

— Ale Bóg wie przecież, czego chcę naprawdę?

— Wie, lecz nie chce za ciebie nic zrobić. To jest ten „siódmy dzień”, w którym „odpoczywa”. Dał ci wolność, dał ci wszystkie potrzebne siły i klucz do nich ...

— ... którym jest wiara ...

— ... i modlitwa. O cokolwiek poprosimy, otrzymamy. Chodzi tylko o to, żeby się zawsze modlić do właściwego Boga.

— Jak to?

— Bóg, do którego ludzie się zwykle modlą, to raczej bożek kapryśny, któremu nie ufamy, którego podejrzewamy, że nie dba o nasze interesy, jest zazdrosny o swoją potęgę i znajduje jakieś sekretne upodobanie w naszych krzyżach. Wobec tego boimy się czerpać od Niego pełnymi rękami te wspaniałe moce, których chce, byśmy używali ... Skutek?... Pozostajemy nędzarzami ... A jak wreszcie coś weźmiemy od Niego, to marnujemy. Wierząc nie w dobrego Boga, który jest samą miłością, ale w tak zwany pech, niesprawiedliwość losu, nieuchronność klęsk życiowych, sami je sobie fabrykujemy w życiu.

Zamilkł, a ja przez chwilę zbierałem oszołomione myśli.

— Wygląda więc — odezwałem się nagle — że za wszystkie swe niepowodzenia życiowe jestem sam odpowiedzialny... A szkoda, to tak przyjemnie zwalać winę na innych ludzi,

na fatum i okoliczności, a trochę też i na samego Pana Boga ... że nie wysłuchał.

— Zjawiają się w naszym życiu okoliczności niezależne od nas, ale zawsze możemy je przewyciężyć czy wznieść się ponad nie.

— Skąd Tetit, nie będąc chrześcijanką, może tyle wiedzieć o sprawach ducha?

— U nich psychologia zaszła dalej niż u nas, a każda prawdziwa wiedza o człowieku musi być identyczna z nauką chrześcijańską. Ponadto i w poganach Duch Boży nie śpi.

Odczułem potrzebę przemyślenia tych spraw i pożegnałem księdza Piotra.

Odeszły ode mnie Dorota i Lena ... co jest we mnie takiego, że je odepchnęło?

## Rozdział XI

### WYZNANIE TETIT

Pierwsze krople deszczu spadły na olbrzymi liść, pod którym stałem w zasadzce. „A więc za chwilę powinno się zacząć” przeszła mi myśl przez głowę, a serce zabiło żywiej.

Na głowie miałem hełm, na jego czubku dezintegrator, przed oczyma kółko celownika, przy ustach mikrofon — wszystko umocowane do hełmu. Zamiast pasa miałem koło metalowe o średnicy nieco większej niż przekrój ciała, połączone z nim sprężynami. Od koła do rodzaju bucików szły taśmy skórzane. Była to „gaura” — fruwający krąg, dysk latający sprowadzony do minimum. Na kole przyrządy sterujące i guziczek do odpalania dezintegrator.

Oddział nasz liczył z czterdziestu wojaków. Podwieziono nas do wyspy pod wodą. Dalej sunęliśmy przez dżunglę, unosząc się niby duchy leśne, na połowie wysokości drzew. Po dwudziestominutowym locie dotarliśmy do osady, przeznaczonej na miejsce zasadzki. Miała kolisty kształt. Po środku zakopano w niej minę dezintegrującą, odpalaną zdalnie.

O osadzie tej, wzniesionej niedawno przez uciekinierów z nadbrzeżnego miasta, dowiedzieli się Marsjanie, mimo że była

doskonale ukryta w lesie i pozbawiona nawet skrawka metalu. Postanowili ją napaść dla zdobycia siły roboczej. O tym zamiarze dowiedzieliśmy się dzięki telepatycznemu „wywiadowi” naszych amgów.

Wiadomo też było, że Marsjanie czekają na deszcz, spodziewając się, że wtedy większość mieszkańców znajdzie się w szalasach i łatwiej ich ujmą. Szykowaliśmy Marsjanom przykrą niespodziankę. Gdy wylądują w pustej osadzie, z której ewakuowaliśmy uciekinierów, Akra zniszczy ich prostym przyciśnięciem guziczka w aparacie, umieszczonym na piersiach. Promień zasięgu miny 200 metrów. Nic nie zostanie po jej wybuchu. Kto z Marsjan znajdzie się poza obrębem jej działania, spotka się z nami.

Płynęły kwadransy denerwującego oczekiwania. W słuchawkach zabrzmiał gardłowy głos Akry:

— Uwaga! lądują!

Mija pięć minut, dziesięć. Akra informuje ponownie:

— Wylądowali wewnątrz kręgu naszej zasadzki, lecz na zewnątrz osady. Tworzą wokół niej pierścień, idą ku środkowi. Kiedy usłyszycie eksplozję miny, atakujcie!

Potem dodatkowo:

— Uważajcie na dyski, które zatrzymały się w powietrzu nad terenem zasadzki!

Przez jakiś czas nic się nie dzieje ... przynajmniej w moim polu widzenia. Wytrzeszczam oczy... deszcz zakrywa nawet znajdujących się po moich obu stronach Kiniego i Joe.

Wtem od strony osady dochodzą głosy, zmieszane z pluskiem spadających kropel. To pewnie nieprzyjaciel wszedł między chaty i dziwi się, że puste.

Wstrząs ziemi, ogłuszający huk. pęd gorącego powietrza. Mina eksplodowała.

Skaczę do góry: dziesięć metrów. Naprzód! Widzę wielki transportowy dysk nieprzyjaciela między drzewami. Pochyliłam ku niemu głowę, przyciskam na kole spust dezintegrator. Z mego hełmu płyną niewidzialne promienie. Błysnęło, huknęło, dysk stał się chmurą pyłu. Gwałtowny uskok w prawo... byłoby już po mnie — w krzakach stał Marsjanin. Nie zauważyłem go, ale on mnie zobaczył. Strzelił ... słup ognia niemal liznął mnie po nogach. Szybki zwrot głowy ku niemu ... trup.

Dalej naprzód! Pode mną pędzą w popłochu Marsjanie. Nie patrzą w górę, nie widzą mnie. Dziesięciu, dwudziestu, wyszli na małą polankę — świetny cel. Strzelam, zabijam, niszczę... Nagle Marsjanie orientują się, skąd idzie ku nim śmierć. Jeden podnosi broń ... nie zdążył... Inni padają na mech, strzelają do góry z pozycji leżącej. Boże! co za ogień!

Uskok w lewo, uskok w prawo, strzelam na oślep. Cofam się. Uderzam tyłem głowy o pień drzewa. Uderzenie jest tak silne, że mimo hełmu — wstrząs, gwiazdy przed oczami ... ręce bezwładne, sparaliżowane ... to koniec ... Zaraz ogarnie mnie żar ognia, potem ciemność ...

Wtem czuję ... e, chyba zdaje mi się, że czuję, bo to niemożliwe ... jak mnie obejmują czyjeś ramiona ... czyjeś ręce przenikają w moje. Nie, to nie złudzenie — jestem znów w akcji. Posuwam się, strzelam, to opadam, to się wznoszę. Znowu dysk — już po nim. Znowu Marsjanie — spadłem na nich jak orzeł.



Płatki przed oczami zniknęły, widzę już dobrze, ale nadal to nie ja poruszam swoimi rękami i głową, ale jakaś obca siła. Mógłbym już chyba sam ... próbuję. Władza wróciła do członków. Działam swobodnie. Ten „ktoś” mnie opuścił.

Z nieba idą teraz w dżunglę potężne słupy ogniste. To dyski marsyjskie, co się unosiły dotąd nieruchomo nad polem bitwy, przeszły do akcji. Widząc pogrom swoich, poświęcają resztę własnych niedobitków i palą wszystko z nadzieją, że nas dosięgną.

Głos Akry w słuchawkach:

— Odwrót!

Wycofuję się przez dżunglę. Spotkałem Kiniego — żyje, dzięki Bogu! W pół godziny później gromadzimy się na wyznaczonym miejscu. Siedmiu brakuje. Marsjanie w szale wściekłości palą dżunglę na chybił trafił, ale tu nam nic nie grozi. Chronią nas skalne ściany olbrzymiej groty podmorskiej.

Jestem na pokładzie „Takili”; jest też Joe, Paciorek i Zbyszek. Popijamy orzeźwiający napój, rozlewany przez Zulę. Przede mną siedzi Tetit. Opowiadam. Słucha uważnie, a w jej błękitnych oczach skacze wesoły chochlik. Czemu?

— To na pewno — mówię — amga-amga Xudri dopomógł mi na odległość w krytycznym momencie ... nie podejrzewałem w staruszkach takiego świetnego wojownika.

Kini nic o sobie nie mówi, lecz od innych wiem, że walczył jak lew. Ocalił życie Zbyszkowi, który, cofając się gwałtownie, uwikłał się w gałęzie. Magda, żona uratowanego, dziękuje Kinemu. Ten się broni.

Nasza baza otrzymała teraz więcej statków podwodnych, które wypływały z niej często, patrolując i atakując nieprzyja-

ciela. Powierzono mi komendę nad moją starą „Takilą”. Akra wyznaczył jako jej załogę: Kiniego i Zulę. Joe’go z Leną, Abę i Paumi\*). Chciał zatrzymać Tetit w bazie, ale oparła się temu i przyłączyła do nas. Ruszyliśmy w kierunku znanych mi dobrze terenów: „Wyspy Żłotej Bogini”, „Ina-Kilik”, „Wyspy Kryształowych Gór” i innych, na których przeżyłem niegdyś wiele przygód w towarzystwie Kiniego i „Mew” — porwanych z ziemi dziewcząt. Zauważono w tamtych stronach wzmożony ruch dysków marsyjskich. Mieliśmy się naocznie przekonać, co się tam dzieje, bo wyniki telepatycznych „zwiadów” naszych czarowników były niejasne.

Panowała noc. Moi towarzysze spali w kabinach. Siedziałem sam w wieżycze „Takili” przy przyrządach sterowniczych. Świecił ekran wskazujący trasę. Za szybą czerniała głęбина wodna. Niby błyskawice zapalały się w niej od czasu do czasu świecące roje żyjątek.

Ogarniały mnie ponure myśli. O ile początkowo przyjąłem spokojnie małżeństwo Leny, teraz obecność ich obojga na pokładzie, ich wzajemne spojrzenia i gesty pełne uczuć, drażniły mnie. Ostatnia rozmowa z

*\*) Zoli, według swego życzenia został odstawiony na Wyspę Amgów.*

księdzem Piotrem też nie nastroiła mnie pogodnie. Czy naprawdę jestem sam przyczyną swoich zawodów życiowych? Czy to moja wina, że się wałęsam po planetach, nie wiadomo po co? włóczęga bez domu i celu ...

Posłyszałem ciche kroki. Do wieżyczki weszła Tetit. Rozsiadła się wygodnie na sąsiednim fotelu.

— Nie możesz usnąć? — spytałem sucho.

Byłem niezadowolony, że przyszła. I ona gniewała mnie ostatnio. W czasie wspólnej ucieczki z „Góry Strachów” nawiązała się między nami serdeczna przyjaźń. Tetit była wtedy bezpośrednia, radosna ... W bazie natomiast zdawała się mnie unikać, a teraz była stale jakaś zamyślona i niedostępna ...

W tej chwili jednak miły uśmiech błąkał się po jej twarzy.

— Czemuś taki zasępioły — spytała — nie możesz przeboleć Leny?

— Przeboleiałem jeszcze na Marsie.

— Niezupełnie ... wiem, że cię to gryzie, choć nadrabiasz miną ... Jedno ci powiem: Są kobiety, jak ona, o wybitnie „matczyńskich” uczuciach, które nawet w mężczyźnie szukają kogoś, kim mogłyby się opiekować, choćby duchowo. Ty jesteś typem mocnym, gotowym raczej dawać niż brać ... Dlatego Lena wybrała Joe'go.

— Wcale nie jestem taki mocny, jak ci się wydaje ... a jakim typem ty jesteś?

Roześmiała się w głos ukazując śliczne ząbki.

— Dotąd mnie nie poznałeś? Jestem głupim typem.

— Czemu taka ostra ocena?

— Jestem głupim typem, — powtórzyła — bo pomyśl sobie, że zdecydowałam się przenieść w przyszłość z miłości ... i to z niemądrej miłości ... Zakochałam się na śmierć w Avaru. lotniku przestrzennym. I on darzył mnie sympatią, lecz jego pierwszym ukochaniem była przestrzeń gwiazdna Wyruszył na wyprawę do innej galaktyki i powinien powrócić teraz.

— Jak to?

— Dzięki pewnym prawom współzależności między czasem a prędkością podróż tam i z powrotem miała trwać dla niego tylko niecałe sto lat, spędzone w dużej mierze w stanie „zawieszanej witalności” czy "hibernacji”. No i wiesz? Ciągle mam nadzieję, że go zobaczę ...

— To niezwykła historia! Czemu jednak nazywasz swoją miłość głupią?

— Bo maszyny wykazały, że nie nadajemy się dla siebie ... Ponadto na tę wyprawę poleciała z nim śliczna lekarka, wpatrzona w Avaru jak w tęczę ...

— Trzeba było pojechać z nim razem.

— Nie pozwolono mi.

— Naprawdę żywisz nadzieję, że wróci?

— Dla mnie od jego wyjazdu upłynęło dopiero kilkanaście miesięcy i jego postać stoi wciąż żywo w moim niemądrym sercu. Był odważny, twardy, a zarazem bardzo dobry ... Czy wróci? Tyle się mogło wydarzyć w takiej wyprawie ... Może się też pomyłono w obliczeniach czasu powrotu. Nawet mały błąd mógł spowodować odchylenie w czasie o kilka setek lat ... Rozum mi mówi, że jestem szalona mając nadzieję, lecz serce ...

W jej oczach ukazały się łzy. Przygarnąłem ją ku sobie. Ucałowałem, jak wtedy w dżungli, mokre powieki. Nie broniła się, zarzuciła mi ręce na szyję.

Na tę scenę wszedł Joe, który miał mnie zmienić. Zmieszani odsunęliśmy się od siebie.

— Sorry — rzekł Joe — nic w porę przyszedłem, niemniej cieszę się, że ...

— Jesteś idiota, — rzuciłem mu — nic nie rozumiesz.

Wynieśliśmy się z wieżyczki.

— Dziękuję ci — powiedziałem dziewczynie — że mi to opowiedziałaś.

— Ale nie mów nic innym. Dobrze?

Rozeszliśmy się. Zapomniałem o swoich ponurych myślach. Biedna Tetit. Łudzi się na pewno.

Rano po ukradkowych spojrzeniach i uśmieszkach poznałem, że Joe wypaplał wszystko. Nie szkodzi. Może Lena poczuje troszeczkę zazdrości... Spojrzałem na nią. Zauważyła mój wzrok i odpowiedziała mi serdecznym wejrzeniem ... nie było w nim zazdrości.

Po tym swoim wyznaniu Tetit odzyskała dobry humor. Przebywaliśmy stale razem. Jej sekret wytworzył między nami nową więź.

W dwa dni później, rano, zbliżyliśmy się do „Wyspy Złotej Bogini”. Był to olbrzymi wygasły wulkan. Jedna jego krawędź zapadła się w morze. Wody wtargnęły do wnętrza, tworząc zatokę. Tetit pamiętała tę wyspę ze swoich czasów. Wznosiła się tam wtedy wspaniała świątynia Kajnów, poświęcona bogini miłości, cel pielgrzymek. Obecnie pozostały tam tylko ruiny. Złotą statuę bogini Astut ukradliśmy w czasie ostatniego pobytu\*).

Chciałem wylądować tutaj i przypomnieć sobie dawne, miłe chwile. Tymczasem nasz „peryskop” wykrył dwa marsyjne dyski, stojące nieruchomo nad górną krawędzią krateru.

— Strażują — stwierdził Kini — po co?

*\*), „Porwany w Przestrzeń”, część III.*

— Trzeba to zbadać — odparłem — nic z otwartego lądowania, ale na południowym cyplu wyspy znajduje się pio-

nowe pęknięcie w ścianie krateru, które schodzi poniżej poziomu morza ... spróbujemy tam wpłynąć.

Odkryliśmy bez trudu tę ogromną szczelinę. „Takila” wjechała w utworzony przez nią kanał. Pionowe ściany dawały doskonałą zasłonę. Pęknięcie szło daleko w głąb łądu, przedstawiało być kanałem, a zmieniało się w wąwóz.

Wszyscy chcieli wziąć udział w wyprawie, ale zabrałem jedynie Abę. Nasz ekwipunek bojowy stanowiły dwa pistolety promieniowe, noże, luki z zatrutymi strzałkami, lornetka i dwie „krótkofalówki”, działające na innej zasadzie niż ziemskie radio. W tym wszystkim nie było ani kawałeczka metalu.

Marsz był uciążliwy, bo podnoszące się stale dno wąwozu zaścieniały głązy. Po dwu godzinach wąwóz się skończył. Znaleźliśmy się w dżungli po drugiej stronie krawędzi krateru. Teren opadał łagodnie ku wewnętrznej zatoce.

Między drzewami otwierał się jakby tunel upleciony z zielonych nici.

— Nigdy tego nie widziałem przedtem ... może jaka marsyjska pułapka .

— Wygląda raczej na twór naturalny, ale pająk, który by to upłócił, musiałby być gigantem.

Weszliśmy, wiedzeni ciekawością. Trzymałem broń w pogotowiu. Nici stawały się coraz gęstsze ; to nie była już sieć, ale lśniąca jedwabiąca tkanina. Spróbowałem mocy ścian tunelu — nawet nóż nie mógł ich przeciąć. Zielony korytarz rozszerzył się i zamknął nagle. Pająka ani innego budowniczego nie spotkaliśmy.

— Wracamy?

Aba nie zdążył mi odpowiedzieć. Z otworu w zielonym suficie, na który dotąd nie rzuciłem nawet okiem, spadła sieć, pokrywając mnie od głowy do stóp. Jednocześnie coś pchnęło mnie z tak wielką siłą, że upadłem. To samo coś, czego nie mogłem zobaczyć przez nieprzejrzystą tkaninę, zaczęło mną turlać po ziemi. Usiłowałem bronić się, wyrwać, na próżno ... w kilkanaście sekund stałem się żywą „mumią nieegipską”. zapakowaną szczelnie, łapiącą z trudem oddech.

Po zduszonych okrzykach Aby wiedziałem, że i jego spotkał ten sam los.

I pewnie byłby to koniec moich sławetnych dziejów, gdyby nie Tetit. Zaterkotał pistolet maszynowy. Niewidzialne bestie przestały się ruszać.

— Leżcie spokojnie! — mówiła Tetit — a postaram się was wydostać z tych „pieluszek”.

Miała przy sobie specjalny nóż, dar Akry. Za pociśnięciem maleńkiej dźwigni przy rękojeści ostrze krajało wszystko: stal, skałę jakby to było masło.

Co to za radość wyjść z zielonej trumny! Dopiero teraz mogłem widzieć, co nas zaatakowało i zwięziło. Były to dwie bestie o setce pajęczych nóg, podłużnym zielonym odwłoku i parze straszliwych szczypic, wystających ze szpetnej mordy. Ta wdzięczna „stonoga” miała ze dwa metry długości.

— To skutki zniszczenia urządzeń ochronnych w Kamiru — stwierdziła Tetit. — Gdy zabrakło sztucznego pola, tłumiącego wzrost różnych nieprzyjemnych stworzeń, zaczyna ją rosnać ... przedtem tamte liszki, teraz te „urunga” ... niedługo życie na Wenus stanie się okropne ... patrz coś narobił!

— To nie ja, to Marsjanie w moim ciele — zacząłem się bronić bez potrzeby — ale powiedz, skąd się tu wzięłaś?

— Wymknęłam się za wami i dobrze się stało ... chyba mnie teraz nie odeślesz na „Takile”?

— Nie wypada mi... zawiadomię tylko Kiniego przez radio, bo już pewnie martwią się o ciebie.

— Ona nie może iść z nami, — zaproponował Aba — w tej purpurowej „żeli” widać ją z daleka.

Tetiti nie dała się łatwo zbić z tropu. Wycięła swym nożem kawał tkaniny ze ściany tunelu i upięła ją zrecznie wokół swego smukłego ciała. Czerwoną zelę ukryłem pod kamieniem.



## Rozdział XII

### JOASIA URATOWANA!

Wydeptana przez jakieś zwierzę ścieżka ułatwiała marsz. Niedługo znaleźliśmy się w okolicy, którą dobrze znałem. Ciszę upalnego dnia przerywał szum rzeki, nad którą leżały ruiny świątyni „Złotej Bogini”. Wspięliśmy się na skałę, która stanowiła doskonały punkt obserwacyjny. Czepiały jej się rozłożyste krzaki, zasłaniające nas przed dyskami, które nadal stały nieruchomo nad krawędzią krateru.

W pobliżu skały wałęsało się kilku Marsjan. Dalej przedstawił mi się obraz spustoszenia. Gdy byłem tu po raz ostatni, ruiny świątyni pokrywała dżungla. Obecnie wypalono doszczętnie roślinność. Dwie kolosalne maszyny ryły grunt. Pośród odsłoniętych kolumn i kamieni uwijali się jeńcy. Byli nadzy, w większości jasnoskórzy i jasnowłosi, Kuwilińcy. Widać było dużo dzieci. Prawdopodobnie Marsjanie sprowadzili tu całe plemię do pracy. Sami kierowali robotami.

Wysunąłem lornetkę. Większość nadzorców trzymała w ręku jakby małe tranzystory z anteną.

Aba stuknął mnie łokciem w bok.

— Patrz, jak oni przenoszą te głazy ... oczom nie chce się wierzyć.

Skierowałem lornetkę na grupę krajowców. Otoczyli kilkunastotonowy słup, leżący na ziemi. Ujęli się za ręce. Po kilku minutach słup wzniósł się w powietrze, jakby o własnej sile. Jeńcy ruszyli, słup posuwał się między nimi. Doszli do miejsca wskazanego przez marsyjskiego nadzorcę. Rozpletli dłonie. Słup opadł łagodnie.

— Nie znacie tego sposobu? — szepnęła Tetit — Splatając ręce i koncentrując się tworzą ogniwo energii i jeśli jest ktoś między nimi, kto potrafi kierować tą energią, mogą podnieść każdy ciężar.

— Psychokineza — mruknąłem do siebie i dodałem głośno — niektórzy archeologowie podejrzewali, że tak właśnie powstały wielkie budowle starożytności, ale większość uważała to za bajkę.

Lustrowałem dalej teren. Wtem mignęło mi coś barwnego koło posągu jakiegoś bożka. Spojrzałem uważnie przez lornetkę. Posąg czyściły wielkimi szczotkami dwie dziewczyny, na których z trudem trzymały się strzepy kolorowych „zeli”. Rude włosy jednej i jasnoblond drugiej... toż to Krysia i Basia, towarzyszk moich poprzednich przygód!

Podąłem lornetkę Abie.

— Beba i Kirti — potwierdził — musimy je stąd wydstać.

— Skąd się tu wzięły ?

— Kini mówił, że się wybierały na wakacje w te strony. Tu je pewnie zaskoczył atak Marsjan. To co robimy?

— Podejdziemy bliżej wtedy zorientujemy się. Marsjanie słabo pilnują, nie będzie trudno skomunikować się z dziewczętami.

— Nie będzie też łatwo — wtrąciła Tetit, która z kolei obserwowwała teren przez lornetkę — czy widzicie ten kabel, co otacza cały teren pracy ?

Tetit miała rację. Kabel musiał wytwarzać jakieś zabójcze pole. Nikt, nawet Marsjanie nie zbliżali się doń. Była w nim tylko przerwa w jednym miejscu, gdzie łączył się z dwoma dużymi aparatami. Tamtędy wchodzili i wychodzili Marsjanie i stała obok straż.

Połączyłem się z Kinim i przekazałem mu wieści. Po czym opuściliśmy skałę, poszliśmy w górę rzeki, przekroczyliśmy ją. Dość strome tutaj zbocze krateru pokrywały wysokie trawy i krzewy. Tu i tam rosły kępy drzew, obsypane złotym owocem „ibi”, o smaku banana.

Posuwaliśmy się ostrożnie. Gdyby Tetit miała na sobie purpurową zełę, obserwatorzy z dysków dawno by ją zauważyli. Głosy ludzkie ... dwieście metrów poniżej nas szła grupa podrostków z wielkimi koszami. Strzegli ich dwaj Marsjanie w promienistych strojach z „tranzystorami” w rękach. Chłopcy zatrzymali się przy kępie drzew. Paru z nich wspięło się na gałęzie i zrywało owoce. Rozmawiali i pokrzykiwali swobodnie.

— Mam wspaniałą pomysł! — szepnął mi w ucho Aba.

I nie objaśniając, co to była za genialna myśl, zrzucił z siebie pas i popłę, zostawił broń i „przebrany” w ten sposób za krajowca, puścił się chyłkiem w stronę grupy zbierającej owoce.

— Stój! Czyś zwariował? — zawołałem za nim, zapominając o ostrożności.

Ani się obejrzał. Ze zwinnością dziecka natury, przesunął się niepostrzeżenie między krzewami; wybrał moment nieuwagi dozorców i wmieszał się między pracujących. Chłopcy nawet najmniejszym drgnieniem nie dali poznać po sobie, że zaszło coś niezwykłego.

Cała grupa przesunęła się do następnej kępy drzew. Po kilkunastu minutach kosze były pełne. Strażnicy krzyknęli na chłopców, by zeszli z drzew. Gibkie, złotobrazowe ciała zsunęły się zwinnie po chropowatych pniach. Zeszli wszyscy z wyjątkiem Aby, który zaciągnąwszy z pewnością języka, ukrył się teraz w gęstej koronie, „łbi” mają wielkie liście, to też nie było go wcale widać. Jeden z Marsjan musiał wszakże coś zauważyć — może gałąź, na której Aba się umieszczał, zbyt zwisała — bo krzyknął, a nie uzyskawszy odpowiedzi, skierował ku górze antenę przyrządu, trzymanego w rękę.

Zagapiłem się i nie uprzedziłem jego ruchu ... powinienem był strzelić z pistoletu promieniowego ... Bezwładne ciało Aby zsunęło się na trawę. Podnieśli go dwaj chłopcy i cała grupa ruszyła w kierunku świątyni.

— Atakujemy? — spytała Tetit.

-- Nie. Spowodowalibyśmy alarm, a wtedy trzeba by się pożegnać z chęcią uwolnienia dziewcząt. Jeśli Aba zabity, nic mu nie pomoże. Jeśli omdlał, przyjdzie do siebie prędko i uprzedzi dziewczęta i całe plemię o naszych planach ...

— Jak dotąd bardzo mglistych.

Podąłem Tetit aparacik radiowy, pozostawiony przez Abę.

— Weź też jego broń — powiedziałem — i czekaj tu! Pójdę za nimi i zbadam sytuację.

Spodziewałem się, że zaprotestuje, ale rzekła tylko:

— Wracaj szybko! — jej oczy wpatrywały się w jakąś dal, na twarzy malowało się dziwne natężenie.

— Co ci ?

— Nic, idź !

Bez przygód dotarłem do miejsca, gdzie urywała się dżungla, wypalona dezyntegratorami. Dalej leżał ten tajemniczy kabel. Jakiś niebieski ptak z żółtym czubkiem grzebał w jego pobliżu. Wyciągnął tłustą glistę, połknął ją. Podskoczył w kierunku kabla, wywrócił się i leżał bez ruchu. Wątpiłem, by otruł się glistą ... to kabel wytwarzał pole śmierci.

Obserwowałem jeszcze kilka minut, lecz nie zauważyłem nic godnego uwagi. Krajowcy pracowali w ruinach i zakrywały ich leżące głazy. Wycofałem się i wróciłem do miejsca, gdzie zostawiłem Tetit ... dziewczyna znikła. W trawie leżał aparacik radiowy, pas i popia Aby, cała broń. Zatoczyłem szerokie koło. Żadnych śladów. Nic nie wskazywało na stoczoną walkę, szamotanie się. Poszła więc sama — dokąd i po co ?

Jeden ze strażujących dysków opuścił dotychczasową pozycję i krążył nad okolicą. To pewnie on zaskoczył Tetit i porwał ją w powietrze. Teraz zaś poszukiwał jej ewentualnych towarzyszy. Wsunąłem się pod gałęzie rozłożystego krzewu. Dysk skierował się do ruin. Po piętnastu minutach wrócił i znieruchomiał ponownie nad krawędzią krateru.

Mnie tymczasem morzyła senność. Zbliżało się południe, robiło się potwornie gorąco i duszno. Powieki same opadały. Wtem zaszło coś, co musiało być snem, choć miało dla mnie

wszelkie cechy realności. Znalazłem się w dżungli, na małej polance. Przede mną stał Marsjanin w pomarańczowym, promienistym stroju, w rękę trzymał ów odbierający przytomność, czy nawet życie, „tranzystor”. Mówił coś do mnie ironicznie, zbliżając się. Byłem bezbronny. Chciałem się cofnąć, lecz nagle opanowała mnie nieodparta chęć walki. Sprężyłem się w sobie i zadałem mu potężne uderzenie w szczękę. Zaskoczony przeciwnik zachwiał się... poprawiłem. Padł bez czucia na mech. A ja patrzę nie na niego, ale na swoją rękę, która zadała cios ... delikatną, kobiecą, nie moją ... Coś mną szarpnęło. Budzę się pod krzakiem, w poprzednim miejscu.

Rozważam swój sen czy widzenie, gdy gdzieś, wewnątrz głowy chyba, słyszę głos Tetit:

— Idź szybko !

Wiem, dokąd mam iść ... na tę polankę ze snu, i wiem jak tam trafić. Zabieram broń, zsuwam się ostrożnie po zboczu, zostawiam ruiny świątyni po prawej ręce. Już w lesie wpadłem niespodziewanie na wielki dysk transportowy, przy którym nie było nikogo. Mijam go i dwieście metrów dalej wychodzę na znajomą już polankę.

Na mchu leży bezwładnie ów Marsjanin, którego uderzyłem w sennym zwidzie. Obok niego Tetit — również nieruchoma. Nachylałem się już nad dziewczyną, gdy za plecami zabrzmiał słabiutki głos:

— Jędreku, zostaw ją na razie, a chodź mnie rozwiązać!

Obejrzałem się. Młode ciało przywiązane do drzewa, ślady uderzeń i podrapań, kasztanowate włosy w nieładzie, oczy pełne gorączki i cierpienia, ale usta uśmiechają się radośnie.

— Joasia !

Kilka cięć noża i dziewczyna osunęła się na mech.

— Wody ! błagam o wodę !

Wziąłem Joasię na ręce. Trzęsła się biedna i jęczała ci-chutko. Chłodny, czysty strumień znajdował się w pobliżu. Da-łem biedaczce pić. obmyłem jej twarz. Otwierałem usta, żeby zadać pierwsze pytania, gdy usłyszałem w myśli alarmujący głos Tetit:

— Wracaj szybko! Marsjanin zaczyna się ruszać.

Pobiegłem. Marsjanin z trudem wstawał na nogi. Ukłułem go zatrutą strzałą. Znieruchomiał ponownie. Co teraz zrobić z Tetit? Oczy miała otwarte, przytomne, ale nie mogła się poru-szyć.

Zataszczyłem ją z kolei nad strumień.

— Jeśli chcesz jej wrócić władzę w ciele. — odezwała się na nasz widok Joasia — weź od Marsjanina aparacik, skieruj na nią antenę i przyciśnij żółty guzik.

Pobiegłem znowu po aparacik i wykonałem przepis Joasi. W jednej sekundzie Tetit doszła do siebie.

— Musimy się gdzieś schować — były jej pierwsze sło-wa.

Orientowałem się. gdzie byliśmy. Niedaleko stąd, w górę strumienia, znajdowała się grotta. Podniosłem z mchu Joasię. Po parominutowym marszu przez dżunglę dotarliśmy do wo-dospadu. Za firanką wody kryła się niewielka jaskinia. Jej dno stanowił miękki piasek, ułożyłem na nim Joasię. Tetit obmyła jej rany i skaleczenia i nakleiła na nie lecznicze liście. Chora napiła się wody, zjadła sycący owoc „anku” i zapadła w sen.

Usiadłem obok niej. Popatrzyliśmy sobie z Tetit w oczy. Nie potrzeba było żadnych wyjaśnień. Jakimś niepojętym sposobem wiedziałem wszystko. Tetit od samego początku naszego spotkania czytała w moich myślach, a także umiała czytać w myślach innych ludzi, lecz nie przyznawała się do tego nikomu. Co więcej, to ona w czasie bitwy leśnej z Marsjanami przejęła władzę nad moim ciałem i walczyła za mnie ... A tu, gdy poszedłem w ślad za Abą, odebrała wołanie Joasi o ratunek i nie czekając na mnie, udała się wprost do miejsca, skąd nadchodziło. Nie zabrała żadnej broni z wyjątkiem zatrutej strzałki, gdyż w razie złapania przez Marsjan chciała uchodzić za dziewczynę tubylczą.

Poczułem zawrót w głowie.

— Opowiadaj dalej głosem — powiedziałem — bo mi się mąci w myślach ... brak wprawy w telepatycznym odbiorze.

— Dobrze ... Znalazłam się na skraju polanki, widziałam, jak Marsjanin bił Joasię po twarzy. Wyciągnęłam strzałkę i zbliżyłam się cicho do Marsjanina z nadzieją, że się nie obejrzy. Odwrócił się jednak nie w porę i sparaliżował mnie swoją bronią. Stałam nadal, przytomna, lecz nie mogłam ani palcem ruszyć. Pożyczyłam wtedy twojej siły. Dobrze, że właśnie spałeś, bo inaczej by mi się nie udało.

— To wszystko nadzwyczajne... lecz czy to ładnie tak czytać w moich myślach bez mojej wiedzy i pozwolenia?

Zarumieniła się.

— Gniewasz się ? — spytała.

— Pewnie, że się gniewam.

Ujęła mnie za rękę.



— Nie uważaj, że jestem wszechwidząca. Twoje myśli łatwo odbieram, bo wiąże nas przyjaźń. Poza tym należysz do ludzi otwartych i szczerych i nie masz co ukrywać. Lecz i ty nieraz zamykasz się przede mną. Następują okresy gdy tylko mgliście i ogólnie odczuwam twą myśl. A co do innych ludzi... to najłatwiej wyłapuję ich myśli, gdy je do mnie kierują. Najczęściej odbieram wrażenia pomieszane ze sobą, pochodzące od nieznanymi nadawców . . . czasem muszę się przed nimi zamykać, a nawet bronić.

— Rozumiem, że ty posiadasz właściwości telepatyczne, lecz jak to się dzieje, że ja zaczynam odbierać twoje przekazy? Nic podobnego nie wystąpiło dotąd u mnie ... w każdym razie nie tak wyraźnie i łatwo.

— Marsjanie zniszczyli razem z polem ochronnym jego właściwości tłumiące. Niedługo większość mieszkańców Wenus zacznie się porozumiewać telepatycznie, gdy sobie uprzytomnią tę możliwość.

— To będzie można zwariować !

— Nauczę cię wyłączać się z nurtu myśli złych czy tylko płaskich i nieciekawych. Będziesz też mógł zamknąć swój umysł przed wglądem innych.

Podaliśmy — ale jeszcze tylko drogą radiową — na „Takile” raport z ostatnich wypadków. Kini obiecał wpłynąć do zatoki pod osłoną nocy i czekać na nas w umówionym miejscu u ujścia rzeki.

Zbudziłem Joasię przed zachodem słońca, chcąc uzyskać od niej informacje niezbędne do dalszego działania. Czuła się o wiele lepiej, jadła z apetytem i opowiadała z chęcią.

Gdy przyszły wakacje Ania, Basia, Krysia i Joasia wyprosiły u kogoś wielki katamaran i przybyły na Wyspę Złotej Bogini. Tu zaskoczyła ich inwazja. Widziały walkę w powietrzu. Straciły katamaran. Same dwukrotnie cudem uszły śmierci. Zdumione były i zaniepokojone przedłużeniem dnia i nocy. Wreszcie miesiąc temu Marsjanie wylądowali na wyspie, przywożąc ze sobą plemię Puna-Puna do pracy. Dziewczęta kryły się w dżunglii, ale je odkryto, bo miały przy sobie przedmioty metalowe, i zapędzono do pracy razem z dzikimi.

— Dwie noce temu — mówiła Joasia — przyszedł mi pomysł, jak wyrwać się z koła, zakreślonego paraliżującym kablem. Nikomu nic nie mówiłam. Przygotowałam sobie długą tyczkę i gdy zrobiło się ciemno, rozbiegłam się i przeskoczyłam kabel. Działał tylko w promieniu dwóch metrów, co wykalkulowałam na podstawie obserwacji ptaków, owadów i innych stworów .

— Jesteś dobrym skoczkiem — pochwaliłem ją.

— Niestety schwytano mnie przypadkiem w pół godziny później. Badaniem zajął się sam Axarn, komendant całej grupy. Chciał się dowiedzieć, jak uciekłam, bo przekroczenie pola ochronnego wydawało mu się niemożliwe. Przywiązał mnie do drzewa, pozbawił jedzenia i wody. torturował. Jeszcze trochę, a byłabym uległa. Uczyniłabym to wcześniej, lecz czułam w jakiś dziwny sposób, że pomoc nadchodzi. W moich myślach pojawiał się twój obraz, Andrzeju. Coś mi mówiło, że jesteś blisko, choć wiedziałam, że Nara ciebie i Lenę wysłał na ziemię ... wolałam w myśli o pomoc.

Z kolei ja opowiedziałem jej swoje dzieje.

Ponieważ żela Joasi była w strzępach, Tetit odstąpiła jej swoją pajęczą, a sama wyszła i wróciła po jakimś czasie w nowej, sporządzonej tym razem z delikatnej, aksamitnej kory drzewa „hiplu” w brązowo-żółte centki.

Zapadła noc. Niebo rozjaśniała słaba, różowa zorza. Wystarczała, by nie pobłądzić w dżungli. Nasi przyjaciele z „Takili” dali nam znać, że wpłynęli bez przeszkód do zatoki pod wodą, a teraz czekają u ujścia bagnistej rzeki, gdzie niegdyś harcowaliśmy z sympatycznymi „zurari”, krokodylami o kaczych dziobach.

Ruszyliśmy więc w drogę. Joasia twierdziła, że może iść o własnych siłach. Po paru minutach jednak „usłyszałem” jej myśl:

— Słaba jeszcze jestem, nie ujdę daleko.

Wziąłem ją na ręce. Nie ciążyła mi zbyttnio.

Szliśmy cicho, ostrożnie. Las dyszał jeszcze upałem, nadejście nocy nie złagodziło go dotąd. Wstawały opary, układając się w fantastyczne kształty. Woń kwiatów upajała. Wiatru ani odrobinki. Wszelki ptak i zwierz nie opuszczał swych kryjówek, zmęczony dziennym żarem, który od wydłużenia się dnia stawał się wprost nie do zniesienia. Tylko owady nocne bzykały tu i ówdzie, a świecące motyle zataczały błyskotliwe spirale.

Wtem ryknęło coś w głębi boru. Joasia drgnęła i przytuliła się. A mnie ogarnęła jakaś wielka wobec niej tkliwość. Walczyłem ze sobą, by nie przycisnąć jej mocniej i nie zacząć pokrywać pocałunkami. Przez głowę przebiegały myśli, jak ją zawsze bardzo lubiłem i że to do mnie właśnie wysłała wołanie o ratunek.

Nagle pokusa prysła... uświadomiłem sobie, że idąca za nami Tetit, a może i sama Joasia, z pewnością widzi, co się we mnie dzieje ... zawstydziłem się i byłem zły — cóż to będzie za życie, gdy w najtajniejszych głębinach swego „ja” nie jestem już samotny ?

— Nie wstydź się, pocałuj ją — odebrałem myśl Tetit — biedactwo nacierpiało się, teraz potrzebuje wyrazu.

## Rozdział XIII

### MARSJANIE BOJĄ SIĘ BURZY

Między drzewami prześwitywało zwierciadło wody. Rzeka ... a na niej oczekuje na nas „Takila”.

— Psssst... Kini? ... to my ...

Na tle tej wody, rozświetlonej z lekka odbitym światłem wody, zamajaczyła barczysta postać. W tej chwili zabrzmiało mi w głowie ostrzeżenie Tetit:

— Uważaj, wyczuwam jakąś niemiłą atmosferę, to może być zasadzka!

Za późno! Znaleźliśmy się w oślepiającym kręgu światła. kilkanaście dłoni schwycało nas brutalnie ... Marsjanie. Odebrano nam broń, zanim zdołaliśmy po nią sięgnąć. Wykręcono mi ręce do tyłu. Czemu po prostu nie strzelono do nas z „paralizatorów” ? Może ten Marsjanin, który dostał ode mnie w szczękę, ostrzegł, że na nas ta broń nie działa.

Joasia, którą wyrwano mi z rąk, leżała bez ruchu na piasku. Tetit trzymało dwóch drabów. Przed nami stał Axarn. Na jego szyi ujrzałem jeden z naszych aparacików radiowych. Był to na pewno aparacik Aby . . . tak, nie ma go ... musiałem zgubić na polance i znaleźli go Marsjanie. Podśluchali moją ostatnią rozmowę z Kinim i przygotowali zasadzkę. A co z „Takila”?

Marsjanie zgasili reflektory, a „zapalili” swoje promieniste stroje. W tej chwili błysnęło się na horyzoncie. Nadchodziła burza. Marsjanie obejrżeli się niespokojnie, a ja dopiero teraz w świetle błyskawicy ujrzałem leżące nieco dalej na brzegu rzeki nieruchome ciała załogi „Takili”. Fatalnie ! Z przeraże-

niem myślałem nie tylko o naszych losach, ale o tym, że Marsjanie zawładnąwszy naszym statkiem zyskiwali w nim klucz do podmorskiego świata. Dotąd, na ile było mi wiadome, żadna łódź podwodna nie wpadła w ręce wroga.

Axarn wydawał rozkazy. Nasi nieprzytomni towarzysze mieli zostać przeniesieni do wnętrza transportowego dysku. Wyzaczył też straż do pilnowania „Takili”. Nas także na pewno zamkną w dysku, a stamtąd nie uwolnimy się bez pomocy z zewnątrz. Trzeba działać natychmiast! Wyrwę się i skoczę do rzeki. Pod wodą dostanę się do wnętrza „Takili”, a tam dam sobie radę ze strażą.

Moje dziewczynki zareagowały natychmiast na mój projekt

— Nie zemdlałam, tylko udaję — to Joasia — daj znak, a podetnę Axarnowi nogi ...

— Poczekaj, aż się rozpęta burza ! — to Tetit.

Zagrzmiało bliżej. Burze nadchodziły teraz często i to zwykle na początku nocy. Rąbnął jeden piorun, drugi ... W kilka minut rozpętała się straszliwa tropikalna nawałnica. Z nieba lał potop.

Marsjan ogarnął popłoch. Nie przeżywali burz tego typu na Marsie. W ogóle większość z nich, wychowana dosłownie "pod kloszem" lub w głębinach planety, odczuwała na Wenus lęk otwartej przestrzeni. Niektórzy nosili nawet specjalne szybki na twarzy dające złudzenie zamknięcia. A i woda napełniała ich lękiem. Teraz to połączenie żywiołów ognia i deszczu, walących się im na głowy z otwartego nieba, okazało się mocniejsze niż ich nerwy. Zapominając o nas, większość rzuciła się na oślep w kierunku stojących w dżungli dysków.

Axarn krzyknął i posłał za uciekającymi wiązkę ognia ze swego dezintegrator... bezskutecznie, nie zatrzymali się. Nasza trójka, uwolniona z niepożądanych uścisków twardych dłoni, przeszła natychmiast do akcji. Joasia spuściła na stopę Axarna duży kamień. Ja rzuciłem się na jego dezintegrator i usiłowałem go wyrwać. Tetit błyskawicznie użyła swego wenuzjańskiego „dżudzitsu”. Axarn zwałił się w błoto, ale jednocześnie obok naszych głów przeszedł strumień ognia. To inny Marsjanin, który nie poddał się panice, usiłował nas zlikwidować. Nie trafił nas chyba tylko dlatego, że bał się zabić Axarna.

Odskokczyliśmy na boki i zniknęliśmy mu na chwilę w ciemności i strugach deszczu. Joasia pozostała na piasku. Marsjanina też nie było widać, bo „wygasił” swój strój.

Wtem błyskawica rozświetliła teren. Tym razem ja posłałem, wiązkę ognia z wyrwanej Axarnowi broni. Chybiłem.

I tak rozpoczął się makabryczny taniec śmierci w blasku błyskawic i ryku nawałnicy. Skakaliśmy z miejsca na miejsce strzelając, najczęściej na oślep. Żaden nie zabił drugiego. Wreszcie Marsjanin zrezygnował z walki i zniknął w głębi lasu.

Ocuciliśmy natychmiast naszych przyjaciół. „Takila” zanurzyła się pod wodę i spoczęła na dnie zatoki. W sam czas. Ekran peryskopu powiadomił nas, że nad wybrzeżem latają jak wściekłe dwa dyski zwiadowcze. Ale i tu burza okazała się naszym sprzymierzeńcem. Piorun trafił jeden z dysków, drugi wycofał się w dżungłę.

Korzystając z osłony nawałnicy, podpłynęliśmy „Takilą” możliwie blisko pod teren otoczony kablem. Tetit i ja, uzbrojeni w pistolety promieniowe i dwie miny wielkości granatów,

wysiedliśmy na brzeg. Podchodząc do kabla w potokach deszczu ujrzeliśmy silne światło. Kilka dysków transportowych i dwa zwiadowcze stały po środku koła zakreślonego kablem. Nad kopułami większych dysków wielkie kule siały oślepiające promienie.

Niepodobieństwo było zbliżyć się niepostrzeżenie do kabla. Dorzucić minę do dysków — za daleko. Jeńcy siedzieli w pewnej odległości od dysków prosto w błocie lub, przytuleni do głazów, szukali w nich jakiej takiej osłony przed siekącymi biczami deszczu.

Trwaliśmy na skraju dżungli bezsilni i przemoczeni. Wtem ulewa skończyła się, jakby nożem uciął. Burza uspokoiła się. Na oczyszczone niebo wystąpiła silna, złota zorza. Lampy nad dyskami pogasły, ale one same nie ruszyły się z miejsca, tylko dysk zwiadowczy poleciał na patrol.

Jeńcy zaczęli się trochę ruszać. Zobaczyliśmy Abę. Wylazł z jakiejś dziury i spacerował po -terenie, zerkając ku dżungli. Spodziewał się nas. Tetit usiłowała nawiązać z nim kontakt telepatyczny, lecz bez skutku. Złożyłem wobec tego dłonie w trąbkę i posłałem w przestrzeń nocną pisk „auli”, który był zawołaniem plemienia „Oremangów”, do którego należał Aba. Chłopak wolnym krokiem zbliżał się w naszą stronę.

Wysunąłem się na skraj lasu. Ulewa wyrzeźbiła w ogołocnym z roślinności gruncie rozpadlinę, idącą w kierunku kabla. Była płytka, musiałem się czołgać.

— Aba ! — odważyłem się zawołać.

Z dżungli dochodziły teraz porykiwania i krzyki nocne, Jeńcy rozmawiali ze sobą głośno, nikt nie powinien był zwrócić specjalnej uwagi na moje wołanie.



— Andra ?

— Rzuć ci minę. Już nastawiona. Podłóż ją nieznacznie pod który z dysków lub w ich pobliżu. Ostrzeż wszystkich, by się jak najdalej odsunęli . . .

— Rzucaj !

Mina zatoczyła łuk i znikła mi sprzed oczu. Zacząłem się wycofywać. Umazałem się błotem nie gorzej niż wtedy w bagnistym jeziorze. Dotarłem szczęśliwie do Tetit.

Aba tymczasem nie podszedł od razu do miny. Podniósł duży kamień, bawił się nim, podrzucał do góry, cisnął w las. Nachylił się ponownie, zabrał minę. Przerzucał ją z ręki do ręki. Podszedł w kierunku dysków, mijając je podrzucił minę pod jeden z nich. Znowu wziął jakiś kamień do ręki, cisnął go. Ktoś wyszedł mu naprzeciw. Rozpoznałem Krysię. Pogadali chwilę i zaczęli obchodzić grupki jeńców. Ci nieznacznie, jeden po drugim, usunęli się z bliskości dysków.

Wrócił dysk zwiadowczy. Piloci wyszli z niego i weszli do dysku transportowego. To był najlepszy moment.

Nacisnąłem guziczek w aparacie eksplodującym zdalnie minę. Oślepiający błysk i huk ! Tam gdzie stały dyski, pozostała w ziemi potworna wyrwa. Podrzuciłem drugą minę, nastawiając ją na mały zakres działania, pod skrynkę wytwarzającą pole wokół kabla. Odpaliłem.

Radosne przywitania z uwolnionymi „Mewami”: Anią, Krysią i Basią. Wydoroślały, zaokrągliły się nieco, nie znać było na nich skutków przymusowej pracy, były tylko ubłocone od stóp do głów, a ich żele przedstawiały smutny obraz przemijania rzeczy doczesnych. Członkowie plemienia

Puna-Puna okazywali entuzjazm z racji uwolnienia, ale trzymali się wobec mnie i Tetit z rezerwą, której nie rozumiałem.

Natychmiast opuściliśmy teren świątyni, chroniąc się w dżungli. Po naradzie z Kinim ustaliliśmy, że „Takila” uda się do owego pęknięcia w ścianie krateru i będzie tam na nas czekała. Dyski marsyjskie mogły pojawić się lada moment i ładowanie się na otwartym wybrzeżu równe było samobójstwu. Chciałem co prawda przynajmniej „Mewy” wsadzić na pokład, ale powiedziały, że pójdą przez dżunglę z całym plemieniem.

— Okazali nam wiele życzliwości i pomocy — orzekła Ania — rozstaniemy się z nimi, gdy wszyscy będziemy bezpieczni.

Przeprawiliśmy się z wielkim trudem przez rzekę, która przybrała po deszczu. Ostatnia partia przechodziła przez nią już przy blasku nowej burzy, która przyszła nagle, nic wiadomo skąd. Niebiosa otworzyły ponownie swoje nieprzebrane upusty.

Znaleźliśmy schronienie w pobliskiej, kolosalnej grocie, a właściwie był to rodzaj dachu utworzony przez ogromną, płaską skałę, wspartą na dwóch kamiennych filarach. Nie dawała ona pełnej osłony, bo co chwila poryw silnego wiatru oblewał nas gęstą falą gorącego prysznicy. Ale nie mogło to przytłumić radości spotkania. Gadaliśmy to na przemian, to wszyscy razem, a najbardziej nic zamykały się usta Abie, choć już dawno wszystko dziewczętom naopowiadał. Mówił teraz i za nie, i za mnie. Tetit wzbudziła wielkie zainteresowanie „Mew”. Wyczułem, że najbardziej korci je pytanie kim była dla mnie. Żadna się jednak o to nie zapytała bezpośrednio.

— Musiało wam tutaj być bardzo smutno beze mnie — spytałem w pewnej chwili żartobliwie.

— O tak ! — zawołała z kpina w głosie Basia — snułyśmy się po wyspie melancholijnie, w zamyśleniu. Każde wspomnienie o tobie: tu to powiedział, tam to zrobił, pamiętasz? wywoływało fontanny łez w naszych oczach ...

— Nie mów tak! — przerwała jej zawsze poważna Ania — Naprawdę wspominałyśmy cię często ... Co nie przeszkadzało, że bawiliśmy się doskonale, póki nie nadlecieli Marsjanie.

— Czego szukali w tych ruinach ?

— Nie mam pojęcia.

— Myśleli pewnie — wtrąciła się Tetit — że i tutaj znajdą podziemne sale pełne starożytnych tajemnic.

Nie zważając na podmuchy wiatru i coraz bardziej rozpętującą się orgię błyskawic Punowie utworzyli koło i zaczęli tańczyć. Było ich ze dwieście głów. Zdziwiłem się, że zwyczajem plemion kuwilińskich nie zaprosili nas do wzięcia udziału. Tym bardziej powinni byli to zrobić, że byliśmy ich wybawcami.

— Co to za plemię, ci Puna-Puna ? — spytałem

— Takie same dzikusy, jak nasz Aba — stwierdziła Ania.

— Co? ja dzikus? — obraził się chłopak.

— Pewnie, już dawno mogłeś sobie zrobić jakiś przyodziewek, choćby z liści, a nie świecić gołym ciałem ... Dzikus jesteś! — gromiła biedaka Ania.

Aba nie odpowiedział ani słowem, obrócił się na pięcie i wybiegł w burzę i ulewę.

— Ty zawsze, Aniu... — wykrzyknęła z oburzeniem Krysia — jeszcze mu się co stanie.

Wybiegłem za chłopcem.

— Aba! Aba!

Zagłuszył mnie szum wody i ryk piorunów, deszcz siekł prosto w oczy, wichur o mało nie obalił. Niepodobieństwem było szukać zbiega. Cofnąłem się.

Ania miała łzy w oczach, Krysia robiła jej wymówki.

— Nic mu nie będzie — pocieszyłem — to dziecko natury, ale po co zrobiłaś mu przykrość... tyle czasu przebywasz z dzikimi i jeszcze zwracasz uwagę na takie rzeczy... lecz powiedz mi, dlaczego oni boczą się jakoś na nas?

— Bo ranimy ich uczucia religijne — odpowiedziała za Anię Basia — uważają, że to obraza bożka Słońca zakrywać się przed nim ubraniem.

— Namawiali nas na powrót do stanu natury, ale Ania stała twardo przy zasadach cywilizacji — dodała z pewnym przekąsem Krysia — Co prawda, i tak niezadługo przestałybyśmy obrażać boga Słońce, bo nasze suknie są u kresu swej wiernej służby.

— Na „Takili” — obiecałem — będziecie się mogli wystroić dowoli.

Burza zdawała się nieco uspakajać, gdy zjawił się przed nami Aba. ubrany w wielkie liście, nawet na głowie miał zielony kapelusz, zawiązany pod szyją lianą.

— Zadowolona jesteś? — spytał Ani, potem nie czekając na jej odpowiedź, zwrócił się do mnie — Nad zboczem krateru stoi ze dwadzieścia dysków i świecą na potęgę... mam nadzieję, że je pioruny wytłuką!

— Jak się burza skończy — wykrzyknąłem — sprawią nam ognistą kąpiel! Ruszamy natychmiast, bo tu nas mogą wytropić.

Pochód ruszył pośpiesznie. Deszcz, wiatr, obecność wielu dzieci opóźniały marsz, ale parliśmy niezmordowanie naprzód. Dźwigałem na plecach małego Puńczyka, poganiałem opóźniających się. W połowie wysokości zbocza krateru uderzył w nas ostatni prysznic, po czym wypogodziło się. Na niebie drgała nieśmiała zorza. Podniosły się opary. Maszerowaliśmy w dusznej, gęstej wacie, ale nikt się nie zgubił i cały pochód dotarł szczęśliwie do rozpadliny.

W sam czas. Niebo rozjaśniło się silnym pomarańczowym światłem. Wykorzystując dobrą widoczność Marsjanie przeszli do akcji. Na wyspie rozpoczęło się piekło. Tryskały z dysków słupy ognia, huczały obracane w nicość skały, płonął las. nozdrza drażnił swąd spalenizny. Dyski krążyły wściekle, obracając wszystko w perzynę. Zawdzięczaliśmy tylko wysokim ścianom wąwozu, że nas nie dostrzegli.

## Rozdział XIV

### UNGA I JEJ SKUTKI

Ewakuacja z Wyspy Złotej Bogini trwała całą noc. Nadpłynął z podwodnego miasta jeszcze jeden statek podwodny na pomoc. Przybył w nim Ojciec Piotr, który, dowiedziawszy się o uwolnieniu „Mew”, chciał je koniecznie powitać. Przyciągnęła go też wieść o plemienu Puna-Puna, które zaraz pragnął objąć swoją apostolską działalnością.

Przewieźliśmy Punów na wyspę Ava-Irta. Tetit znała ją z dawnych czasów, jako świetną kryjówkę korsarzy, i podsunęła myśl, żeby tam umieścić dzikusów. Wyspa była przecięta na

dwie części wąskim, naturalnym kanałem. Wiele „szklanych, gór”, pustych wewnątrz, dawało doskonałe schronienie.

Wiele godzin później, po południu, gdy wypaliśmy się i wypoczęli, rozpoczęła się „unga” — uczta na cześć zwycięstwa. Odbывała się ona w kolosalnej grocie, która zdawała się być salą balową zaczarowanego pałacu z bajki. Mieściła się w jednej ze „szklanych” gór i docierało do niej światło dnia, rozszczepione na wszystkie kolory tęczy. Dno stanowił miękki piasek, biały jak śnieg.

Utworzyliśmy wielki krąg wokół smakowitego jadła. Pachniały aromatycznie, pieczone w popiele i liściach świnki wenuzjańskie, tłuste ptaki „kulbi”, delikatne jaszczurki, węże i kraby. Grzyby, gorzkie zioła i rozliczne owoce uzupełniały bogate „menu”.

Purytańskie uczucia Ani musiały doznać ukojenia, bo ciała krajowców i nasze tonęły w girlandach kwiatów. Przeważał wśród nich delikatny „anadu” o fioletowych płatkach, pachnący wanilią. Punowie nazywali kwiaty „Ra-nemui” — „dziećmi słońca, a więc światłodajny bożek nie mógł się gniewać, że to one pieściły ludzkie ciała w zastępstwie złotych promieni.

Podziwiałem kobiety puńskie, że w tak krótkim czasie zdołały upleść pomysłowe tuniki i inne stroje przeróżnych kształtów. Ten delikatny z natury materiał, powiązany włókienkami z wodnej rośliny, trzymał się doskonale. Każdy strój zanurzano w specjalnym płynie, który po wyschnięciu nadawał mu nie tylko piękny połysk, ale dziwną trwałość.

Ogryzałem z apetytem soczystą nogę „kulbi”, rzucając od czasu do czasu jakie słowo mojej towarzyszce, którą była Ipli, młodsza córka wodza plemienia. Aureola gęstych, platyno-

wych włosów — wymoczyła je pewnie w wywarze z traw „puki” — wokół złotawo-brązowego oblicza, ciemne łuki brwi nad piwnymi oczami, patrzącymi na mnie nieśmiało, a ciekawe — to wszystko tworzyło wdzięczny obrazek.

Po mojej prawej stronie siedział Ojciec Piotr, Nada Piri, jak go nazywali krajowcy, w towarzystwie czcigodnej żony naczelnika plemienia. Po lewej, najpierw Ania, którą zabrał Enki, syn wodza, młodzian herkulesowej budowy. Potem Joe z kruczowłosą Omlą, starszą córą naczelnika. Omla wpatrywała się w Joe’go rozmarzonym wzrokiem, a on sam nie wyglądał na kogoś, kto tak niedawno pojął młodą i śliczną żonę. Lena, siedząca kilka miejsc dalej, zerkąła nieustannie w kierunku lekkomyślnego małżonka. Po zaciśniętych ustach poznałem, że nie aprobeuje tego, co widzi.

Ania obróciła się nagle ku mnie czymś żywo poruszona:

— Wiesz, co on mi mówi? — spytała, wskazując na Enki.

— Z zasady nie podsłuchuję ...

— Twierdzi, że przebywając tak długo z nimi, stałyśmy się członkami plemienia i musimy pozostać tutaj. Dodaje beczelnie, że się ze mną ożeni ...

— Łap go, póki ma ochotę, dziewczyno! chłop jak malowanie, ród królewski ...

— Nie wygłupiaj się! Czy nie wyniknie z tego jaki kłopot przy odjeździe? Nie chciałabym, żeby nasza znajomość zakończyła się konfliktem ...

— Zaczynasz się do nich przekonywać.

— Zawsze ich lubiłam, a teraz, gdy są już możliwie ubrani, całkiem mi się podobają ..

— A Enki szczególnie ...



— Znowu głupstwa pleciesz... odpowiedz na pytanie!

Słyszając wymianę zdań, zwrócił się do nas Ojciec Piotr:

— Co za kłótnia i zły przykład dla tych niewinnych krajowców?

— Nie kłóćmy się, tylko Andrzej usiłuje być dowcipny. Ale, Ojczy, mam nadzieję, że Ojciec nakłoni tych „niewinnych”, — wymówiła to słowo z ironią — żeby już stale chodzili w kwiatkach czy w innym odzieniu?

— Ani mi się śni, wyrządziłbym im krzywdę...

— Krzywdę? — Anię aż zatkało.

— Stwarzając trudności dotąd im nie znane ... Oni są, jak dzieci, nieświadomi swej nagości, a tym bardziej zła, jakie kojarzą z nią nasze zepsute umysły. W swoim ciebie, które według ich wierzeń jest najpiękniejszym dziełem Boga-Słońca, widzą coś tak zwykłego, jak ta dżungla, co ich otacza, to morze i niebo nad głowami ...

— Tymczasem my na ziemi — wtrąciłem się — zakrywamy je faryzejsko na co dzień, żeby na nim zarabiać potem miliony, ukazując je nieprzyzwoicie na scenie, na ekranie, w pismach i „niedoubranej” modzie.

Ania wzruszyła ramionami.

— To przyznaję, ale chyba nie sugerujesz przez to, że i my mamy przyjąć zwyczaje Puna-Puna?

— Ja nie... — zacząłem, ale mi przerwał Nada Piri.

— Może to byłaby nienajgorsza myśl, przynajmniej dla ciebie .... bo pozbyłabyś się i wewnętrznych niepotrzebnych skrępowań.

Ania spojrzała na niego niedowierzająco, jakby własnym uszom nie wierząc, a on ciągnął dalej:

— Ja ciebie. Aniu, bardzo szanuję i kocham, bo jesteś wartościową dziewczyną, z mocnymi zasadami, ale za mało trochę w tobie prostoty i bezpośredniości, może zanadto jesteś niewolnicą konwenansu i utartych formułek, zbyt „usztywniona” wobec życia i jego codziennych problemów... to nie tylko chodzi o Puna-Puna ... ale i w innych wypadkach to zaobserwowałem.

Biedna Ania zarumieniła się. Ojciec Piotr powinien był jej to powiedzieć w cztery oczy, a nie przy mnie. Nie odpowiedziała nic. Obróciła się z powrotem do swego „Herkulesa” i coś mu gorąco tłumaczyła.

Ojciec Piotr zaś obrzucił serdecznym wzrokiem krąg biesiadników i rzekł ciepłym głosem:

— Podobają mi się ci Puńczycy, tyle w nich pierwotnej świeżości ... gotów bym i swoją skórę zdjąć, byle ich pozyskać dla Boga.

Rozdawano właśnie musujący, zielonkawy napój „muna”, który powoduje przyjemne, a niewinne halucynacje, gdy do groty wbiegła Paumi. Aba, nadal obrażony za zarzuconą mu „dzikość”, boczył się na cały świat i pozostał na „Takili”. Paumi dotrzymywała mu towarzystwa. Przyniosła teraz wiadomość, że sam gubernator Wenus, Nara, połączył się z „Takilą” i chce natychmiast rozmawiać ze mną.

Zerwałem się z miejsca. Ipli powstała także i wbrew protestowi pobiegła za mną. „Takila” stała w naturalnym kanale, niedaleko od miejsca uczty, pod występem „szklanej” skały.

— Paumi nie wróci? — spytał rozczarowany Aba, widząc tylko mnie i Ipli.

— Zatrzymali ją młodzi Punowie — odparłem — a ona nie broniła się zbyttnio ...

— To może i ja pójde, — rzekł niepewnie — ale jak mnie uważacie za dzikusa ...

— Nie bądź nim rzeczywiście ... człowiek naprawdę cywilizowany nie obraża się o byle co. Zrzuć urazę z serca i pędź na „ungę”!

— Nie mam kwietnego stroju.

— Dadzą ci, Paumi zaraz przybrali.

Wybiegł. Zszedłem do kajuty kapitańskiej i nastawiłem telewizor. Ipli myszkowała po kabinie, dotykała wszystkiego i cieszyła się każdym szczegółem, jak małe dziecko.

Na ekranie ukazała się wygolona głowa Nary. Przyglądał mi się długo bez słów. Wyrzekł wreszcie:

— Przepraszam cię, Andra, za mój postępek. Myślałem, że czynię rzecz właściwą odbierając ci pamięć i wracając na ziemię ... pomyliłem się. Jestem aż nadto ukarany ... gorzej... cała Wenus cierpi.

Na twarzy starca malowała się boleść. Wychudł. Sowie z natury oczy zdawały się jeszcze większe niż zwykle — otaczały je teraz sine obwódki.

Żal mi go było.

— Nie gniewam się, — odparłem krótko — a i my zawiniłiśmy uciekając z księżyca. Czy mogę być ci w czymś pomocny?

Zmarszczył czoło.

— Właśnie dlatego skomunikowałem się z tobą. Czy mówisz po marsyjsku?

— Trochę się poduczyłem. Proste zdania sklecę.

— Czy wiesz, że Marsjanie odbudowują nasze instalacje, wytwarzające pole kontrolne wokół Wenus? Gdy je skończą, utrwali to ich władzę nad planetą pewniej, niż wyprodukowanie tysięcy nowych dysków bojowych.

— Jak wpadli na sekret tych urządzeń?

— Dostał się w ich ręce Solax, naczelny inżynier. Zmusili go do współpracy. To genialny uczony, ale nigdy nie miał powołania na bohatera i męczennika. Jeśli nie dotrzemy do niego w porę ...

— To chyba fraszka dla niewidzialnych agentów?

— Niestety, jedyne wejście do urządzeń wyposażone jest w „wykrywacze” niewidzialnych. Marsjanie zagarnęli cały skład tych wykrywaczy i samych aparatów uniewidzialniających. Nikt się tam nic wciśnie. Straciłem kilku dzielnych ludzi. Usiłowaliśmy się podkopać, wykryli ...

— A nie można by zahipnotyzować Solaxa na odległość?

— Czegośmy nic próbowali! Okazuje się, że Marsjanie włożyli mu na głowę specjalną siatkę, odcinającą wszelkie wpływy telepatyczne ... Ale to dobrze, Andra, że masz od razu tyle pomysłów ... Ja też mam pewną ideę i dlatego wysyłam po ciebie natychmiast specjalny dysk podwodny.

— A gdzie jesteś?

— W lochach pod Kamiru.

W czasie rozmowy Ipli odkryła wielkie lustro w rogu kabiny i przyglądała się sobie ze wszystkich stron. Stroiła przy tym komiczne miny, wyginała się w lewo i prawo. Znudziła się wreszcie swoją osobą i podeszła do telewizora. Zdumiała ją pomniejszona głowa Nary w trójwymiarowym obrazie. Usiłowała go dotknąć. Palec natrafił na szklany ekran.

— Siadaj i nie przeszkadzaj! — powiedziałem niecierpliwie.

Zauważył ją Nara.

— Co to za ukwiecione cudo? — spytał, a jego umęczoną twarz opromienił na moment błysk uśmiechu — Czy to może owa „wskrzeszona” Wenuzjanka sprzed tysięcy lat?

— Nie ... to ... — plątałem się zmieszany — uwolniliśmy wczoraj jedno plemię z niewoli marsyjskiej i wyprawiają nam dzisiaj „unge”. To jest Ipli, córka wodza, która tu ze mną przybiegła, nic wiadomo po co ...

— Czy naprawdę nie wiadomo? To w złą porę cię wywołałem ... Winszuję gustu ... ten pszeniczny kolor włosów... ta figurka ...

Cmoknął ustami.

— Ale ja wcale ...

— Nic, nic ... baw się, Andra, póki czas, bo cię tu może złapać inna kochanka człowieka ... śmierć.

Telewizor zgasł. Zimny dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Musiał stary zakrakać na koniec? niech go ...

Siedziałem bez słowa. Obróciłem wzrok ku Ipli, nie widząc jej. Myśl błądziła po podziemiach Kamiru. Dziewczynie nie podobał się mój mętny i nieobecny wzrok. Zebrała na odwagę i machnęła mi ręką przed oczyma. Zaśmiała się przy tym perlistym śmiechem, ukazując niemniej perliste ząbki. Nie mogłem jej nie zauważyć.

W tym „klik”, „klik”, coś stuknęło w głowie. To Tetit się odzywa. Czego chce?

— Andra, Andra, tu Joe przepadł beznadziejnie, a tam Ipli hipnotyzuje cię jak wąż ptaka, uważaj!

Czułem, że się czerwienię, lecz zażenowanie ustąpiło wkrótce złości.

— Gdy Nara rozprawiał o losach planety, o życiu i śmierci, powierzał mi niebezpieczną misję — poszła ku Tetit gwałtowna odpowiedź — panny Tetit nie było, ledwo zaś popatrzyłem na to śliczne i niewinne stworzonko, panna Tetit się włącza ... myśl sobie o swoim Avaru błądzącym w przestrzeni ...!

— O jej, Andra! nie ślij tak swego gniewu, to boli! — skarżyła się — jakby mi kto ostre szpilki wbijał w mózg!

— To trudno! — odpowiedziałem szorstko — Nie ja jestem winien.

„Klik” — Tetit wyłączyła się. Jeszcze moment temu obejmowałem jej oczami szklaną grootę, krajowca grającego pałeczką na kryształach, tańczące dzieci, a teraz ... ciemność.

W tym i ja odkryłem sekret: „klik” — i ja zamknąłem szczelnie drzwi umysłu i serca ... nikt się do nich nie wedrze nieproszony ... Będę sobie patrzył na Ipli, jeśli mi się tak podoba, niech mnie hipnotyzuje!

„Takila” drgnęła, opuszczała się pod wodę. Ipli krzyknęła. Przez przezroczysty sufit i ściany kabiny zaglądały do nas żółte ryby i czerwone meduzy. Pobiegłem do wieżyczki. Na fotelach przed aparatami siedzieli Aba i Paumi. Dziewczynka w kwietnym wieńcu, chłopak powiesił swój na lewarku.

— Co się stało?

Paumi obróciła się do mnie i mrugnęła ostrzegawczo. Lepiej się nie pytać. Coś się Abie nie spodobało na uczcie.

— Patrz! — Aba wskazał na ekran, gdzie tańczyły świetlne punkciki — dyski marsyjskie kręcą się w okolicy, wola-

łem opuścić „Takile” pod wodę ... Wróciliśmy z uczty, nie ma tam co robić zjedli najlepsze kęski ...

Paumi trzymała w ręku dwie tykwy z musującym napojem „muna”.

— Zabraliśmy tylko „kiki-kiki” — użyła wyrazu puńskiego — macie! ta dla was, druga dla nas.

Zszedłem na dół do kajuty z napojem w ręku. Zastałem Ipli podskakującą na sprężynującym tapczanie, piszcząca z uciechy.

— Złaż panna z tego! — krzyknąłem, usiłując przylepić jej klapsa — Popsujesz! masz, napij się „kiki-kiki”!

Zeskoczyła i przytknęła tykwę do ust. Podała mnie. Piłem musujący płyn z przyjemnością. Miał świetny kwaskowaty smak. Orzeźwiało. Lecz co to? Przedemną stoją trzy Iple, rosną. Kajuta rozszerza się do rozmiarów katedry. Z lustra wychodzi Joasia, ma włosy zielone, a z oczu strzelają jej czerwone promienie, środkiem kajuty pędzi słoń. oczywiście różowy.

Ipli też musi widzieć coś niezwykłego, bo najpierw krzyczy w udanym przerażeniu, wskazując na mnie, potem wije się na tapczanie ze śmiechu ... a może tak mi się tylko wydaje, bo już nie wiem, co się dzieje naprawdę, a co jest złudzeniem. Aba i Paumi wpadają do kajuty, są rzeczywiście przerażeni. Podobnie jak i ja nigdy nie kosztowali „muny”. Uspakajam ich, tłumaczę, język jakoś jeszcze działa normalnie. Zaczyna im się to podobać. Widzimy cudne barwy, obrazy zapierające oddech lub napełniające śmiechem.

Ustać już nie można na nogach. Cała czwórka pada na tapczan. Jedno przez drugie wykrzykuje, co widzi i kim wydają się być towarzysze. Nie ma mowy o powrocie na ucztę.

Nikt się na nas nie pogniewał, że nie wróciliśmy, wszyscy bowiem pili „munę” i nie wiedzieli, kto był obecny, a kto nie. Napój nie pozostawił żadnych ujemnych skutków. Nazajutrz po uczcie czuliśmy się doskonale ... z wyjątkiem Leny. Joe bowiem oszalał za piękną Omlą. Chyba go zaczarowała, bo się nawet z tym nie krył. Lena przemówiła mu raz i drugi do sumienia. Zbył ją wykrętami:

— O co ci chodzi? Nigdy nic przypuszczałem, że jesteś tak niemądrze zazdrosna ... Lubię Omlę, bo mi przypomina moją siostrę Betty ... Poza tym uczy mnie języka, wprowadza w tajniki życia na łonie wenuzjańskiej natury ... To się przyda.

W te same tajniki mogła go wprowadzać Lena, Kini, ja nawet... ale nie z nami chodził na polowanie, łowił ryby, wdrapywał się na wysokie drzewa ... Raz spadł i potłukł się porządnie ... dobrze tak pawianowi!

Lena znosiła los z godnością. Nie starałem się jej pocieszać, bo mi jakoś nie wypadało; a nawet diablik w jakimś zakątku duszy cieszył się troszkę — „wolałaś innego, masz teraz!”

Kini zajęty był swoją Zulą, Aba nie odstępował Paumi i trzymał się z dala od puńskich chłopaków. Tetit zaprzyjaźniła się z Joasią i poszukiwała po grotach skarbów, które podobno jej wuj ukrył dla niej na tej wyspie, przed tysiącami lat.

Ania przebywała najczęściej z Enki. W drodze kompromisu oboje chodzili nadal w kwietnych strojach, ale młody Puńczyk na pewno zgodziłby się i palto zimowe założyć, byleby przypodobać się Ani. Ta wzajemna sympatia zaczęła się jeszcze na Wyspie Żłotej Bogini, gdy w czasie marszu przez dżunglę dziewczyna uderzyła się mocno w kolano i Enki niósł



ją ofiarnie aż do miejsca, gdzie czekał statek. Ania wstydziła się początkowo tego wzbierającego uczucia do „dzikusa”, ale słowa ks. Piotra w czasie uczyty zrobiły na niej wrażenie i dały wiele do myślenia. Starła się teraz być prostsza i swobodniejsza, co jej na razie dość niezgrabnie wychodziło. Nie kryła się też już z tym, że Enki bardzo się jej podoba.

Ja najczęściej przebywałem teraz z Krysią i Basią oraz z Ipli, od której nie mogłem się w żaden sposób odczepić. Ponieważ dziewczęta były zapalonymi miłośniczkami podmorskich przygód, więc pływaliśmy — w specjalnych maskach pobierających tlen bezpośrednio z wody — po kilka godzin dziennie. Dno kanału przecinającego wyspę na pół, to niebywałej piękności ogród podwodny. Pływało tam też sporo gigantycznych meduz. Ipli zaplątała się nieostrożnie w wiotki płaszcz jednej z nich. Z trudem odciąłem ją od lepkich zwojów. Czyniąc to nie naraziłem ani życia, ani zdrowia. Meduza tonie ośmiornica. Niemniej od tej chwili Ipli nie widziała światła poza mną, a ja nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić.

Nada Piri odprawiał co rano dla nas Mszę św. w niewielkiej, szklanej grocie, a potem dołączał się do tej lub tamtej gromadki Puńczyków, udających się na zwiedzanie nowej ojczyzny. Byli z wyspy bardzo zadowoleni. Dla Ojca Piotra, mieli wiele szacunku, podbił ich urokiem swej osobowości, ale jego apostołstwo natrafiło na trudności. Podobnie jak dla Tetit, tak i dla nich Bóg umierający na krzyżu był czymś niepojętym.

Ta sielanka na Ava-Irta musiała się niedługo skończyć. Czekaliśmy tylko na dysk z Kamiru, po czym „Takila” miałam ruszyć na dalsze zwiady, już beze mnie.

## Rozdział XV

### OPERACJA „SOLAX”

Dysk przybył dopiero po sześciu dniach. Przybiegł Aba, by mnie zawiadomić. Łowiłem właśnie ryby przy wodospadzie. Gdy dochodziłem do wybrzeża, spomiędzy drzew wyłonił się Joe. Zatrzymał mnie.

— Słyszałem, że dysk przybył — rzekł — Andrzeju, wyświadczyć mi wielką przysługę i zabierz mnie ze sobą.

— Nara wzywa tylko mnie — odpowiedziałem chłodno.

— Ja się też przydam — złapał mnie za rękę — nie odmawiaj! Jestem łajdakiem. Omla opętała mnie ... Sam nie wiem, jak mogłem być tak niedobry i niewdzięczny wobec Leny. Nie spojrzę więcej w jej oczy. Ona mi nigdy nie daruje. Jedyne wyjście, to jechać z tobą i zginąć.

— Zaraz, zaraz ... Wcale się nie wybieram ginąć ...Ale dobrze, wezmę cię z sobą. Cieszę się, żeś oprzytomniał.

Krótkie pożegnanie przyjaciół na plaży w cieniu łubinowych palm. Joe niepewnie zbliżył się do Leny. Rzuciła mu się z płaczem na szyję. Omla zaraz zrobiła to samo. Nie bronił się. Wszedł do dysku. Lena objęła Omlę ramieniem. Obie miały łzy w oczach.

I ja mówię „do widzenia”: uścisk dłoni Kiniego i Aby, serdeczne całusy „Mewom” i Ipli. Paumi zawisła na szyi i nie chce puścić. Okrzyki krajowców. Coś mnie ściska w dołku.

Wśród żegnających nie ma ks. Piotra; wyprawił się gdzieś w głąb dżungli. Nie ma też Tetit i Joasi: szperają po grotach.

Dysk zanurzył się w falach morskich. Dzięki otaczającemu go polu próżniowemu pędził z wielką szybkością. Siedzieliśmy z Joe’em w wygodnych fotelach smutni i milczący. On przeżuwał swoją winę, mnie bolało rozstanie z przyjaciółmi i to, że nie pożegnałem się z Tetit i Joasią. Od owej telepatycznej kłótni nie było z Tetit wewnętrznego kontaktu. Zamknęliśmy się oboje wobec siebie. Tylko z Joasią rozmawiałem od czasu do czasu. I w tej chwili zawiadomiłem ją o odjeździe ... Zanim zdołała zareagować na wiadomość, odczułem „obecność” Tetit

— Czy można? — zapytała nieśmiało.

— Oczywiście ...

— Andra, jesteś obrzydliwy! Czemu nie zawiadomiłeś mnie i nie poczekałeś?

\* \* \*

Całą armię podziemną Nary stanowiło kilkunastu ludzi. Starsi głównie radzili, młodszy patrolowali nieustannie podziemskie lochy i wykute w skale komnaty. Zachodziła obawa, że Marsjanie przenikną do nich lada moment. Odkryli już niejedno przejście, które Wenuszanie musieli natychmiast zaważyć, zatopić lub wypełnić żrąco-trującym gazem.

— Nie będę ukrywał — powiedział nam Nara po przybyciu — że sytuacja jest poważna. To, że oni nas wcześniej czy później stąd wykurzą, to jeszcze nic. Gorzej, że odbudowa instalacji postępuje szybko naprzód. Gdy ukończą, żaden dysk nie przeniknie pola ochronnego bez zgody Marsjan.

— Może znajdą sposób na przeniknięcie pola.

— Nie. Nasi rodacy nie byli przygotowani do wojny, a gdy zdołają wystawić wreszcie dość silną flotę i pokonają Marsjan w przestrzeni, Wenus będzie dla nich zamknięta.

— Może znajdą sposób na przeniknięcie pola.

— Wątpię.

— Czy wobec tego nie należy wysadzić w powietrze całej instalacji nawet z miastem?

— Mogę to zrobić natychmiast, ale skutki będą fatalne. Ten gigantyczny mózg, kontrolujący planetę, został tylko częściowo uszkodzony: znikło pole ochronne, osłabło pole tłumiące władze parapsychiczne w człowieku, Wenus zwolniła obroty wokół osi; dochodzą wieści o katastrofalnych zakłóceniach pogody, o gwałtownym rozmnażaniu się i wzroście pewnych owadów... ale najgorsze nie przyszło, bo kilka pól działa nadal.

— Co to jest to „najgorsze”? — spytałem zaintrygowany.

— Kiedy przybyliśmy na Wenus dziesiątki tysięcy lat temu, zastaliśmy świat zupełnie inny od ziemskiego... wspaniały w swoim rodzaju, urzekający bujnością form życia, lecz wrogi człowiekowi. Uczyniliśmy go tym, czym jest obecnie: nieomal rajem. Gdy wypuścimy cugle z rąk, gdy pozostanie tylko naturalne pole życiowe planety, niesłychanie silne mutacje zaczną zachodzić błyskawicznie ... przestaniemy być ludźmi ...

— To może lepiej?

Pokręcił smutno głową.

— To nie będzie skok wzwyż. Ciało twoje pokryje się włosami, przednie części mózgu przestaną działać, będziesz czymś w rodzaju satyra leśnego, goniącego tylko za jedzeniem, walką, seksem ...

Wstrząsnąłem się.

— A więc jedyny ratunek — powiedziałem — to tylko wstrzymanie dalszej naprawy urządzeń, czyli unieszkodliwienie Solaxa.

— Tak. Dobrze, że przywiozłeś swego przyjaciela. Chcę wykorzystać fakt, że Marsjanie nie wiedzą o powrocie waszych dusz do waszych ciał ...

— Niestety wiedzą, bo Broxan na pewno to rozgłosił..

— Któż to jest Broxan?

Objąłem się. Nara zmartwił się.

— To już nie wiem co zrobić — rzekł przygnębiony.

Studiowaliśmy sytuację w mieście przez wielki telewizor.

Nie było zakątka Kamiru, który mógłby ukryć się przed nami. Śledziliśmy ruchy Solaxa, postęp prac, zmieniające się warty, ochronę instalacji.

Po trzech dniach zrodził się plan. Prosty i śmiały, ale właśnie dlatego mógł się udać. Przemyśleliśmy każdy szczegół, jednego, niestety, nie można było przewidzieć: przypadku. Choć Tetit twierdziła, że nie ma przypadków...

Akcja miała się rozpocząć nazajutrz rano. Leżała przed nami długa noc przygotowań i oczekiwania. Czułem w tej chwili potrzebę kogoś bliskiego, serdecznego. Ileż bym dał za możliwość telepatycznego kontaktu z Tetit. Tymczasem od momentu przyjazdu do podziemi w dzień i w noc nie wolno nam było zdjąć z głowy specjalnych hełmów, chroniących naszą myśl od obcego wglądu. I wróg mógł posiadać uzdolnionych telepatów, szczególnie po osłabieniu pola tłumiącego, i odkryć nasze plany.

Dla odwrócenia myśli od czekającej akcji poszedłem odwiedzić Ndauni, doradcę Nary. Opiekował się archiwami, zawierającymi historię tysięcy lat. Wywożono je teraz gwałtownie w bezpieczniejsze miejsce. Ndauni był bardzo zajęty, lecz na mój widok przerwał nadzór nad pakowaniem i spytał, czego chcę.

Poprosiłem go o odszukanie w archiwach dziejów wyprawy w przestrzeń owego Avaru, tak drogiego Tetit. Ponieważ ten dział dokumentów nie został jeszcze ewakuowany, Ndauni znalazł natychmiast to, o co mi chodziło.

Avaru dotarł szczęśliwie do celu, lecz ku swemu zdumieniu zastał na odkrytej planecie Wenuzjan, urodzonych o wiele później od niego. W parę set lat po jego odjeździe odkryto na Wenus sposób szybszego poruszania się w przestrzeni. Dzięki temu inny statek kosmiczny wylądował wcześniej niż on na nowej planecie. Avaru i załogę powitano tam entu-

zjastycznie jako bohaterów kosmosu. On sam zrezygnował z dalszych wypraw międzygwiazdnych, ożenił się z kobietą lekarzem, członkiem swej załogi i pozostał wśród kolonistów.

— A więc twoja Tetit — stwierdził z uśmiechem Ndauni — nie doczeka się Avaru. Może najwyżej poszukać sobie męża pośród jego pra-pra-wnuków, syn jego bowiem wrócił na Wenus ... Między innymi Nara jest jego potomkiem i to nie-żonatym ...

Biedna Tetit. Jak przyjmie tę wiadomość? Trzeba ją szybko zawiadomić, by przestała żyć fałszywą nadzieją. Pożegnałem Ndauniego i poszedłem pisać list do Tetit, który Nara obiecał jej przesłać przy pierwszej okazji.

„Kiedy będziesz czytać te słowa” — pisałem — „może mnie już nie będzie na świecie .”

W strojach marsyjskich, z pasami do uniewidzialniania się i hełmami, z dezintegratorami w rękach, Joe i ja wychyliliśmy się z lochów na boczną i pustą uliczkę w podziemnym Kamiru. Szliśmy „widzialnie”, żeby nie wpadł na nas jaki przechodzień. A na główniejszych ulicach było ich sporo, przeważnie Marsjanie. Udawaliśmy patrol wojskowy. Kręciło się ich wiele po mieście. Wypatrywali niewidzialnych agentów wenuzjańskich i mieli oko na nie-Marsjan.

Szedłem z towarzyszem pewnym krokiem, mając trasę marszu wrytą dokładnie w pamięci. Nikt nas nie zatrzymał, tylko jedna Marsjanka zapytała o drogę. Zbyłem ją krótkim „nie wiem”. Doszliśmy do domu w bocznej ulicy, gdzie mieszkał główny nadzorca instalacji kontrolnych planety, Marsjanin. „Dom” — była to gładka ściana ulicy ze stalowymi drzwiami. Ustawiliśmy się po obu stronach, spokojni na ze-

wnątrz, pełni napięcia wewnątrz. Zgodnie z teorią Tetit nie dopuszczałem nawet myśli, że może się coś nie udać, coś nas zaskoczyć, wyobrażałem sobie nas obu powracających w triumfie ... niemniej duszę miałem na ramieniu.

Każdego rana dokładnie o tej samej porze, nadzorca Buldex wychodził stąd w otoczeniu dwóch strażników, udając się do instalacji. Dzisiaj Joe i ja mieliśmy podjąć rolę jego „aniołów stróżów”. Spoglądałem nerwowo ku prawej stronie ulicy, czy się stamtąd nie ukażą prawdziwi strażnicy. Kilka minut temu, w poprzek niewielkiej uliczki, którą prawie nikt nie chodził, przeciągnęliśmy drut włączony do specjalnego aparaciku. Kto ten drut przestąpił, rozwiewał się w nicość. Tą właśnie uliczką szli codzienne z koszar strażnicy Buldexa. A nuż ich coś tknęło i wybrali inną drogę?

Ktoś idzie ... to nie strażnicy — pojedynczy przechodzień. Zbliży się do nas, pyta o coś, czego nie rozumiem. Co robić? Może najlepiej stać z kamienną twarzą i nic nie mówić, ale jak on na to zareaguje? Może to nie zwykły przechodzień, ale jakaś ważniejsza osobistość ... W tej chwili otwierają się drzwi i kłopotliwy interesant zwraca się bezpośrednio do wychodzącego Buldexa.

Za plecami Marsjanina ukazuje się we drzwiach druga postać. Serce mi idzie do gardła — to Broxan. Jakie лихо go tu nadało? Czy nie możemy się przestać spotykać? Na głowie mamy hełmy, na oczach okulary, części ciała widoczne spoza promieniowego stroju, wybielone. Nie może nas poznać ... chyba po zapachu ciała ... chociaż wysmarowaliśmy je specjalnie spreparowanym płynem, który zabijał naszą woń, a



na jej miejsce wprowadzał charakterystyczny zapach Marsjan ...

Dlaczego tamci dwaj tak długo rozmawiają? Niech Broxan znudzony, zechce uciąć z nami pogawędkę, a zaraz pozna mnie po głosie. Na szczęście Broxan stoi milczący, wyniosły. Wyżsi Marsjanie nie pospolitują się z byle strażnikiem. Kocham ich za to w tej chwili.

Przechodzień, czy ktokolwiek to był, odszedł. Buldex wręcza nam białe płytki z cyframi — przepustki. Według programu robimy się niewidzialni i maszerujemy krok w krok za nim i Broxanem.

Weszliśmy na plac. Pośrodku wznosi się prostokątna bryła budowli, mieszczącej instalacje. Jedyne wejście to stalowe drzwi. Dawniej było ich więcej na różnych poziomach, obecnie wszystkie zamurowano czy zablokowano. Budowlę otacza porażający kabel, znany mi już z Wyspy Złotej Bogini. Jedyne przejście strzeżone jest przez niewidzialnych żołnierzy. Widzimy ich, widzą nas, dzięki specjalnym okularom. Cała nasza czwórka wznosi ku górze przepustki. Strażnik nas przepuszcza. Podobna kontrola przed stalowymi drzwiami. Otworzyły się. Wchodzimy do wnętrza. Jeszcze raz sprawdzają białe płytki.

Wszystko idzie jak z płatka ... aż mi się nie chce wierzyć, że jesteśmy już we wnętrzu budowli, do której tyłu nie udało się wdrzeć. Wybierali sposoby zbyt skomplikowane lub używali siły. A oto my — tak prosto i łatwo. Lepiej niż James Bond czy „Man from U.N.C.L.E.”

Korytarz. Zjazd windą antygravitacyjną w dół. Znowu korytarz. Wiem doskonale, gdzie jesteśmy. Przystudiowa-

łem telewizorem każdy zakątek budowli. Zaraz skrócimy w lewo i zobaczymy wejście do sali, gdzie pracuje Solax, uczony zdrajca. Za parę minut może już nie żyć. Dobrze, że to nie ja własnymi rękami mam go „sprzątnąć”. Czy zdobyłbym się na cios w plecy, ukradkiem? Chyba nie.

Przed wejściem na salę dwóch niewidzialnych strażników. Podnosimy w górę przepustki. Puszczają nas. Jesteśmy już w wielkiej hali, pełnej przyrządów. Na długich stołach leżą plany. Stajemy po obu stronach zamkniętych drzwi. Mamy tu tkwić, póki Buldex nie zdecyduje się na powrót do domu lub uda się do innej części budynku.

Solaxa, choć obrócony jest tyłem do nas, rozpoznaję natychmiast po wenuzjańskiej zanie. Na głowie ma antytelepatyczny hełm. Poza nim na sali znajduje się kilkunastu Marsjan. Pochylają się nad planami lub obsługują przyrządy. Zdaje się, że nikt nie wie o naszej niewidzialnej obecności.

Buldex i Broxan podchodzą do Solaxa, który podnosi głowę znad planów. Wita się z nimi bez służalczości, a nawet jakby z pewną wyższością. Obrócił się. Ma niezwykle gęste brwi, które często marszczy. Gruby kark, potężne ramiona, powinny należeć raczej do atlety niż do uczonego. Rozmowa trwa krótko. Buldex odchodzi, pokazuje Broxanowi plany, przyrządy, objaśnia. Widocznie Broxan jest tu po raz pierwszy.

Czas działać. Podchodzę cicho do Solaxa i u spodu jego zany wpinam szpilkę o czarnym łebku. Wystarczy teraz, by Na ra przycisnął jeden z guziczków w swojej kryjówce, a Solax padnie sparaliżowany lub martwy.

Pochylam się nad uchem uczonego i szepczę. Nikt inny nie usłyszy, są za daleko. Zresztą rozmowy prowadzone w sali

głuszą moje słowa. Solax ani drgnął. Dopiero po chwili, jakby od niechcienia rzucił za siebie wzrokiem. Nikogo oczywiście nie zobaczył. Informuję, że przysłał mnie Nara. Jako znak rozpoznawczy podaję wydarzenie znane tylko im obu. Pytam się, czy zechce przekazać jakieś polecenie czy wiadomość Narze.

Zastanawia się, wreszcie pyta, jakby coś mruzczał do siebie:

- Czy Nara obserwuje mnie przez telewizor?
- Tak.
- Jesteś sam, czy jest was więcej?
- Jest nas dwóch.

Nie podoba mi się ta indagacja. Czy nie zaczniesz krzyczeć: „łapcie szpiegów!”?

Milczy, wobec tego zaczynam:

— Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji odnowienia pola ochronnego wokół planety?

Podniósł brwi śmiesznym ruchem niemal do połowy czoła i przerwał mi niecierpliwie:

— Masz mnie za durnia?

Usunąłem się na bok, bo Buldex przyszedł z jakimś pytaniem. Korzystając z przerwy w rozmowie nakreśliłem w powietrzu kilka umówionych znaków. Powiedziały obserwującemu nas Narze, że sytuacja jest niejasna. Niech jeszcze czeka.

Gdy Buldex oddalił się ponownie na bezpieczną odległość, szepnąłem Solaxowi w ucho:

— Jestem.

Skinął głową, że słyszy. Podniósł brwi znowu do góry i trwał tak, coś rozważając. Wreszcie szepnął:

— Zaraz zabiorę Buldexa i tego drugiego Marsjanina do innej sali. Uruchomię tam jeden z przyrządów. Gdy odejdziemy od niego i przejdziemy do następnego pomieszczenia, musicie do wnętrza przyrządu wsadzić po kolei przynajmniej trzech Marsjan, przyciskając zarazem guzik, który ci wskaże Marsjanie powinni być nieprzytomni, lecz żywi. Potem uciekajcie! Nara z samej obserwacji zorientuje się, o co chodzi Wykonacie to?

— Zrobi się.

— Żaden z Marsjan nie może wiedzieć, ani nawet podejrzewać, że siedział w tym przyrządzie. Jeśli was złapią, ani słowa o tym, co wam nakazałem. Musicie znieść nawet tortury, bo od utrzymania sekretu zależą losy Wenus.

Natychmiast przystąpił do dzieła. Podeszedł do Buldexa i Broxana i coś im żywo przedkładał. We trójkę opuścili salę. My za nimi krok w krok. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było olbrzymie i zastawione masą instrumentów. Solax stał długo przed wielką tablicą z tysiącem tarcz, przełączników, lampek; objaśniał. To nic mogło być TO, bo gdzie tu wstawiać Marsjan? Poszedł dalej. Zatrzymał się przed urządzeniem, które przypominało budkę telefoniczną. Przycisnął kilka guziczków na białej tarczy. Rzucił parę uwag towarzyszących i poszedł dalej. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, cofnął się i wskazał palcem na ostatni guzik z prawej strony. Po czym kontynuował dalej swą wędrówkę z Marsjanami.

Zajęty ruchami Solaxa nie zauważyłem, że Joe zniknął z sali. Obejrzałem się dopiero teraz i serce we mnie zamarło. Co się z nim stało? Lecz oto ukazuje się we drzwiach, taszcząc na barkach niewidzialnego strażnika marsyjskiego.

— Zaglądał tu dwukrotnie, więc poszedłem za nim — szepnął — Mamy już jednego.

— Brawo! Wsadzaj go do tej budki! Na nią wskazał Solax.

Z pewną trudnością umieściliśmy nieprzytomnego na fotelu w budce. Przycisnąłem wskazany przez Solaxa guziczek. W maszynie coś zaburczało, zapaliło się kilka lampek, wyskoczyły jakieś cyfry i znaki.

Solaxa z towarzyszami nie było już w sali. Wyciągnęliśmy naszą ofiarę z budki i posadziliśmy w kącie.

— Teraz po następnych!

Wyjrzelśmy na korytarz. Mignęły nam plecy pięciu oddalających się Marsjan.

— Atakujemy ich? — spytałem Joe'go.

— Lepiej zabierzmy tych dwóch niewidzialnych strażników, co pilnują głównej sali.

— Jak znikną, powstanie alarm ...

— Może nie zaraz, nikt ich nie widzi, a zresztą grunt jak najszybciej zrobić, co nam kazał Solax ... a potem niech nas zabijają!

— Tylko bez samobójczych tendencji! ... o, idzie dwóch niewidzialnych ...

Ustawiliśmy się przy drzwiach, niby pełniąc straż. Nadchodzący podeszli do nas.

— Co wy tu pilnujecie? — spytał jeden ze zdziwieniem. Jako odpowiedź otrzymali błyskawiczne ukłucia zatrutymi strzałkami. Znaleźli się potem jeden po drugim w budce, a po wypełnieniu zadania zasiedli obok swego poprzednika pod ścianą.

Przeszliśmy natychmiast do sąsiedniej sali. Tam Solax objaśniał niestrudzenie Buldexa i Broxana. Obaj mieli znudzone miny i słuchali przysłowiowym „półgębkiem”. Stuknąłem Solaxa porozumiewawczo w plecy. Zaraz skończył swój wykład, ku wyraźnej uldze słuchaczy, i zawrócił z nimi do sali, która przed chwałą była świadkiem naszego bohaterskiego czynu.

Coś tam jeszcze tłumaczył przy gigantycznej maszynie w drugim rogu sali, po czym podszedł do budki. Zatrzymał się przy niej na mgnienie oka. Brwi poszły mu znowu w górę, gdy zerknął na znaki i cyfry na tarczy. Przycisnął jeden i drugi guzik. Znaki znikły. Na twarzy malowało mu się zadowolenie.

## Rozdział XVI

### WENUS WYZWOLONA

Zmierzaliśmy ku wyjściu, gdy Broxan, zaciekawiony nagle jakimś szczegółem, oderwał się od naszej grupy. Szedł prosto na siedzących pod ścianą nieprzytomnych strażników. Nim zdołaliśmy zareagować w jakiś rozsądny sposób, potknął się o nogi pierwszego.

Uwidziałniłem się i podbiegłszy do niego, pomogłem mu się podnieść. Zwrócił się do mnie:

— Co tam leży?

Co mu odpowiedzieć? Jak się odezwę, głos mnie zdradzi. Chcąc zyskać na czasie, lekceważąco wzruszyłem ramionami, jakbym mówił, że to nieważne i nie ma się czym interesować.

Naiwny byłem sądząc, że go zadowoli taka wymijająca odpowiedź. Gorzej ... Marsjanie nic używają tego gestu, tak częstego u mieszkańców ziemi. W twarzy Broxana wyczytałem natychmiast podejrzenie. Sięgnął po mały dezintegrator, zawieszony u pasa. Uniewidziałniłem się natychmiast i z nim wyciągnął broń z pochwy, ukłułem go strzałą.

Widząc, co się dzieje, Joe unieszkodliwił Buldexa.

— Durnie skończone! — kłął nas w żywe oczy Solax — trzeba było tych strażników zataszczyć gdzie indziej. Kłujcie mnie, a sami w nogi!

Dostał i on pajęczy zastrzyk. Strażnika, o którego przewrócił się Broxan, zostawiliśmy w sali. Dwóch innych przenieśliśmy do sąsiedniej. Chodziło o to, żeby kto nic skojarzył

ich obecności z budką. Ruszyliśmy ku wyjściu. Maszerowałem jak na ścieżce, przekonany, że nas tam zatrzymają, gdy się pokazemy bez Buldexa. Zażądają wyjaśnień i ... leżymy".

— Jeśli zadadzą choć jedno pytanie — odezwałem się do Joe'go — strzelamy! Tylko czterech jest przy wyjściu z tej strony. Ci na zewnątrz nie usłyszą ...

— Sam widziałeś przez telewizor, jak często strażnicy wchodzą i wychodzą sami. Najważniejsze mieć przepustkę. Nikt się o nic nie zapyta.

Przy wyjściu zastaliśmy tylko czterech Marsjan. Rzucili pobieżnie okiem na przepustki. Jeden z nich przycisnął kontakt w ścianie. Stalowe drzwi uchyliły się... odetchnąłem.

Za wcześnie.

Ostry, przeraźliwy gwizd rozdarł powietrze — alarm!

— Stójcie! — zawołano.

Zatrzymaliśmy się niepewnie. Strażnicy ustawili się naprzeciw korytarza. Oczekiwali najwidoczniej, że za chwilę ukaże się ktoś uciekający z kierunku, z którego przybyliśmy. Drzwi się zamknęły.

Nie było wątpliwości, że ktoś odnalazł nasze ofiary i zaraz rozpocznie się poszukiwanie sprawców... Wyciągnęliśmy niezawodne strzałki. Podeszliśmy do odwróconych od nas tyłem strażników. Szybkie ukłucia w plecy. Naciskam kontakt, drzwi się otwierają. Wychodzimy na zewnątrz... ogarnia nas noc ...

Nikt nas nie uprzedził, że w momencie alarmu we wszystkich przejściach włącza się automatycznie pole paraliżujące.

\* \* \*



Mała celka bez okien z jednymi drzwiami, dwa tapczany, z sufitu spływa łagodne światło. W drzwiach ani śladu zamka. Nie można ich otworzyć od wewnątrz.

Ktoś nas pewnie obserwował, bo gdy ocknęliśmy się, do celi wszedł zaraz żołnierz marsyjski wnosząc fotel. Wkrótce drzwi otworzyły się ponownie, ukazał się w nich Broxan.

— Znowu się spotykamy — stwierdził siadając wygodnie. Ton głosu brzmiał przyjaźnie.

— A no tak — przytwierdziłem.

— Po coście tu przyszli?

Milczeliśmy.

— Nie dla zabicia Solaxa — rozumował głośno — bo mieliście po temu okazję, a tylko uśpiliście go. Na pewno otrzymał od was jakieś rozkazy i zgodził się je wykonać... ale jakie? Powiedźcie od razu wszystko, bo inaczej wydobędziemy prawdę od was czy od niego bolesnymi środkami.

Myślałem szybko. Za wszelką cenę trzeba odwrócić podejrzeń od Solaxa, że współpracował z nami. Jeśli Nara go dotąd nie uśmiercił, to znaczy, że mu ufa ...

— Mylisz się Broxan ...

Oj, niedobrze. Może lepiej trzeba było przyświadczyć, bo i tak by nie uwierzył! ... za późno ... trzeba brnąć dalej.

— Mylisz się --- powtórzyłem — powiem wszystko, nie ma co ukrywać, zresztą wiem, że i tak nas zamordujecie. Przyszliśmy zabić Solaxa ... i on zginie... nic go już nie uratuje. Cha, cha! on już na pewno nie żyje. a ty tylko chcesz się dowiedzieć, jak się to stało ... która to godzina?

Broxan studiował intensywnie moją twarz, coś kombinował. Wtem przybladł i szybkim ruchem otworzył pudełeczko, które przyniósł ze sobą. Na dnie leżała szpilka z czarnym łebkiem, którą przypiąłem Solaxowi.

— To? — spytał gorączkowo.

Zerwałem się z tapczana.

— To, to! — krzyknąłem.

Joe poderwał się również.

— Rzucaj to, wynieś czym prędzej! — darłem się jak opętany — Wenuzianie nacisną guziczek... i do widzenia! nie żyjesz ty i my ...!

Broxan wyskoczył z fotela tak gwałtownie, że go przewrócił. Cisnął pudełko w róg celi. Wyciągnął z pochwy mały dezynegrator.

— Jak to działa? wybucha? poraża?

— Strzelaj! — krzyknąłem rozpaczliwie. — Szybko!

Błysk ognia i po fatalnej szpilce nie zostało śladu.

Broxan podniósł przewrócony fotel i usiadł w nim ciężko. Zapadła męcząca cisza. Wreszcie Marsjanin podniósł się.

— No, to wiem wszystko, czego się chciałem dowiedzieć. Powinniście być natychmiast zlikwidowani, ale Buldex ma inny pomysł. Chce, byście dożyli naszego ostatecznego tryumfu. Zginiecie w dniu uruchomienia wszystkich urządzeń.

Podszedł do drzwi, lecz ociągał się z wyjściem. Wreszcie wyrzekł, patrząc na mnie przyjaźnie:

— Trzeba było siedzieć na tych pięknych wyspach, a nie pchać się między nas. Tylko raz tak się udało, że . . .

Nagle pewnie uprzytomnił sobie, że w celi założony jest podsłuch. Nie dokończył i wyszedł bez słowa. Bał się wspomnieć swego miłosiernego czynu, wtedy na morzu.

Po jego wyjściu Joe zaczął mi wymyślać gwałtownie, że jestem zdrajcą, bo wydałem tajemnicę szpilki Broniłem się słabo. Ta wymiana zdań przeznaczona była dla podsłuchających nas uszu.

Mijały dni. Nic się nie działo. Karmiono nas dobrze Pilnowano pewnie jeszcze lepiej. Broxan się nie pokazywał.

Prowadziłem długie rozmowy z Joe'm. Trzymał się dzielnie mimo tego, że cierpiał bardzo za swój postępek wobec Leny. Bolało go też, że jej już więcej nie zobaczy.

Byłem w lepszym położeniu, bo nie męczyły mnie żadne wyrzuty sumienia, a miałem Tetit. Wraz z hełmami niewidzialnymi zdjęto nam ukryte pod nimi antytelepatyczne siatki. Mogłem się więc swobodnie porozumiewać z dziewczyną. O ile przedtem drażnił mnie obcy wgląd w myśl, teraz błogosławiłem ten wewnętrzny kontakt. Płynęły bowiem od Tetit nie tylko słowa pokrzepienia, lecz także jakieś ciepłe fale dobroci i pogody ducha. Wydawała mi się nieraz bardziej obecna, niż gdybym miał ją przy sobie naprawdę.

— Wierzę, że nie zginiecie — twierdziła stanowczo.

Ponieważ mój list, pisany w noc przed wyprawą, jeszcze nie doszedł do niej, powiedziałem jej teraz, że Avaru nigdy nie zjawi się z międzygwiazdnych przestrzeni. Odczułem telepatycznie we własnym sercu jej smutek i ból. Nie trwało długo. Dzielna dziewczyna otrząsnęła się z nich szybko.

— To i tak było tylko dziewczęce, romantyczne marzenie — powiedziała — właściwie to zawsze wiedziałam, że się nie

spełni. Może też nie pragnęłam tego spełnienia się tak całą duszą.

Lena przeżywała bardzo nasze uwięzienie i grożącą nam zagładę. Za pośrednictwem Tetit i moim przesyłała Joe' mu zapewnienia o swym przebaczeniu i miłości. Dziwne, że sam Joe nie mógł odebrać bezpośrednio jej myśli i uczuć. Choć posiadał inne zdolności parapsychiczne, zmysłu do telepatii brakowało mu zupełnie.

Te inne zdolności zamierzaliśmy wykorzystać dla ewentualnej ucieczki, ale w parę godzin po naszym uwolnieniu włączył się niespodzianie Nara i zakazał nam stanowczo jakichkolwiek prób w tym kierunku. Dlaczego?

Poza Tetit utrzymywałem też kontakt z Joasią. Udawało mi się porozumieć z Kinim. Od czasu do czasu otrzymywałem i od innych przyjaciół przekazy telepatyczne, słabsze jednak i bardziej „zamazane”.

A cała ta moja gromadka pozostała z konieczności na wyspie z plemieniem Puna-Puna. W dzień po moim odjeździe, kiedy „Takila” miała ruszyć na dalsze patrolowanie wysp i wysepek, okazało się, że wszelkie urządzenia przestały w niej działać. Dopiero przeze mnie dowiedzieli się teraz, co zaszło.

To Marsjane odkryli i wyłączyli w Kamiru urządzenia aktywujące centralnie motory, broń promieniową i masę urządzeń, które Wenuzjanie oddali kiedyś do użytku kolonistom z ziemi, zatrzymując jednak możliwość unieruchomienia ich w każdej chwili. Obecnie utrudniło to walkę z najeźdźcą.

Ja osobiście cieszyłem się, że moi przyjaciele musieli pozostać. Byli tam bezpieczniejsi.

Tetit „zabierała” mnie teraz często na przechadzki po wyspie i wyprawy w głąb morza. Widziałem jej oczami, dotykałem jej rękoma. To przedziwne zespolenie stawało się nieraz tak ściśle, iż wydawało mi się, że to ja rzeczywiście leżę w cieniu palmy lub czuję pieszczotę fal morskich na swoim ciele.

Z Joasią, z Kinim, czy innymi nie potrafiłem tego osiągnąć. Zapytałem Tetit, dlaczego.

— Bo mnie kochasz, a ja ciebie — odparła po prostu — przyjaciel to drugi „ja” i dlatego możemy być „w sobie”.

Tak, kochałem ją coraz silniej, miłością dającą mi wiele jakiejś spokojnej, promiennej radości. Poznawałem Tetit coraz lepiej, tak jak nikogo przedtem nie mogłem poznać, ale nie przestawała mnie przez to fascynować... za jedną odkrytą tajemnicą jej serca ukazywała się druga i trzecia ... Dusza ludzka ma w sobie coś z nieskończoności.

Tetit dała się ochrzcić Ojcu Piotrowi. Jej opór przeciw ukrzyżowanemu Bogu ustąpił.

— Gdybym mogła oddać swoje życie, żeby twoje ocalić. Andra — powiedziała mi — oddałabym je ... teraz rozumiem Waszego Boga, bo wiem, co znaczy naprawdę kochać i do czego zdolna jest miłość.

Dzięki kontaktowi z Tetit byłem świadkiem uroczystego ślubu Kiniego z Zulą i ... Ani z Enki, synem wodza plemienia Puna-Puna. W tej samej grocie, gdzie się odbyła owa „unga”: prosty ołtarz. Nada Piri przybrany w kwiecisty ornat, wszyscy obecni w kwiatkach, dzieci w wieńcach trzymają długie kwietne treny panien młodych, nastrój poważny i rzewny.

\* \* \*

Nadszedł wreszcie krytyczny dzień. Nara włączył się telepatycznie po raz drugi.

— Odbudowa urządzeń skończona — powiedział — uroczystość ich uruchomienia odbędzie się na placu przed wieżą-antena. Masa innych więźniów ma być stracona wraz z wami. Błagam was! nie stawiajcie oporu!

Gdy powtórzyłem przekaz Joe'mu, spytał:

— Azali przygotowują odsiecz?

Położyłem palec na ustach.

— Nawet nie myśl o tym — ostrzegłem przyjaciela.

— Jak nie myśleć? — poruszył ramionami tragicznym ruchem.

Pewnie ... I ja nie mogłem powstrzymać bezładnego biegu myśli oscylujących pomiędzy nadzieją, a zwątpieniem. Nie chciałem ginąć. Wierzyłem w życie przyszłe, w Boże Miłosierdzie, nie bałem się śmierci. Ale to życie poza czasem i przestrzenią, piękniejsze na pewno i szczęśliwsze od obecnego, otacza mgła tajemnicy. Wyobraźnia była tu bezsilna. Natomiast życie doczesne wołało tyloma głosami... Modliłem się. Modlił się i Joe.

Otworzono drzwi. Zjawiała się straż. Wyszliśmy pewnym krokiem, głowy podniesione wysoko.

Pod silną eskortą poprowadzono nas na plac. Zaległo go tysiące Marsjan, lśniących przepychem barw swoich promienistych strojów. Plac pokrywała od góry olbrzymia siatka, zmniejszając strach najeźdźców przed otwartą przestrzenią. Więźniów było koło setki. Staliśmy w kole, ogrodzonym paraliżującym kablem. Naprzeciw nas podium. Na nim

wielki aparat z tarcza mi i przełącznikami. Stąd włączą uroczyście wszystkie brakujące pola, a przede wszystkim pole ochronne wokół planety.

Tłum Marsjan stoi karnie, cicho; prawie nie słychać rozmów. Na widok zbliżających się dostojników nie wznoszą się powitalne okrzyki. Niemniej na twarzach maluje się tryumf.

Na podium wchodzi Buldex. Przemawia długo, monotonnie. Nawet nie usiłuję słuchać. Rozglądam się po współwięźniach. Tu i tam znajoma twarz. Wymieniamy smutne pozdrowienia. Nagle pośród nas dostrzegam Solaxa ... niewiarogodne. Oto wdzięczność marsyjska!

Przemowa skończona. Buldex przyciska włączniki. Odczuwam jakby lekki szok elektryczny w całym ciele. Moi współwięźniowie drgnęli także. Natomiast z Marsjanami dzieje się coś groźniejszego ... zaczynają się skręcać, jakby ich nagle opadły bóle. Przybierają dziwne pozy. Z różnych stron placu dochodzą przeraźliwe krzyki. Padają jedni po drugich. Ciało wstrząsają kurcze. Wielu tarza się w konwulsjach. Straszny widok!

Patrzę na Buldexa. Jeszcze stoi, ale twarz wykrzywia mu potworny grymas... wściekłości, a może przerażenia czy bólu . . . Słania się. Wyciąga rękę w kierunku aparatu, drży. Wygląda jak człowiek pijany, co późno nocą wrócił do domu i nie może znaleźć dziurki od klucza. Chce na pewno wyłączyć to coś strasznego, co rozpętał naciskając fatalną dźwignię. Nie zdoła! ... szukająca ręka opada bezwładnie wzdłuż ciała. Buldex wali się na deski podium.

Jeszcze minuta, jeszcze ten i ów Marsjanin rusza się, drga, usiłuje powstać . . . Wreszcie martwy spokój obejmuje ich wszystkich bez wyjątku. Koniec: „Sic transit gloria ..

A my trwamy w zupełnej ciszy, jakby porażeni tym makabrycznym widokiem. Wreszcie do osłupiałej świadomości dociera, że to jest ZWYCIĘSTWO, że śmier telny wróg leży pokonany u naszych stóp, pobity własną bronią.

Z piersi wyrrywają się teraz okrzyki radości. Dotychczasowi jeńcy płaczą, rzucają się sobie w objęcia. Solax wylatuje do góry, niosą go na ramionach, ale on macha protestacyjnie rękoma, coś mówi wskazując na Joe'go i na mnie. Tłum biegnie ku nam. Podrzucają nas. Padają entuzjastyczne zawołania:

— Irra Andra! Irra Joa! — niech żyją!

Na placu zjawia się Nara z gromadą Wenuzjan. Skąd ich tyłu nabrał? Rozbrajają paraliżujący kabel. Nara podbiega do Solaxa, całują się, potem kieruje się do nas.

— Powiedz, co się stało? — pytam, wyrwawszy się z jego niedźwiedzich objęć.

— Dotąd nie wiesz? — pyta Solax, stojący obok.

Ze zdziwienia poszły mu brwi do góry.

— Ci trzech Marsjanie — zaczyna objaśniać — których wam kazałem wsadzić do przyrzędu ... Wiecie chyba, że każdego człowieka otacza indywidualne pole promieniowania... lecz Marsjanie, lud przebywający od tysięcy lat na Czerwonej Planecie, nabyli pewne wspólne, charakterystyczne cechy tego promieniowania. Chodziło mi o ich formułę. Zdobywszy, dzięki wam, odpowiednie dane, wstawiłem zaraz właściwe drgania do fal pola ochronnego. Powstał tak sil-



ny rezonans, że go nie wytrzymali. To tak, jak pęka szklanka, gdy ktoś zagra jej właściwą nutę. W tej chwili na całej Wenus nie ma przytomnego Marsjanina.

— Ale żyją?

— W większości tak. lecz jeśli nie chcemy, by wszyscy zginęli, musimy działać natychmiast. Mamy koło trzech dni, żeby odebrać im wszelką broń i dyski ... potem trzeba ich zbudzić.

— Skąd taka wspaniałomyślność?

Tym razem odpowiedział mi Nara.

— Może zasłużyli sobie na śmierć, ale i na nas ciąży odpowiedzialność za ich nienawistny stosunek ... Czy można się dziwić, że lud trzymany w niewoli przez tysiąclecia żył pragnieniem odwetu?

Ruszyliśmy rozbrajać Marsjan.

## Rozdział XVII

### PILOT

Nie dość było niespodzianek na jeden dzień. Gdy ruszyliśmy rozbierać Marsjan, zauważyłem, że ktoś wśród nich nie utracił przytomności. Nad jednym z ciał klęczała czarnowłosa dziewczyna, zanosząc się od płaczu.

Podszedłem. Podniosła na mnie załzawione oczy.

— Andra! — wykrzyknęła, zrywając się.

— Emfrit! — odpowiedziałem okrzykiem. — A co ty tu robisz?

Dopiero teraz zorientowałem się, że klęczała nad Broxanem.

— Nie potrzebujesz go opłakiwać, bo żyje — zapewniłem — lecz skąd ta nagła żałość nad nim?

— Jest moim mężem ... na pewno będzie żył?

Skinąłem głową. Rozpogodziła się.

— Po waszej ucieczce — zaczęła — wiele zaszło na naszej górze. Gdy Senfir pogonił za wami, Utukil otruł mego ojca, ogłosił się władcą Kajnow i chciał mnie wziąć za żonę. Uciekłam. Spotkał mnie w dżungli wracający Senfir. Większość naszych poddanych opowiedziała się za nami. Oblegaliśmy Utukila w piramidzie, ale nie mogliśmy mu nic zrobić ...

— I wtedy nadleciał Broxan ... — wtrąciłem domyślnie.

— Tak. Obiecał nam pomoc i bronić przed zemstą Marsjan za klęskę, którą im zadaliśmy, pod warunkiem, że zostanę jego żoną. Nie miałam na to żadnej chęci, ale Senfir mnie ublażał. Nie żałuję, że wreszcie uległam jego prośbom. Broxan jest dla mnie dobry, mieszkamy tutaj w ślicznym domu nad jeziorem ... nie zabijajcie go!

— Nikogo nie zabijamy, a Broxan zasłużył sobie na lepsze traktowanie ... Ale jak on mógł się z tobą ożenić, gdy Marsjanie nie uznają życia rodzinnego?

— Pośród nich zaszły teraz duże zmiany. Wielu ze starszyzny pobrało sobie żony, nawet Buldex to zrobił, oczywiście nie wszystkim się to podoba ... Broxan mówił mi o waszym uwięzieniu, ale nie mógł wam nic pomóc.

Rozpoczęły się pracowite dni. Joe i ja zostaliśmy pilotami marsyjskich dysków zwiadowczych. Początkowo lataliśmy z Wenuzjanami, potem już sami. Niszczyliśmy bazy marsyjskie, zabieraliśmy broń nieprzytomnym. Szkoda mi było obracać w nicość tysiące wspaniałych aparatów przestrzennych. Taki jednak był rozkaz Nary. Zbyt mało miał pilotów do rozporządzenia, żeby odprowadzić wszystkie dyski nieprzyjaciela w bezpieczne miejsce. Bał się też, że koloniści z ziemi zechcą zawładnąć flotą i bronią marsyjską.

— Zaraz by się rozpoczęły wojny — przepowiedział pesymistycznie.

Przypuszczałem, że miał rację, lecz ponieważ nieopatrznie posłał mnie na tereny zamieszkałe przez moich rodaków, patrzyłem często przez palce, jak stosy nieprzyjacielskiego oręża znikają bez śladu. Rozgrzeszałem się tym, że na pewno i innym narodowościom udało się zagrabić część nieprzyjacielskiego sprzętu.

Na trzeci dzień od pogromu Marsjan czekałem na przebudzenie pokonanych w jednej z ich baz. Przeżyłem pełne zadowolenie, gdy wstawali bezbronni i bezradni, rozglądając się na próżno za swymi dyskami i bronią, bez których nie znaczyli nic.

Nie wszystkie skupiska Marsjan zdążyliśmy odnaleźć i rozbroić w tak krótkim czasie, toteż pilotowane przez nich dyski ukazały się ponownie na niebie. Byli jednak zupełnie zdezorientowani w sytuacji, a zanim się połapali, co się stało i mogli powziąć jakiś plan działania, Wenuzianie włączyli znowu pole „antymarsyjskie” i można było nadal bez przeszkód prowadzić dzieło oczyszczania planety z najeźdźcy.

W chwilach samotnego lotu usiłowałem nawiązać kontakt telepatyczny z Tetit. Niestety, odtworzone pole tłumiące działało skutecznie. Tylko od czasu do czasu odczuwałem niewyraźnie jej kochającą obecność, bez tej doskonałej wymiany myśli co poprzednio.

Gdy na wyznaczonym mi obszarze zapanował błogi pokój, postanowiłem dowiedzieć się, co się dzieje z przyjaciółmi. Wylądowałem najpierw koło piramidy na „Wyspie Ognia”.

Pierwszą osobą, jaką ujrzałem, była Nancy. Cała, zdrowa, ślicznie wyglądająca w białej sukni Kajnow. Gdy się z nią witałem, nadbiegł Senfir. Uścisnął mnie po przyjacielsku, jakby nie było między nami nigdy żadnych nieporozumień. Ale kto to nadchodzi, machając radośnie rękami? To Barbara, a za nią kroczy poważnie Izolk. Za chwilę otacza mnie tłum pomieszanych między sobą Kajnow, Abgajów i Mzaurich.

Z okazji mego przybycia Senfir wyprawił ucztę w podziemiach piramidy, ale jeszcze przed nią Nancy zdążyła mi opowiedzieć swoje dzieje.

— Kiedy ocknęłam się w obcej dżungli, sama, bez odzienia i broni, przeżyłam moment wielkiej trwogi — mówiła. — Wkrótce jednak domyśliłam się, co się stało, a pamiętając twoje opowiadania o Wenus, przestałam się bać otaczają-

cej mnie przyrody. Zachwycił mnie nawet ten przepych barw, bogactwo kształtów, to gorące powietrze przepojone cudnymi woniami ...

— Cieszę się, że ci się spodobała moja Wenus — wtrąciłem.

— Nasza Wenus — podkreśliła. — Upojona byłem pięknem i wolnością. Jak rozkosznie było leżeć na aksamitnym mchu, słuchać śpiewu ptaków, sięgać od niechcienia po słodki owoc, zwieszający się z przyjaznej gałęzi ... Czułam się świetnie, ale po paru dniach zaczęła mi ciążyć samotność. Przemawiałam do siebie, do zwierząt, do ptaków i drzew, byleby tylko słyszeć własny głos... było coraz ciężej, aż wreszcie znalazłam pierwszego przyjaciela.

— Spomiędzy drzew wyszedł młodzian cudnej urody — zaszotałem — Apollo czy Adonis?

— Nie młodzian i bardzo brzydki ...

— Bożek Pan na kozłach nogach?

— Przepływałam właśnie rzekę. Uderzyłam się o jakąś gałąź czy inny przedmiot. Złapał mnie taki ból, że chyba bym utonąła, gdyby nie to, że nagle coś żywego i chropowatego podpłynęło pode mnie ...

— Zurari, krokodyl dziobak.

— Tak. Uczepiłam się jego grzbietu jak zbawienia. Wyciągnął mnie na brzeg i biegał potem śmiesznie naokoło, klekocąc dziobem i machając ogonem. Nie rozstawaliśmy się przez wiele dni. Wyprawialiśmy wodne igraszki. Na jego grzbiecie przepłynęłam mnóstwo mil. Posuwał się w górę rzeki, a mnie było obojętne, dokąd płyniemy. Napotkał wresz-

cie swoich towarzyszy i zniknął gdzieś razem z nimi. Płakałam jak dziecko po jego stracie.

— Zupełnie zrozumiałe.

— Nazajutrz, gdy się obudziłam, ujrzałam się otoczona gromadą małpoludów. Przeraziłam się okropnie, ale nie zrobili mi krzywdy. Było w nich o wiele więcej człowieczeństwa niż w gorylach. Mieli szarą sierść, ciało pod nią różowe, wielkie oczy, jak u madagaskarskich lemurów, nogi niemal ludzkie, tylko duży palec bardziej ruchomy.

Siedzieliśmy nad brzegiem jeziora. Towarzyszyła nam Barbara, która teraz uznała za stosowne dodać parę słów:

— Izolk raz się z nimi spotkał. Też się przestraszył, ale okazali się bardzo łagodni.

— Więcej — ciągnęła dalej Nancy — przynieśli mi owoce do jedzenia i po prostu przyjęli do swego grona. Przywiązałam się do nich. Spokojni, nie biją się między sobą nigdy. Posługują się kilkoma prymitywnymi dźwiękami, które nauczyłam się rozróżniać i nawet naśladować. Nagość mej skóry budziła w nich zainteresowanie i jakby współczucie. Włóczyłam się z nimi bardzo długo, aż któregoś dnia przybiegł do mnie potężny samiec. Przestraszyłam się, że mu się zebrało na amory, tymczasem wyprowadził mnie na skraj polany, gdzie zobaczyłam Senfira i jego ludzi. Zniknął potem w dżungli i więcej już tego ludka nie widziałam.

— A Senfir zaopiekował się tobą? — zadałem retoryczne pytanie.

— I jak dobrze się zaopiekował — odpowiedziała za Nancy Barbara — już są po ślubie.

— Naprawdę?

Nancy zapłoniła się.

— I prawda to, i nieprawda — odparła cicho — pogańskie ceremonie zaślubin się odbyły, ale ja się ciągle jeszcze uważam tylko za jego narzeczoną . Andrzeju kochany — chwyciła mnie mocno za rękę — mam do ciebie gorącą prośbę, sprowadź tu tego Ojca Piotra! Niech da nam ślub, a potem nawróci Kajnow.

— Postaram się, ale i tak ten ślub jest ważny. Gdy nie ma możliwości sprowadzenia kapłana, wystarczą dwaj świadkowie, a na pewno miałaś ich więcej ... Ale co mnie dziwi, to to, że chcesz pozostać w tej dżungli, rezygnujesz z walki o księżyc i nie obchodzą cię już knowania Kobry wobec ziemi.

— Taka mi się ona wydaje daleka, a księżyc tu nie ma i dobrze jest ... Jestem potrzebna temu ludowi, kocham Senfira i rozmawiałam się w tej cudnej przyrodzie ... Owszem tęsknię za rodzicami, ale oni i tak mieli dla mnie zawsze tak mało czasu ... Nie, nie chcę stąd odchodzić.

Spędziłem na Górze Strachów jeden dzień. Następne lądowanie na Wyspie Czarowników. Mój dawny przyjaciel stary amga-amga Xudri przyjął mnie serdecznie.

— Miałem ci wrócić pamięć, gdy spotkasz Lenę — zaczął od usprawiedliwienia — ale przeliczyłem się z siłami. Wiele razy starałem się z tobą skomunikować, gdy byłeś na ziemi. Nie mogłem. Raz niewiele brakowało, a postradałbym życie ... Zresztą może i dobrze się stało. Gdybym ci wrócił pamięć, pewnie już dawno ożeniłbyś się z Leną.

— Uważasz, że nie byłaby z nas dobrana para?

— Nie wiem. Niegdyś tak łatwo zapomniałeś o niej dla Dorti. a na ziemi, gdyście się spotkali, wcale ci do niej serce

nie było ... Ale nie ma co myśleć o przeszłości, której już nie ma ...

— Cóż mi więc niesie przyszłość?

— Jej też nie ma ... Czy zapomniałeś już, jak nauczyliśmy cię koncentrować się na chwili obecnej, która jedyna JEST?

Uśmiechnąłem się.

— Dobrze, może wobec tego będziesz mi mógł powiedzieć, co się obecnie dzieje z moim przyjacielem, doktorem Nemo.

Tu opowiedziałem historię zniknięcia doktora. Starzec skupił się, ale nie mógł mi udzielić żadnych informacji. Od ostatniego czasu, kiedy go widziałem, słabł fizycznie, poruszał się z trudem, widać i jego siły psychiczne nie były już te same, co dawniej.

Spytałem go, czy podobnie jak Marsjanie, amgowie potrafią „przeszczepiać dusze”.

— Duszy nie można przeszczepić — odparł stanowczo.

Objął następnie, że w naszym wypadku zaszedł bardzo silny trans hipnotyczny, w czasie którego „wmówiono” w nas, że przenieśliśmy się w obce ciało. Wskutek tego objęliśmy nad tym ciałem faktyczne władanie. Stało się ono zupełnie posłuszne przekazywanym telepatycznie impulsom, mogliśmy też odbierać jego wrażenia zmysłowe, jakbyśmy je sami rzeczywiście przeżywali.

— Teraz rozumiem — zawołałem — jeśli ty, czy doktor Nemo, potraficie „wychodzić z siebie” w tak zwanym „ciele astralnym” i działać w nim, to dlaczego ludzka świadomość nie mogłaby umieścić się w czyimś ciele fizycznym?



Właśnie w ten sposób Tetit uratowała mnie w czasie walki, a ja ją na Wyspie Złotej Bogini.

Żegnałem się z amgą z przekonaniem, że go już więcej w życiu nie zobaczę. Przed samym odlotem przyszedł do mnie Zoli, którego już dawno przetransportowano z podwodnego miasta na wyspę amgów, i przechodził on tu teraz coś w rodzaju nowicjatu. Czuł się bardzo szczęśliwy.

Ciekawa rzecz — wszystko we mnie wołało, żebym leciał do Tetit, a ja jakoś się ociągałem. Wyspa Ognista, Wyspa Czarowników, a teraz skierowałem się do wyspy, która stała się nową siedzibą plemienia Puna-Puna, gdzie wiedziałem, że Tetit już nie ma.

Zastałem tam Anię z jej małżonkiem i Basię, która na jakiś czas postanowiła dotrzymać towarzystwa swej przyjaciółce, ale coś wyglądało, że zostanie na dłużej, a może na zawsze. Jeden z młodych Puńczyków zdawał się być na najlepszej drodze do podbicia jej serca. Spędziłem tam dwa miłe dni. Nie obe szło się oczywiście bez wspaniałej „ungi”.

Wczesnym rankiem po tej uczcie, nie budząc nikogo wskoczyłem w swój dysk i wzniosłem się w powietrze. W parę sekund później byłem już nad Wyspą Złotej Bogini, dokąd, jak wiedziałem, udała się „Takila” z resztą moich przyjaciół. Zobaczyłem statek w wewnętrznej zatoce. Na pokładzie, ani na brzegu nie było widać nikogo. Wylądowałem w dżungli w pobliżu „Takili”. Zostawiłem dysk i w parę chwil później gramoliłem się na pokład ociekając wodą. Wszystko było zamknięte na sto spustów, ani śladu żywej duszy. Dałem nurka i od spodu dostałem się do wnętrza, otworzywszy podwodną klapę. Nikogo. Może spali w dżungli?

Wróciłem do dysku. Szybowałem nad wyspą w różnych kierunkach. Wenuzjański „wykrywacz obecności ludzkiej” nie wydał żadnego dźwięku, nie zadrgała strzałka na białej tarczy. Co się mogło stać?

Wtem — jest! Cicho brzęczenie i strzałka się wychyla. Patrzę. Ktoś wypłynął spod wody i idzie po brzegu. Dzięki specjalnemu przyrządowi widzę doskonale, choć jestem dość wysoko. To Tetit. Wdrapuje się na przybrzeżną skałę. Siada. Patrzy w dal ku morzu. Serce bije mi mocno.

Ląduję ponownie w dżungli. Zachodzę dziewczynę od tyłu. Staram się iść jak najciszej. Jaki uroczy widoczek! Kojarzy mi się z obrazkiem Andersenowskiej Syreny z portu w Kopenhadze. Potrąciłem kamień. Tetit odwraca się. Zrywa się gwałtownie, rozkłada ramiona, ale nic nie mówi, nie idzie ku mnie. Podchodzę. Patrzymy na siebie.

Ktoś. kogo tak dobrze znam, jak nikogo na świecie. Ludzka istota, której duszę przeniknąłem aż do głębi. Ktoś taki bliski, taki kochany, czemu więc wydaje mi się nagle jakby trochę obcy teraz, gdy patrzę na nią tylko oczyma?

— Czy to TA SAMA Tetit? — pytam się. — A może to był sen?

— TA SAMA — odpowiada.

I już trzymam ją w objęciach, moją kochaną Tetit

— A gdzie inni? — zadaję pytanie, gdy wrócił mi oddech. — Dlaczego nikogo nie ma na „Takili”?

— Zaraz ci pokażę — odpowiada — masz gdzieś swoją maskę do nurkowania?

Wracam do dysku, zabieram maskę. Zanurzamy się w przezrocze wody zatoki. Płyniemy ku różowej skale. Dostrze-

gam w niej, z pięć metrów poniżej poziomu morza, pionową tafłę szklaną. Za nią Kini i Zula spokojnie zajadają śniadanie.

Okazało się, że nasze towarzystwo odkryło w tej różowej skale wspaniałe pomieszczenia, które sobie przygotował luksusowo jakiś Wenuzjanin. Sypialnie, salony, łaźnie, basen pływacki i masę innych udogodnień, wszystko wykute w skale i zamaskowane na zewnątrz.

Zastałem tu też Joasię, Abę i Paumi, Ipli i jednego jeszcze młodego członka plemienia Puna-Puna, imieniem Auga. Joe przyleciał tu wcześniej swoim dyskiem, zabrał Lenę do Kamiru, pojechała też z nimi Krysia. Ipli i Auga zapragnęli poznać szerszy świat i dlatego odjechali ze swej wyspy na „Takili”. Obecnie uczyli się z zapalem czytać i pisać.

Upłynęło parę niezwykle przyjemnych tygodni prawdziwego wypoczynku na Wyspie Złotej Bogini, gdzie bujna przyroda zdążyła już pokryć rany zadane przez marsyjskie dezynTEGRATORY. Spacerowaliśmy, kąpali się, gawędziliśmy. Od czasu do czasu czyniłem wyskoki dyskiem tu i tam zabierając trójkę towarzyszy, bo tylu się tylko mogło zmieścić w dysku.

Wreszcie otrzymałem polecenie od Nary, by odstawić dysk do Kamiru. Prosił też, bym przywiózł Tetit.

**CZEŚĆ TRZECIA**

*ZIEMIA*

## Rozdział I

### ROBOT IDZIE DO KUFRA

Stolicę Wenus zastaliśmy w świątecznym nastroju. Nad miastem wisiały kolosalne dyski: superfortece przestrzenne.

Już na lotnisku dowiedziałem się radosnej wieści: Mars zdobyty, większość floty marsyjskiej zniszczona. To współrodacy naszych Wenuzjan przysłali pomoc wcześniej, niż jej się spodziewano.

Wypytywałem się o losy baz wenuzjańskich na księżycu, Fobosie i Dejmosie. Wszystkie przetrzymały długotrwałe oblężenie. Wielkie statki miały teraz przetransportować podbitych Marsjan gdzieś bardzo daleko, choć w ramach naszej galaktyki, na odkrytą niedawno planetę. Miała im zapewnić lepsze warunki życia niż ginący Mars. Omx, ów gigantyczny sztuczny mózg, dostał się w ręce Wenuzjan. Nie zniszczyli go, ale przystąpili do jego „reedukacji”.

Zameldowałem się z Tetit u Nary. Odmłodniał. Promieniał. Był w świetnym humorze.

— Witajcie, witajcie! — zawołał na nasz widok. — Ależ ona śliczna ta twoja Tetit! I wiesz co? trochę podobna do Dorti.

— One wszystkie podobne do siebie — odparłem szorstko — a Tetit wcale jeszcze nie moja.

— Ale chyba będzie niedługo? Tym razem już się nie będę sprzeciwiał.

Wmieszła się Tetit:

— Andrę bardzo kocham — powiedziała serdecznie — ale nie po to przeskoczyłam parę tysięcy lat, żeby zaraz wychodzić za mąż. Muszę wpierw zobaczyć trochę świata. Obiecałeś, Andra, że mi pokażesz ziemię.

— Nic nie obiecywałem, lecz chętnie tam z tobą pojedę, jeśli Nara nas puści i to bez odbierania pamięci.

— Z ust mi wyjąłeś tę propozycję — Nara aż podskoczył na krześle — w czasie ostatnich miesięcy sporo Marsjan przeniknęło na ziemię i wielu schroniło się tam teraz po kłęsce. Trzeba ich za wszelką cenę połapać, bo narobią kłopotu, a ty ...

— O, nie — zaprotestowałem — Marsjan ścigać nie będę. Mam przygód powyżej uszu. Mogę Tetit pokazać ziemię, ale potem wracam zaraz na Wenus i odpoczywam przez resztę życia przy boku jakiegoś uroczego dziewczęcia... i to niekoniecznie Tetit, jeśli jej nadal łązega po świecie będzie tkwić w głowie.

— Niech i tak będzie — zgodził się — porozmawiam jeszcze z wami później, a na razie idźcie odwiedzić Emfrit i Broxana, bo o to prosili. Dałem temu Marsjaninowi wolność, służy teraz za pośrednika między nami, a swoimi rodakami.

— Pozwolisz mu zostać tutaj?

— Pozwolę.

\* \* \*

Wylądowaliśmy w nocy, w lesie, niedaleko szopy. Na „autostopa” dotarliśmy do Miami. Koło jedenastej w nocy dzwoniłem do drzwi domu Lucy. W oknach wuja świeciło się też światło.

Sama Lucy otworzyła drzwi. Weszliśmy.

— Jak się masz, Lucy? — zawołałem serdecznie. — Pozwolisz, że ci przedstawię ... to jest Tetit, która już o tobie wiele słyszała ode mnie.

Lucy przywitała się chłodno i spytała sztywno:

— Czym mogę wam służyć?

— To tak zimno wita się przyjaciela wracającego z przestrzeni w towarzystwie oryginalnej Wenuzjanki? — odparłem z wymówką.

Dziewczyna cofnęła się i objęła wzrokiem całą moją postać. Na jej miłej twarzączce walczyła przez chwilę niepewność z radością. Dałem umówiony znak ręką.

— Czemu nie podałeś znaku od razu — podskoczyła do mnie — dawaj pyska! Myślałam, że to nadal twój sobowtór... Mamo! Marku! Andrzej wrócił!

Marek o mało się nie przewrócił, wbiegając do przedpokoju. Weszła też pośpiesznie pani Stella, matka Lucy.

Do trzeciej w nocy trwało opowiadanie. Wierzyli we wszystko, co im powiedziałem, przeżyli już zresztą przed-

tem trochę niezwykłych wydarzeń. Lucy czyniła wyrzuty matce:

— Widzisz, nie pozwoliłaś mi jechać z Andrzejem, tylko bym przeżyła ciekawych przygód!

— Co się odwlecze, to nie uciecze ... jako że Andrzej gotów jest nas zabrać na Wenus ... chętnie pojedę, jeśli też weźmiesz mego męża i starszego syna, którzy znowu wyjechali na jakiś zjazd medyczny.

— Oczywiście. Tylko, żebyście nikomu, nic nie mówili, szczególnie Marek, żeby nie wypaplał czego kolegom. I tak mu nikt nie uwierzy, ale lepiej nie robić koło siebie niepotrzebnego hałasu.

— Za kogo mnie masz? — oburzył się chłopiec. — Ale powiedz, co będzie ostatecznie z księżycem i czy nadal Kobra chce opanować ziemię przy pomocy swoich robotów?

— Mówił mi na księżycu, gdzieśmy się zatrzymali na krótko, że zaraz po zdjęciu oblężenia była u niego Komisja Inspektorów Przestrzeni. Dostał mocno po głowie za trzymanie w tajemnicy odkrytych starożytnych urządzeń do wyrwania księżyca z orbity wokół ziemi. Nie zatwierdzono jego planu.

— A więc księżyc pozostaje? — spytał z zawodem w głosie.

— Tak wygląda ... Natomiast dostarczono Kobrze planów zneutralizowania jego ujemnych wpływów na człowieka ziemskiego. Mają też przysłać inżynierów i brakujące materiały.

— A co z robotami?



— Kobra wykręcił się od odpowiedzi, gdy go zapytałem. Wydaje mi się, jednak, że nie zaniechano wsadzenia robotów na miejsce ważnych osobistości ziemskich ... nie będą gorsi od prawdziwych.

Poszliśmy spać. Rano po śniadaniu odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Lucy pobiegła otworzyć.

— To twój sobowtór czeka na dole — oznajmiła. — chce się widzieć z tobą. Skąd się dowiedział, że jesteś?

— Przesłano mu rozkaz z księżycy ... Gdzie by go można było schować u was? Może w piwnicy?

— Stoi tam pusty kufer — powiedziała Lucy — ale ja się boję... co będzie jak nagle wyjdzie w nocy z kufra?

— Nie wyjdzie — zapewniłem — będzie odtąd wypełniał posłusznie moje rozkazy.

Na księżycu przestudiowałem dokładnie, co się działo „ze mną” na ziemi w czasie mej nieobecności. Obecnie wypytałem robota tylko o wydarzenia ostatniego dnia i nocy, plany wuja na dzisiaj i najbliższą przyszłość. Zeszliśmy potem do piwnicy. Poleciałem robotowi ułożyć się w kufrze. Lucy zamknęła go na klucz. Sobowtór wyglądał tak żywo, że nam głupio było zostawiać go w tych warunkach. Lucy spytała się nawet:

— Nie udusi się?

Przebrałem się w ubranie zabrane robotowi i udałem się do domu wuja. Siedział przy biurku i coś pisał. Gospodyni Andzia krzątała się po kuchni.

— Co będzie dziś na obiad? — rzuciłem pytanie.

Podniosła znad garnków swoje dobre oczy. Przyglądała mi się badawczo. Wreszcie uśmiech rozjaśnił pomarszczone oblicze. Ukazały się łzy.

— Wróciłeś, wróciłeś do nas! Zawsze wierzyłam, że wrócisz, nasz „prawdziwy” Andrzej, a nie ta niemrawa kukła.

— Co Andzia plecie?

— Nie plotę. Od razu poznałam, że tamten to przybłęda, chociaż taki podobny ... ale twoje oczy inaczej patrzą i zachowanie inne ... Tamtego nigdy nie interesowało, co na obiad, co na kolację. Najlepszego dania nie pochwalił.

Wzruszyła mnie ta wypowiedź. Uścisnąłem Andzię.

— Andzia ma rację, ale proszę o tym nikomu nie mówić, nawet gdybym się znowu zmienił na krótki czas. Dobrze?

— Dobrze, dobrze. A co się z „tamtym” stało?

— Wsadziłem go do kufra ...

— Andrzej zawsze żartuje... a dziś na obiad rosół z makaronem, który tak lubisz i sztuka mięsa z sosem chrzanowym.

Obtarła oczy fartuchem i zabrała się z zapałem do przygotowania posiłku.

W tym momencie wszedł do kuchni wuj z gazetą w rękę.

— Co za bzdury wypisują te dzienniki ... patrz — wskazał mi jedną szpalnę — znowu donoszą, że dziś w nocy widziano „latający talerzyk” w pobliżu Miami. Podobno nawet lądował i zostawił ślady ... ale ja nie wierzę!

— I ja nie wierzę — powiedziałem głośno i dodałem w myśli — bo wiem!

Zapytałem się następnie wuja i Andzi, czy mogę zaprosić na obiad „kuzynkę Lucy przybyłą z Kalifornii”, czyli Tetit.

Zgodzili się.

Wuj zachwycony był Tetit. Andzia z mniejszym entuzjazmem ustosunkowała się do dziewczyny.

— Ładne to — przyznała — i wdzięczne, ale tobie wolno się zakochać tylko w Polce.

— Wcale się nie zakochałem ...

— Baj baju! Mnie takie rzeczy mówisz? a po co tak ślepiami wodzisz za nią?

Wkrótce przecież i starą gosposię podbiła Tetit swym czarem; szczególnie ją zjednała tym, że nauczyła się kilku wyrazów po polsku.

W kilka dni po przybyciu na ziemię poleciałem z Tetit samolotem do Nowego Jorku, chciałem tam bowiem odwiedzić siostrę Doktora Nemo. Wiedziałem, że ją bardzo kochał i pragnąłem ją zawiadomić o jego losach. Czy uwierzy?

Siostry Doktora nie zastałem. Poinformowano mnie, że pojechała do jego willi pod Baltimore. Postanowiłem się tam udać, a tymczasem pokazywałem Tetit miasto.

Szliśmy głównymi ulicami. Dziewczyna trzymała się kurczowo mej ręki, jakby bojąc się zagubić w tym hałaśliwym, zapędzonym tłumie ludzkim. Drażnił ją ruch pojazdów, ryk klaksonów. Odurzało powietrze nasycone spalinami, przygniatały drapacze. Wenus za jej czasów, jak i obecnie, to tysiące wysp skąpanych w morzu, niewielkie skupiska ludzkie, miasta, ogrody, komunikacja: to niemal wyłącznie bezdźwięcznie sunące dyski ... Tu oszałamiało ją wszystko.

Wjechaliśmy na szczyt „Empire State Building”, zwiedzaliśmy „Rockefeller Center” ... wreszcie Tetit zatrzymała mnie.

— Andra, już więcej nie mogę... ten ruch. ten hałas, te domy ... uciekajmy stąd!

— Chodź, zaraz znajdziesz się w ciszy.

Zaprowadziłem ją do katedry św. Patryka.

Ogarnął nas pokój. Miasto na zewnątrz jakby przestało istnieć, dochodziły tylko przytłumione odgłosy. A wewnątrz słyhać było jedynie szept modlących się ust. Usiedliśmy w ławce. Tetit zakryła twarz dłońmi i trwała tak długi czas. Upłynęło chyba ze trzy kwadranse, zanim podniosła głowę i rozejrzała się ciekawie po kościele.

— Dziękuję ci — szepnęła — tu jestem u siebie, tu mieszka Bóg.

— On mieszka i tam na zewnątrz — odszepnąłem — tylko Go trudniej zauważyć. I w tym szalonym tętnie wielkomiejskiego życia ujawnia się Jego moc, której użył czło-  
wiekowi.

— Stworzyliście wielką cywilizację — przyznała — lecz wątpię, czy kiedykolwiek poczuję się w niej szczęśliwą.

— Powiem ci na pociechę, że i my nie znajdujemy w niej zbyt wiele szczęścia... Nie mamy jednak innego wyjścia: musimy budować, konstruować, mnożyć wynalazki, rozwijać technikę.

— Dlaczego?

— Bo człowiek musi mnożyć się, musi jeść, mieszkać, ubierać się, szukać rozrywki, a więc też musi podbijać ziemię, eksploatować ją aż do granic jej możliwości...

— Niemniej prawdziwa cywilizacja znajduje się tu w tej świątyni ... tam na zewnątrz to szaleństwo! Zostańmy tu jeszcze troszkę!

## Rozdział II

### DYSK W STODOLE

Waszyngton, piękne, spokojne miasto, lśniące bielą, Kapi-  
tol, Biały Dom, obelisk, muzea, galeria, sztuki. Stolica Stanów  
zrobiła na Tetit lepsze wrażenie niż Nowy Jork. Przylecieliśmy  
samolotem, zwiedzaliśmy przez dwa dni miasto wynajętym

samochodem. Wreszcie po południu trzeciego dnia skierowałem wóz na południe w kierunku Chesapeake Bay.

Zbliżała się piąta godzina, gdy zajechaliśmy przed willę Doktora. Nic się tu nie zmieniło z wyjątkiem jednego szczegółu — obok willi wyrosła wielka szopa z karbowanej blachy. Nie można powiedzieć, by ozdabiała miejsce.

Ledwie wysiedliśmy z samochodu, drzwi frontowe otwały się z trzaskiem. Wybiegł z nich z rozwartymi ramionami sam Doktor Nemo.

— Wszystkich bym się spodziewał, ale nie was! — wykrzyknął na powitanie.

— I my także — odpowiedziałem ściskając go — czy to na pewno ty, czy może twój robot?

— Ja we własnej osobie... a w tej stodole stoi dysk marsyj ski, w którym tak nagle opuściłem Górę Strachów.

Weszliśmy do wnętrza domu. Doktor zacierał ręce z radości i na wszelki sposób starał się nam okazać, jak bardzo się cieszy z naszego przybycia.

— Co za niespodzianka! I Tetit razem z tobą! Jak to się stało? A co z wojną?

— Wojna skończona, Marsjanie pobici, lecz wielu z nich schroniło się na ziemi ... a co się z tobą działo, doktorze?

— To długa historia ... Pozostaniecie chyba u nas? Może chcecie się czego napić?

Gdy zasiedliśmy w wygodnych fotelach, popijając chłodną oranżadę, przyniesioną przez siostrę doktora, Miss Ruth, Nemo opowiedział swoją przygodę.

Nie była ona właściwie długa, jak szumnie zapowiedział, ale pełna emocji. Jak wiemy, długo studiował urządze-

nia sterownicze dysku. Wreszcie wydawało mu się, że się już jako tako orientuje. Zaryzykował i przycisnął jedną z dźwigni. Dysk wyskoczył w przestrzeń i poszybował prosto na słońce. Nemo naciskał następne przyciski i guziki. Po dotknięciu większości z nich, pozornie nic się nie działo. Dopiero po pewnym czasie stwierdzał zmianę kierunku ruchu, zbliżanie się do tej czy innej planety.

Po dziesiątkach prób niefortunny pilot znalazł się w pobliżu jednego z satelitów Jowisza.

— Pewnie bym się rozbił o jego powierzchnię — mówił — gdyby nie błysk szczęścia. Odkryłem przypadkiem w kabine skrytkę, a w niej prosty schemat pilotażu z napisami marsyjskimi, które odcyfrowałem nawet bez wielkiego trudu. Odtąd kierowanie dyskiem szło łatwiej. Ruszyłem ku ziemi

...

— Czemu nie wylądowałeś na trawniku przed Białym Domem?

— Według zaleceń Nancy? Nie. Nawet mi to nie przyszło na myśl. Napędziłem za to emocji niejednej sile lotniczej. Gonili mnie Rosjanie, Niemcy, Francuzi i nasze amerykańskie odrzutowce, lecz przy tej nieprawdopodobnej szybkości i zwrotności dysku bawiłem się z nimi jak kot z myszą. Lądowałem kilkakrotnie. Najpierw w pustej okolicy. Zakradłem się do samotnej farmy, gdy wszyscy mieszkańcy byli w polu. Zabrałem żywność, której mi poczynało brakować, pieniądze i ubranie, bo nie mogłem się ludziom pokazać jedynie w kolorowej przepasce na biodrach. Drugi raz wylądowałem w lesie, także w słabo zaludnionej okolicy. Udałem się do najbliższej budki telefonicznej, zawiadamiając Ruth, by

tu przyjechała natychmiast i wystawiła hangar. Gdy był gotowy, przyleciałem tutaj pierwszej ciemnej nocy.

— Nikt się nie zainteresował, co jest w tej szopie?

— Dysk pokryłem sianem. Dla niepoznaki kupiłem kilka krów. Tydzień temu usiłowałem powrócić na Wenus, ale powstrzymała mnie niewidzialna zapa. Potem prawie aż do ziemi gnały za mną dyski.

— Co zamierzać dalej robić?

— Nie wiem. Starłem się rozebrać dysk na kawałki i odkryć tajemnicę jego napędu. Nie udało mi się dotąd. Najtwardsze wiertło się łamie... ale, ale ...

Przerwał i zaczął się badawczo przyglądać Tetit. Mrugał przy tym dziwnie oczami. Wreszcie skierował ku dziewczynie wskazujący palec i rzekł wolno:

— Ty przecież powinnaś znać tajemnicę produkowania siły antygravitacyjnej.

— Mam dla was wielki szacunek i przywiązanie — odparła poważnie — a Andrę kocham, ale na ten temat nie powiem wam ani słowa. Dysku zaś nie rozbieraj, bo i tak nie zgłębisz tajemnicy. Nawet, gdyby ci się udało rozłożyć go na kawałki, nie staniesz się przez to mądrzejszy.

Tetit wyznała, że zna tajemnicę ... Gdy to mówiła, wydało mi się, że jakaś zimna dłoń ścisnęła mnie za serce. Czy wiesz, dziewczyno, na jakie straszliwe niebezpieczeństwo wystawia cię znajomość tego sekretu?

— Głupstwo zrobiłam — zadźwięczało nagle w mej myśli — ale chyba tym dwojgu można zaufać?

— Miejmy nadzieję — odpowiedziałem też w myśli.



Tak byłem zaaferowany nieostrożnością Tetit, że nie zwróciłem uwagi na ten nagły powrót naszego telepatycznego kontaktu.

Doktor milczał jakiś czas, wreszcie wyrzekł:

— Może masz rację, moje dziecko, może masz rację ... lecz nie dziw się, że pragnę poznać tę tajemnicę. Taka jest już ludzka natura. Nie możemy nie szperać, nie szukać, nie odkrywać. Nawet, jeśli to, co odkryjemy, miałyby nam przynieść katastrofę.

Po kolacji gawędziliśmy jeszcze długo. Wreszcie widząc, że Miss Ruth zaczyna poziewać, a i Doktorowi oczy się kleją, zasugerowałem, żeby szli spać. Tetit i ja nie czuliśmy się senni i wyprawiliśmy się łódką na zatokę.

Wiosłowałem. Dziewczyna siedziała w tyle łodzi. Zadarła głowę do góry i wpatrywała się z zachwytem w niebo roziskrzone gwiazdami.

— Czego wam mieszkańcom ziemi zawsze zazdrościłam — rzekła rozmarzonym głosem — to błękitu nieba w dzień i blasku gwiazd w nocy.

— I niebo wenuzjańskie jest piękne, gdy wzejdzie nań zorza. Wiesz co? Ja już tęsknię za Wenus. Namówmy Doktora, by tam powrócił ...

— Namówmy — zgodziła się.

W tej chwili przypomniała mi się nasza telepatyczna wymiana myśli w czasie rozmowy z Doktorem.

— Jak to się stało — spytałem — że wychwyciłaś moją myśl i mogłaś do mnie przemówić?

— Gdy włączyli pole tłumiące na Wenus i ja straciłam niemal zupełnie właściwości telepatyczne. Tu na ziemi

pole księżycowe jest słabsze, zaczęłam więc znowu odbierać myśli ludzkie. Przebacz mi, że kryłam się z tym. Wiedziałam, że ciebie ten kontakt krępuje i gniewa. Co innego, gdy byłeś w więzieniu ... Dlatego postanowiłam się nie ujawniać ... Dopiero dziś powiał od ciebie taki chłód przestachu, że i ja się przeleżałam i mimo woli posłałam ci pytanie . . . bardzo się na mnie gniewasz?

— Za to, że się kryłaś, tak. Za to, że zdradziłaś się, nie. Nie masz pojęcia, jak brak mi było tej wewnętrznej wymiany myśli i uczuć po wyjściu z więzienia.

— No, to pocałuj mnie . . . tylko nie wywróć łódki!

Rzeczywiście po powrocie na ziemię wydawało mi się, że od czasu do czasu odbieram myśli ludzkie. Najczęściej, zanim kto otworzył usta, już wiedziałem, co powie. Będą? jednak przekonany, że księżyc skutecznie przytłumia właściwości telepatyczne, nie próbowałem ich używać. Okazało się przecież, że raz rozbudzone nie dają się całkowicie uspić z powrotem.

Jeszcze z pół godziny pływaliśmy z Tetit po zatoce rozświetlonej blaskiem księżyca. Dopiero silny wiatr, który się nagle zerwał, skłonił nas do powrotu. Wylądowaliśmy szczęśliwie. Wziąłem wiosła na ramiona i skierowaliśmy się ku wili. Wtem Tetit zatrzymała się.

— Czuję wokół jakieś niespokojne myśli — szepnęła — spójrz, coś się poruszyło przy tamtym drzewie

Przy drzewie już się nic nie ruszało, ale z prawej strony demu przesunął się jakiś cień. Szkoda, że księżyc zakryły chmury i widoczność była słaba.

— Widzą nas — podała mi telepatyczną informację Tetit — Czekają, aż wejdziemy do środka, a wtedy ...

— Idźmy spokojnie, jakbyśmy nic nie zauważyli, żeby nie ruszyli za wcześnie do akcji. Trzeba zaalarmować Doktora.

Złożyłem wiosła przy drzwiach, wyjąłem klucz z kieszonki majteczek kąpielowych. Gdy tylko otwarłem drzwi, oświecił je blask reflektora, a gruby głos zawołał przez tubę:

— Proszę się zatrzymać, tu policja!

Jednym skokiem znaleźliśmy się we wnętrzu domu. Zatrzasnąłem drzwi. Wpadłem do sypialni Doktora. Tetit pobięła obudzić Miss Ruth.

Wokół domu słychać było liczne głosy i dobijanie się do drzwi. Ktoś strzelił.

Doktor owinięty w prześcieradło wybiegł z sypialni.

— Za mną! — rzucił rozkaz.

Zeszliśmy do piwnicy. Doktor odsunął od ściany puste beczki. Za nimi ukazał się świeżo zrobiony podkop, prowadzący do szopy. Dotarliśmy tam ani sekundy za późno. Drzwi willi już dawno ustąpiły pod naporem barczystych policjantów, jeśli to naprawdę była policja. Drzwi do stodoły też już sforsowano. Ktoś gwałtownie zdierał siano z powierzchni dysku.

Weszliśmy do statku od dołu. Klapa zatrzasnęła się z hukiem. Jesteśmy bezpieczni. Mogą do nas strzelać nawet 7 armat!

Udaliśmy się do wieżyczki. Podczas gdy Nemo zasiadał za przyrządami sterowniczymi z ważną miną, wyrzałem na zewnątrz przez iluminator... marsyjskie statki nie były wyposażone w telewizory. Zobaczyłem gromadę policjantów. Usunęli już siano i coś do nas krzyczeli, wymachując pistoletami maszynowymi.

Nie mogłem się pohamować od żakowskiego odruchu i zagrałem im na nosie.

— Nie wznosmy się zbyt szybko — ostrzegła Tetit — wytwarza się wtedy wokół bardzo silne pole, które zabija.

— Dziękuję — odparł Nemo i przycisnął dźwignię.

Szliśmy wolno w górę. Policja zaczęła strzelać.

— Żegnaj Ameryko Północna! — powiedziałem. — Już się tu nie będziemy mogli pokazać . . . Chociaż nie, my z Tetit mamy czystą kartę.

— Nie bądź za pewny. Tam w garażu stoi samochód wypożyczony na twoje nazwisko, Andra — rozwiąła moje nadzieje Tetit.

Dysk szybował wysoko ponad Chesapeake Bay. Odróżniałem z dała światła dwóch wielkich miast Waszyngtonu i Baltimore.

— Jedźmy na Florydę — powiedziałem — trzeba ostrzec wuja, a może i Lucy, albo najlepiej zabierzmy ich i jazda na Wenus!

— A co z polem ochronnym? — spytał się Nemo

— Tam się trzeba zgłosić do stacji przestrzennej, krążącej wokół planety i przetransportują nas.

— Ale dysk zabiorą — Nemo był jak dziecko zazdrosne o swoją zabawkę — dobrze, pojedziemy na Florydę, choć im tam nic nie grozi. Twego samochodu nie zidentyfikują, bo cały „bungalow” razem z garażem stoi w ogniu. Wchodząc do piwnicy uruchomiłem automat samozapalny ... widzicie ogień?

Coś się tam paliło na dole, lecz byliśmy już zbyt wysoko, by dostrzec szczegóły.

— Właścicielowi waszego samochodu pošlę czek — dorzucił wspaniałomyślnie Nemo.

— Dziękuję. To dokąd jedziemy?

— Jedźmy na Wenus! — prosiła miss Ruth.

— Na Wenus! — dodała Tetit.

— Ale przedtem na Florydę — powiedziałem — obiecałem im.

— Gdzie chcecie — zgodził się Doktor — cały świat stoi przed nami otworem.

Mówiąc to przycisnął jeden z guziczków na białej tablicy. Horyzont zawirował i ziemia uciekła w dół z szaloną szybkością. Znaleźliśmy się nad chmurami wysrebrzonymi światłem księżyca.

Staliśmy z Tetit obok siebie patrząc na wspaniałą Boży świat przed nami. Ujęła mnie mocno za rękę. Spoglądając na uśmiechniętą tarczę towarzysza ziemi, powiedziałem cicho:

— Dobrze, że go nam jednak nie zabiorą. Może nam i szkodzi, ale taki jest piękny!

— I kto by przyświecał zakochanym — dodała romantycznie Tetit.

## KONIEC

